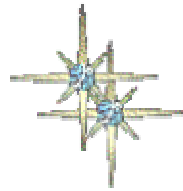




# Mary Alice Monroe



*Kruche piękno*

### ***Ptaki drapieżne (zwane też drapieżcami)***

*w odróżnieniu od innych ptaków posiadają ostre, zagięty hakowato dziób, równie ostre pazury zagięte łukowato oraz silne nogi. Dzięki temu są w stanie zabić swoją ofiarę. Posiadają zdolność widzenia dwuocznego. Na obszarze Stanów Zjednoczonych i Kanady żyje trzydzieści dziewięć gatunków tych ptaków, które podzielono na następujące kategorie: myszołowy, jastrzębie, sokoły, błotniaki, kanie, orły, rybołowy i sowy.*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Po wybrzeżu Karoliny Południowej hulał porywisty wiatr, naganiając znad oceanu gęstą, stalowoszarą mgłę. Stary czarnoskóry mężczyzna przystanął na moment, żeby postawić kołnierz podniszczonej wełnianej kurtki. Podciągnął go wysoko, aż do ronda miękkiego kapelusza. Ręce schował do kieszeni i znów zaczął iść. Z oczami wzniesionymi ku niebu.

Kiedy pokonał prawie pół kilometra, poprzez zawrota wicheru usłyszał cienki, żalony krzyk. Zatrzymał się i wyteżył wzrok. Był świt. Nad mokradłami unosiły się gęste opary. Błady księżyc trwał jeszcze na mglistym niebie.

Z mgły wynurzył się ptak. Wspaniały orzeł z białą głową.

- Nareszcie jesteś - mruknął stary człowiek, bardzo zadowolony. Zwinął w trąbkę sękate palce, przyłożył do ust i krzyknął. Cienko, przenikliwie. Jak ptak.

Bielik, poruszając potężnymi skrzydłami z dostojnością zarezerwowaną tylko dla błękitnej krwi, najpierw zatoczył szerokie koło. Potem raczył odpowiedzieć.

Kiedy jego krzyk dotarł do uszu starego człowieka, ten ponownie przyłożył dłonie do ust. Tym razem krzyk człowieka był głośniejszy, bardziej natarczywy. Orzeł z rozpostartymi, nieruchomymi skrzydłami poszybował ku niemu.

Spojrzenie Harrisa Hendersona powoli przesunęło się po rozległej łące. Poranny przymrozek oszronił trawę, ziemia była twarda jak kamień. Znak, że do Lowcountry zawitała zima.

Wciągnął do płuc rześkie powietrze, przesycone zapachem palonego cedru i spojrzał w dół. Na lśniącego myszaka, którego trzymał przy piersi, rękoma w grubych skórzanych rękawicach. Lewa ręka przykrywała skrzydła ptaka, palce prawej dłoni zaciśnięte były mocno wokół nóg.

Piękny ptak. Kremowa pierś, na brzuchu ciemny pas, ogon pokryty ceglastymi piórami. Myszak, znakomity myśliwy. J. J. Audubon\* nazywał myszaki czarnymi wojownikami. Kiedy patrzyło się na ten okaz zdrowia, trudno było uwierzyć, że zaledwie dwa miesiące temu trafił do ośrodka z powodu ciężkich ran postrzałowych.

\* John James Audubon (1785-1851), amerykański podróżnik, artysta plastyk i ornitolog.

- Jeszcze chwila, przyjacielu. Dosłownie kilka minut.

Ptak, słysząc głos człowieka, przechylił głowę. Czarne oczy błyszczały gniewnie.

To dobrze. Tak właśnie powinien zareagować drapieżca. Jeśli chce przetrwać.

Podczas tych ostatnich minut przed wypuszczeniem ptaka na wolność Harris zawsze próbował nawiązać z nim głębszy kontakt. Wierzył, że to możliwe. Naczytał się rozmaitych opowieści o szamanach, znał stare indiańskie legendy o tym, jak dusze ludzkie ulatywały w ciałach sów. Wielu ludzi traktowało je z przymrużeniem oka, ale nie on. Wierzył, że we wszystkich legendach jest ziarno prawdy, i fakt, że nie posiadał daru nawiązywania więzi duchowej z ulatującym ptakiem, traktował jako osobistą porażkę.

Ulatywać razem z nim. Razem z nim nurkować w przestworza.

- Gotowy? - spytała Maggie.

Ptak, wyczuwając, że chwila wolności nadeszła, zacisnął mocno szpony i znieruchomiał. Pierś unosiła się miarowo, przed dziobem maleńka chmurka wydychanego powietrza.

- Droga wolna, przyjacielu.

Harris uniósł lekko ramiona, jednocześnie rozprostowując palce. Szpony natychmiast się rozwarły. Skrzydła zatrzepotały, bijąc powietrze.

Bystry wzrok Harrisa śledził każdy ruch ptaka. Z niepokojem, czy zaleczone skrzydło nie zawiedzie. Drapieżca musi być w stu procentach zdolny do skutecznego polowania. Inaczej nie przeżyje.

Na szczęście w locie ptaka nie było ani cienia niepewności i Harris miał pełne prawo poczuć satysfakcję.

Ptak numer 1985 po całkowitym wyleczeniu został wypuszczony na wolność.

- Tato... - Brady Simmons lufą sztucera wskazał na tabliczkę umieszczoną na konarze uschniętego dębu. - Tu jest zakaz polowania. Widzisz?

- Co? Ja tam żadnej tabliczki nie widzę.

- Ale ojciec Billy'ego Trumplina mówił, że jeśli tu się zapoluje, można mieć naprawdę duże kłopoty. A poza tym teraz nawet nie jest sezon na ptaki.

- Posłuchaj, synu... - Roy Simmons powoli odwrócił głowę i zmrużył oczy, wlepiając je w swojego pierworodnego. - Czy ty przypadkiem nie mówisz mi teraz, co mam robić?

Brady cofnął się o krok.

- Ja? Nie. Pewnie, że nie.

- No to posłuchaj. Nasza rodzina poluje na tej ziemi od dawna. Jak długo, tego nikt już nie pamięta. A poza tym ja uważam, że jak jest coś do wzięcia, to się bierze. Nie jesteśmy tu dla sportu, tylko żeby matka miała co włożyć do garnka!

Brady skwapliwie pokiwał głową. Smród whiskey, płynący od ojca, skutecznie odbierał mu ochotę do dalszej dyskusji. W milczeniu patrzył, jak ojciec podchodzi do drzewa, zrywa tabliczkę, umieszczoną tu przez władze federalne, i rzuca na ziemię.

Co za debil... Brady miał już po dziurki w nosie tego gadania o ukradzonej ziemi. Bo niby jak można ukraść komuś coś, co wcale nie jest jego własnością? A poza tym Brady'emu i tak było to obojętne. Marzył, żeby wyrwać się z tej zapadłej dziury. Jak najszybciej.

Ojciec przewiesił dubeltówkę przez ramię i pewnym krokiem wszedł na ziemię chronioną przez władze federalne.

- Idziemy, Brady - rzucił szorstko przez ramię. - Ruszaj się!

Poszli przez las, pogrążony jeszcze w mroku i ciszy mokrego świtu. Ścięte mrozem zbutwiałe liście chrzęściły pod butami Brady'ego. Dookoła rosło mnóstwo cienkich sosen taeda. Wszystkie jednakowe. Ktoś, kto nie znał tych okolic, bardzo łatwo mógł tu zabłądzić. Brady'emu zawsze bardziej podobały się rozłożyste sosny długoigielne, z długimi szpilkami poruszającymi się na wietrze. Wysokie na dziesięć pięter, kiedyś prawdziwe królowe w sosnowym lesie. Dopóki piły drwali nie dokonały spustoszenia. Ojciec nienawidził sosen długoigielnych, bo ich drewno nie nadawało się na opał. Mówił, że są niczym chwasty.

- A co ty się tak wleciesz - burknął teraz. - Co wieczór wałęsasz się z tymi gnojkami, których nazywasz kumplami i rano jesteś do niczego. Ledwo cię dobudziłem.

Brady nie odzywał się. Wiedział, że ojciec i tak zaraz się przymknie. Żeby nie spłoszyć zwierzyny.

Tego ranka mieli upolować ptaka, bażanta albo przepiórkę. Coś, co nadawałoby się na świąteczny stół. Na tym stole zresztą najczęściej pojawiały się ojcowskie trofea. Dla siedmioosobowej rodziny, która żyła z dnia na dzień, to wielka sprawa. Ale tereny łowieckie kurczyły się, niedawno utworzono tu rezerwat. Roy Simmons, choć świetny myśliwy, musiał się coraz bardziej wysilać, żeby cokolwiek przynieść do domu. A jego dzieci rosły i jadły coraz więcej.

Roy wolał polować sam, ale teraz, kiedy w szkołach od kilku dni trwała przerwa świąteczna, zaczął ciągać na polowania Brady'ego. Niestety od kilku dni wracali do domu z pustymi rękami. Brady widział, jak desperacja ojca przeradza się w gniew.

Od ponad godziny wędrowali przez Park Narodowy Marion, oddalony o wiele kilometrów od spłachetka ziemi z rozwalającym się domem i szopą. Ta ziemia została przydzielona pradziadkowi Brady'ego w czasach, gdy było tu kompletne odludzie. Teraz rozrastający się Charleston wyciągał zachłanne macki po kolejne tereny, co z kolei mobilizowało do walki ekologów.

W końcu dotarli do skraju lasu, gdzie zaczynała się szeroka, otwarta przestrzeń mokradeł. Ojciec stanął i zaczął się rozglądać.

Brady też patrzył. Na świt. Na różowe paski delikatnie rysujące się na perłowoniebieskim niebie. Na nadciągającą flotyllę nisko płynących szarych chmur, na mgłę...

- Brady! - Ojciec dźgnął go palcem w bok. - Popatrz! Tam!

- Gdzie?

- Bardziej w lewo!

Brady przekreślił głowę, i zobaczył. Czarnego ptaka unoszącego się w powietrzu na długich skrzydłach. Widok był tak piękny, że człowieka po prostu zatykało.

- Dalej, synu! Strzelaj!

Brady'ego zatkąło ponownie. Ojciec dawał mu możliwość oddania strzału, a to była prawdziwa rzadkość.

- Pospiesz się, synu, bo ucieknie!

Nie ucieknie mi, pomyślał Brady. Z emocji szumiało mu w uszach. Podniósł szybko strzelbę, odbezpieczył i wycelował.

- Leci prosto na ciebie - powiedział ojciec.

- Nie widzę go!

- Bo schował się we mgłę. Nie szkodzi. Czekać na niego.

Brady czekał, próbując zachować spokój. Wiedział, że jeśli teraz nie trafi, ojciec nigdy więcej nie pozwoli mu strzelać.

Ptak wynurzył się z mgły. Naprawdę wielki...

Nagle Brady zaklął i opuścił sztucer.

- Nie mogę strzelić, tato. To orzeł.

- I co z tego? Przecież w tych cholernych rządowych lasach tylko to zostało.

Niedługo w ogóle zabronią polować! Popatrz no! Leci prosto na nas, jakby był pewien, że nie wolno nam do niego strzelać! Prawdopodobnie zamierza ukraść jakiemuś farmerowi kilka kur. Dalej, synu, strzelaj!

- Prawo tego zabrania, tato.

- A ja to twoje prawo mam gdzieś. Mnie sam Pan Bóg pozwolił polować, tak jak przedtem mojemu ojcu, a przedtem ojcu mojego ojca! A ten ptak to nasz wróg.

- Ten ptak niczego nam nie zrobił.

- Słuchaj no! Ja wcale nie żartuję... Strzelaj! Jeśli tego nie zrobisz, będzie to znaczyło, że jesteś przeciwko mnie! Jasne?

Brady nadal się wahał. Ojciec, mamrocząc pod nosem o synu mięczaku, zdjął z ramienia strzelbę.

Brady czuł, jak wokół piersi zaciska mu się jakaś obręcz. Ale przyłożył oko do lunety na strzelbie, położył palec na spuście.

Czy był z ojcem, czy przeciwko niemu?

Jedno wiedział na pewno. Niezależnie od tego, co teraz zrobi, jego życie zmieni się całkowicie. Na zawsze.

Twarz starego człowieka jaśniała w uśmiechu. Dobry Bóg wiedział, co robi, kiedy stworzył orła. Potężne skrzydła, dziób ostry jak brzytwa, szpony długie i ostre jak pazury tygrysa. A jak ona fruwała! Szybowała, unoszona przez prąd wstępujący. Skrzydła rozłożone i nieruchome, rozpiętość ponad dwa metry. I ten majestat! O, ona wiedziała doskonale, że jest królową przestworzy!

Stary człowiek wydał z siebie kolejny ptasi okrzyk.

- Chodź, kochana, pojedz sobie! - zawołał i machając rybą nad głową, zaczął iść do przodu. Zadowolony, że ptak wreszcie go zobaczył.

Nagle w ciszę poranka wdarł się huk wystrzału. Stary człowiek potknął się. Ręce wyrzucił w bok, ryba spadła na ziemię. Dławiąc się własnym oddechem, patrzył przerażony na skrzydła orła trzepoczące bezradnie na tle niebieskiego nieba.

Trzepotały jeszcze przez chwilę. Potem opadły i orzeł jak kamień zaczął spadać na ziemię.

Zawodzenie wichru przeciął pełen rozpaczony krzyk. Stary człowiek rzucił się w przód, po zamrzniętej ziemi. Szedł i biegł na zeszywniałych ze starości nogach. Szedł i biegł, biegł i szedł. Byle dotrzeć jak najszybciej. Do miejsca, gdzie upadł ptak.

***Myszolowy:** szybujące jastrzębie. Są to ptaki średniej wielkości z szerokimi skrzydłami i krótkim ogonem. Lot mają powolny, kołyszący, są jednak znakomite w szybowaniu. Myszolowy to grupa ptaków z bardzo szerokim spektrum rewirów i pożywienia. Do myszolowów zaliczamy myszaka, myszolowa rdzawoskrzydłego, myszolowa szeroskrzydłego, myszolowa preriowego, myszolowa włochatego i myszolowa królewskiego.*

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Harris stał, wpatrując się w niebo, póki mały brązowy punkcik nie znikł mu z oczu. Na horyzoncie nie widać było żadnego innego jastrzębia, tylko jakiś szerokoskrzydły sęp krążył ponad koronami drzew.

Pamiętał, jak dziadek opowiadał, że kiedyś wystarczyło przejść polem kilometr i można było spotkać wszystkie rodzaje jastrzębi. Krogulca zmiennego i czarnołbistego, myszaka, myszolowa rdzawoskrzydłego, pustułek i nieduże, bardzo szybkie jastrzębie, które dziadek nazywał błotniakami.

Kiedy Harris miał pięć lat, dziadek zaczął zabierać go na długie przechadzki po polach i łąkach. Szli i szli, nagle dziadek zatrzymywał się, spoglądał w niebo i pytał:

- Co to jest?

Harris pewnym głosem wykrzykiwał nazwę ptaka i nigdy nie czuł złości, kiedy dziadek korygował jego odpowiedź.

Dziadek nauczył wnuka, że chcąc rozpoznać jastrzębia, nie można sugerować się wyłącznie upierzeniem. Trzeba wyłapać wszystkie subtelności lotu - kąt nachylenia skrzydeł, szybkość trzepotu skrzydeł. I uwierzyć własnej intuicji. Dziadek umarł, kiedy Harris miał zaledwie dwanaście lat. Zdążył jednak nauczyć wnuka bezbłędnie rozpoznawać z daleka drapieżcę. Zaszczepił w nim miłość do tych ptaków na całe życie. Harris urodził się na początku lat sześćdziesiątych, kiedy powszechne



stosowanie proszku DDT wyrządziło olbrzymie szkody w środowisku naturalnym. Już jako chłopiec zaangażował się czynnie w ratowanie ptaków drapieżnych przed wyginięciem, czym zresztą zajmował się do dziś. Wiedział, że upłynie dużo czasu, zanim przestworza znów zapełnią się drapieżcami. Ale wiedział też, że są na dobrej drodze i za każdym razem, kiedy wypuszczał na wolność wyleczonego ptaka, był pełen nadziei.

- Panie Henderson!

Przez pole biegła ku niemu czarnoskóra nastolatka, w dżinsach i bluzie z polaru.

- Panie Henderson! - wołała zadyszczanym głosem. - Sherry prosi, żeby pan zaraz wracał do kliniki. Przynieśli postrzelonego ptaka!

Znowu. Harris zaklął cicho.

- Ja zajmę się tym ptakiem - powiedziała Maggie Mims, schylając się po sprzęt. - Ty masz podobno zabrać Marion na zakupy przedświąteczne. Mała od tygodnia o niczym innym nie mówi.

Harris pokiwał tylko głową. Jego pięcioletnia córka obudziła go dziś o świcie, ubrana w swoje najlepsze spodenki i sweterek. Włosy zaczesła i ozdobiła różową plastikową opaską. Podekscytowana świąteczną wyprawą na zakupy, ledwo coś skubnęła na śniadanie. Za to wypła bardzo dużo, toteż bez przerwy biegła do łazienki. Kiedy Harris wychodził z domu, pomachał do smutnej buzi, przyciśniętej do okiennej szyby i zawołał, że niedługo wróci. Musiał przecież wyjść z domu, żeby wypuścić jastrzębia na wolność.

- Kupiłeś już prezent dla dziecka? - spytała Maggie, kiedy szli do ciężarówki, zaparkowanej na skraju łąki. - Powiedz szczerze, czy wy w ogóle macie w domu choinkę?

- Oczywiście. Są nawet na niej lampki. No i planujemy wypad do miasta, jak zwykle w Wigilię.

- W Wigilię... - powtórzyła przeciągle Maggie, wbijając w niego wzrok. - A kiedy indziej raczej rzadko, prawda? Niedobrze. Stajesz się prawdziwym samotnikiem. Ruszasz się z tego lasu tylko w ostateczności. Pamiętaj tylko, że dziś masz jechać z Marion na zakupy. Ja zajmę się ptakiem, a ty swoim dzieckiem, zgoda?

- Panie Henderson... - odezwała się z tyłu podążająca za nimi czarnoskóra nastolatka. - Ale Sherry powiedziała, że to pan musi przyjść. Koniecznie. Bo to jest orzeł.

Harris i Maggie wymienili znaczące spojrzenia i przyspieszyli kroku. Harris miał do orłów szczególny sentyment. Jego zdaniem żaden ptak drapieżny pod względem wdzięku i siły nie mógł się z nimi równać. Jednocześnie jednak z powodu tej siły orły jako pacjenci były bardzo niebezpieczne. Wysoka, silna Maggie mogłaby sobie poradzić, ale nie Sherry, mała i delikatna. W rezultacie orłami z reguły zajmował się Harris.

Po kilku minutach zajeżdżali już przed niewielki drewniany budynek pomalowany na biało, w którym mieściła się klinika Coastal Caroline Center for Birds of Prey. Przed drzwiami stała Sherry Dodds, starsza wolontariuszka, ubrana w skórzany napierśnik i rękawice. Obok niej stał wysoki, szczupły czarnoskóry mężczyzna z włosami białymi jak mleko.

Harris wysiadł z wozu, za nim Maggie. Gdy podeszli bliżej, palce Maggie zacisnęły się kurczowo na jego ramieniu.

- Och, mój Boże...

Harris nie wierzył własnym oczom. Stary człowiek trzymał w objęciach ogromnego dorosłego orła. Orła, który w każdej chwili mógł rozszarpać szponami cienką kurtkę, a ostrym dziobem rozharatać twarz.

- Chwała Bogu, że już jesteście - zawołała Sherry i natychmiast zniżyła głos, co w przypadku Sherry było wielką rzadkością. - Wyobraźcie sobie, że ten pan po prostu przyszedł tu z orłem. Przyniósł go na rękach. Ja... ja nie wiedziałam, co zrobić!

Harris tylko skinął głową. Wiadomo było, czym to wszystko grozi. Stary człowiek jedną ręką trzymał orła za nogi. Prawidłowo. Ale drugą ręką po prostu obejmował ptaka, który był zbyt blisko jego piersi i twarzy.

Sherry szybko ściągnęła skórzany napierśnik i rękawice. Harris nałożył sprzęt ochronny, nie odrywając oczu od ptaka. Był to bardzo duży orzeł, z lśniącym upierzeniem. Białe pióra na głowie wskazywały, że jest to dorosły osobnik.

Okaz zdrowia. Oczywiście, zanim został postrzelony.

- Przepraszam, pan jest lekarzem? - spytał stary człowiek. Długa, poorana zmarszczkami twarz na pewno miała teraz ich więcej ze zmartwienia. Zniszczone wiekiem ręce tuliły ptaka czule jak piastunka niemowlę.

- Tak - odpowiedział półgłosem Harris. - Ale może mówmy teraz tylko o rzeczach najbardziej istotnych, żeby chłopak nie miał dodatkowego stresu.

- Dziewczyna.

Harris zmrużył oczy. Faktycznie, biorąc pod uwagę rozmiary ptaka, stary człowiek miał rację.

- Muszę odebrać od pana ptaka. Zrobimy tak. Podejdę i chwycę go za nogi. Na mój znak, pan natychmiast puści ptaka i odsunie się jak najszybciej. Czy to jasne?

- Pan myśli, że Santee zrobi mi krzywdę? Ona tego nie robi. Ona mnie zna.

- Ona pana zna?

Stary człowiek z powagą skinął głową.

- Tak. I to ja ją tak nazwałem. Ten drań postrzelił ją, kiedy frunęła do mnie. Chwała Bogu, znalazłem ją żywą. Przyniosłem ją tu, bo słyszałem, że pomagacie ptakom.

- Przyniósł ją pan? Czyli pan szedł?

- Tak. Przez mokradła szło mi się trochę wolniej, ale na drodze było znacznie lepiej.

- A jak długo pan tak szedł?

- Od wschodu słońca.

Była już prawie dziewiąta. Czyli orlica została zraniona przed kilkoma godzinami. Harris przeniósł wzrok na ptaka. Orlica wcale nie patrzyła na niego półprzytomnie ani nie kiwała głową, jak to zwykle robią ptaki w szoku. Była spokojna. Niepokojąco spokojna, bo przecież i ta reakcja mogła być następstwem szoku.

Szok dla ptaka jest zabójczy. Dlatego należało działać jak najszybciej.

- A więc... jest pan gotowy? - spytał.

- Tak, proszę pana.

Jeden ruch. Powolny, przemyślany i palce Harrisa zacisnęły się mocno na pokrytych piórami nogach ptaka.

- Mam ją. Niech pan odejdzie.

Stary człowiek cofnął ręce. Orlica szarpnęła się. Harris natychmiast drugą ręką przykrył jej skrzydła. Sherry zakryła głowę orlicy ręcznikiem.

- Dlaczego pani to robi? - spytał stary człowiek.

- Wtedy ptak jest spokojniejszy - wyjaśnił Harris. - A pan ma wiele szczęścia.

Gdyby ptak nie był w szoku, znalazłby się pan w szpitalu. Nigdy nie wolno zapominać, że to dzikie stworzenia. Nie wolno im ufać. To błąd.

- Obdarzenie kogoś zaufaniem nigdy nie jest błędem - odparł stary człowiek, spokojnie wytrzymując jego spojrzenie.

Harris odwrócił się.

- Sherry! Maggie! Która z was zbierze od pana informacje i wypełni kartę pacjenta?

- Ja to zrobię! - zgłosiła się ochotczo Maggie.

- Świetnie. - Harris odwrócił się ponownie do starego człowieka. - Jesteśmy wdzięczni, że przyniósł pan tu tego ptaka. Zostanie teraz zoperowany. Proszę podać Maggie swoje nazwisko i numer telefonu. Zadzwonimy do pana, żeby powiadomić, jaki jest stan pacjentki.

Skinął głową. Skierował się w stronę drzwi i znów musiał się odwrócić. Bo stary człowiek powiedział:

- Ja poczekam.

- Przykro mi, proszę pana, ale my nie mamy tu żadnej poczekalni - odezwała się uprzejmie Maggie. - Proszę się nie martwić. Zadzwonimy do pana zaraz po operacji. A operacja może trwać kilka godzin.

- Nie szkodzi. Poczekam na dworze.

Maggie spojrzała pytająco na Harrisa, Harris wzruszył lekko ramionami. Nie było czasu na dyskusje.

- Może pan poczekać w moim gabinecie - powiedział i wszedł z ptakiem do budynku.

Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, kiedy Harris kończył wyjątkowo pracowity dzień. Tego dnia oprócz orlicy przyjęto jeszcze dwa puszczyki kreskowane i sępnika czarnego, wszystkie ptaki z urazami głowy po kolizji z samochodem. Zostały zoperowane, po czym umieszczone w sali pooperacyjnej, czyli niewielkim wąskim

pokoju, sąsiadującym z salą zabiegową. Były tu dwie długie półki, na każdej z nich rząd skrzynek dla ptaków. Każda skrzynka owinięta materiałem, żeby chory ptak miał ciszę i spokój.

W jednej z większych skrzynek leżała orlica przyniesiona przez starego człowieka. Leżała na boku, oszołomiona po narkozie. Odniosła bardzo ciężkie rany postrzałowe, poza tym upadając na ziemię, doznała urazu głowy. Czy ten ptak będzie w stanie znów polować?

Harris wolnym krokiem przeszedł przez korytarz, masując sobie krzyż. Po wielogodzinnym staniu przy stole operacyjnym bolał go każdy mięsień. Teraz marzył jedynie o gorącym prysznicu, posiłku i ciepłym łóżku. Telefon w klinice na szczęście milczał, czyli dzień pracy rzeczywiście miał się ku końcowi.

Ziewnął szeroko i w tym momencie zauważył przez otwarte drzwi gabinetu, że ktoś tam jest. Stary czarnoskóry mężczyzna. Siedział na krześle, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach. Sękate palce nerwowo mięły rondo kapelusza.

Na widok Harrisa natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Co z nią?

- Nadspodziewanie dobrze, jak na ptaka, który miał w skrzydłach mnóstwo śrutu. Na szczęście wszystkie kości w porządku, aż trudno w to uwierzyć.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknął z ulgą stary człowiek, spoglądając na Harrisa rozpromienionym wzrokiem. - Nie wiem, jak odwdzięczę się panu za pomoc i życzliwość. Może... może na coś się przydam? Kiedy tak tu siedziałem, wypatrzyłem kilka miejsc, które aż się proszą o rękę dobrego cieśli. A tak się składa, że jestem cieślą, podobno niezłym...

- Nie musi pan się za nic odwdzięczać. Przecież po to tu jesteśmy. Żeby pomagać rannym ptakom.

- Ale to nie jest jakiś tam ptak. Ona jest moja.

- Pańska? Nie rozumiem. Orły, jako gatunek zagrożony, są pod ochroną rządu Stanów Zjednoczonych. Tak więc panie... przepraszam, nie znam pańskiego nazwiska....

Stary człowiek wyprostował się, skłonił i wyciągnął rękę.

- Jestem Elijah. Elijah Cooper. Ale proszę nazywać mnie Lijah, tak jak wszyscy.

Harris uściskała jego dłoń, która wydała się zdumiewająco duża i silna.

- Lijahu, a więc mówi pan, że to pański ptak. Czy pan gdzieś go trzyma?

- Trzyma?! Ma pan na myśli klatkę?! - Lijah uśmiechnął się. - Jak można trzymać orła w zamknięciu! Przecież to ptak szlachetny, stworzony, żeby żyć na wolności!

- Więc na jakiej podstawie twierdzi pan, że to pańska orlica?

- Bo jest moja. Chociaż nie, tak naprawdę jest na odwrót. To ona mnie sobie znalazła. Kilka lat temu, kiedy miała jeszcze czarne pióra, podleciała do mnie. Zniżyła lot, może z ciekawości i przysiadła na niskiej gałęzi kilka metrów dalej. Siedziała tam i patrzyła na mnie. W sumie trwało to kilka minut, ale mnie oczywiście wydawało się, że bardzo długo. Ona siedziała, ja stałem. Przyglądaliśmy się sobie. Potem powtórzyło się to raz, drugi. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Nazwałem ją Santee, od rzeki, nad którą spotkałem ją po raz pierwszy.

Harris milczał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie słyszał o podobnym przypadku.

- Proszę mi opowiedzieć dokładnie, co wydarzyło się dziś rano.

- Przyjechałem o świcie zobaczyć się z Santee. Ona ma tu w pobliżu gniazdo. Zaparkowałem samochód przy drodze. Poszedłem na mokradła i zacząłem ją wołać.

- Wołać? Jak?

- A tak. - Lijah uśmiechnął się, zwinął dłonie w trąbkę i przyłożył do ust. Zaraz jednak opuścił ręce. - Lepiej nie, proszę pana. Santee może mnie usłyszeć i będzie wrywała się do mnie.

- Rozumiem. Twierdzi pan, że ona przylatuje na pana wezwanie?

- Oczywiście. Patrzymy na siebie, a poza tym zawsze jej przynoszę coś dobrego do jedzenia. Dziś rano, jak zwykle, zawołałem ją. Wynurzyła się z mgły, zrobiła piękne okrążenie i zaczęła lecieć do mnie. I wtedy... - Twarz Lijaha sposepniała. - Wtedy ktoś strzelił. Jak mógł?! Strzelać do takiego pięknego stworzenia?

- Zastanawiam się nad tym za każdym razem, kiedy wyjmuję kulę z ptaka. Widział pan, kto strzelał?

- Kiedy szedłem po Santee, zauważyłem wśród drzew dwóch mężczyzn ze strzelbami. Stamtąd właśnie padły strzały. Nie podszedłem do nich, chciałem jak najszybciej odnaleźć Santee. Ale jestem prawie pewien, że to byli oni.

- Trzeba zawiadomić policję.

- Już do nich dzwoniłem. Ta pani, co tu pracuje, pozwoliła mi skorzystać z telefonu. Przyjechali, kiedy pan operował Santee. Powiedziałem im wszystko, co wiedziałem.

- Mam nadzieję, że złapią tych drani. I coś jeszcze. - Harris uśmiechnął się. - Zaczął się okres lęgowy. Powiedziałeś, że ona ma gdzieś w pobliżu gniazdo.

- Tak. Ona i Pee Dee. Nazwałem ich oboje nazwami rzek. Oboje są dobrymi rodzicami. W tym gnieździe wysiadują już drugi raz. Poprzednim razem mieli dwójkę młodych. Mieszkam w St.Helena. Ale przyjeżdżam tu, by sprawdzić, co się z nimi dzieje. Nocuję na kempingu albo u znajomych. Długo nie zostaję, ale przyjechać muszę. Santee lubi tutaj chować młode, może dlatego, że sama tu się urodziła.

- Prawdopodobnie. Ale okres lęgowy dopiero się zaczyna. Może Santee jeszcze nie złożyła jaj.

- Tego nie wiem, proszę pana. Przyjechałem dopiero dziś rano. Przedtem widziałem tylko, jak krzątała się koło gniazda.

- Pokażesz mi to gniazdo? Pee Dee może mieć problem z wysiadywaniem jaj. Możliwe też, że pisklęta już się wykluły. Zdarza się, że osamotniony samiec je porzuca.

- Będę obserwować.

- A może gdybyśmy...

Harris urwał w pół zdania, ponieważ ktoś ostrożnie pociągnął go za spodnie. Spojrzał w dół i jak się spodziewał, zobaczył słodką buzię swojej pięcioletniej córeczki.

- Tatusiu, pojedziemy już na te zakupy? Proooszę...

Zakupy. Wigilia. Zmierzch. Te trzy fakty, zebrane razem, podziałały na Harrisa jak kubeł lodowatej wody. Jak mógł zapomnieć o obietnicy danej dziecku? Spojrzał w okno. Była dopiero czwarta po południu, a już zaczynał zapadać zmierzch. W

powietrzu wirowały pierwsze płatki śniegu, tym jednak nie należało się przejmować. Jeśli się pośpieszą, zdążą jeszcze pojechać do miasta i wrócić o przyzwoitej porze.

- Oczywiście, skarbie - odpowiedział, żartobliwie wicherząc włosy córeczki. - Za chwilę będę wolny.

- Pójdę już - powiedział Lijah i sięgnął po swój kapelusz. - Są święta, wiadomo, że pan i córeczka macie zajęty wieczór.

- Jedziemy do miasta, na zakupy. Może gdzieś cię podrzucić?

- Dziękuję. Mam tu w okolicy bliskich znajomych, przejdę się. Siedziałem tu przez cały dzień, warto trochę rozprostować stare nogi. Jeszcze raz dziękuję, że zajął się pan moją Santee. Jeśli pan pozwoli, wpadnę jutro ją odwiedzić. - Pochylił śnieżnobiałą głowę i uśmiechnął się ciepło do Marion. - Wesołych świąt, panienko.

Marion uśmiechnęła się nieśmiało i schowała za nogą ojca.

- Pogadamy jeszcze. Bardzo chciałbym sprawdzić, co dzieje się z tym gniazdem - powiedział Harris.

Lijah skinął głową i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Harris przykucnął i objął drobne ramionka dziecka.

- Widzisz, skarbie? Pada śnieg. Widzisz go chyba po raz pierwszy, bo nawet ja nie pamiętam, kiedy ostatnio mieliśmy białe święta. Dobrze, że pada, Świętemu Mikołajowi łatwiej będzie tu przyjechać.

- Mówiłeś mi, że Świętego Mikołaja nie ma.

- Naprawdę tak powiedziałem? Ja?!

Dziewczynka z powagą skinęła główką.

Nigdy nie zachęcał dziecka do wierzenia w bajki, Świętego Mikołaja czy Zajączka Wielkanocnego. Sam wierzył przede wszystkim w piękno przyrody. Wierzył w człowieka, oczywiście nie w takiego, co dla sportu faszeruje orła śrutem. A teraz, chociaż zmęczony i głodny, postanowił zrobić wszystko, żeby dziecko uwierzyło w magię świąt.

Kiedy Harris razem z córeczką wszedł do Wal-Martu, najpierw oślepiło go ostre światło jarzeniówek, a zaraz potem przytłoczył nadmiar wszystkiego. Rzeczy i ludzi. Bo i na co to komu? Te jasnoczerwone kokardy, najróżniejsze świecidełka,



Święci Mikołajowie na pęczki. Głośne i natarczywe świąteczne piosenki, tłum ludzi. Wszyscy ogarnięci szałem zakupów.

- Tatusiu, chce mi się pić!

- Znowu? Przecież piłaś przed wyjściem z domu. I po drodze, na stacji benzynowej.

- Tak. Ale znowu mi się chce. Kupisz mi to? - spytała, wskazując na szklaneczki z niebieskawym napojem wystawione na kontuarze barku.

Harris przyjrzał się córeczce uważniej. Twarz zarumieniona, oczy szkliste. Rano wypłała mnóstwo soku, a jednak męczy ją pragnienie. Może jest chora?

- Wiesz co, kotku? Najpierw wybierzemy dla ciebie prezent, a potem znajdziemy jakąś wyjątkowo ładną restaurację i zjemy nasz wigilijny obiad. Będziesz mogła zamówić sobie, co chcesz. Zgoda?

- Dobrze - odparło dziecko.

Bez cienia entuzjazmu. Dziwne. Harris, trochę rozczarowany, zaprowadził córeczkę do działu zabawek. Marion podeszła do regału z lalkami. Żadnych okrzyków zachwyty, żadnego radosnego pisku.

- Coś nie tak, skarbie? Wzruszyła tylko ramionkami.

- Mówiłaś, że pod choinkę chcesz lalkę, ale mają tu mnóstwo innych zabawek. Różne gry, pluszaki, sprzęt sportowy... Hej! A co powiesz na rower?

Marion powoli odwróciła głowę.

- Tatusiu, ty wiesz, co ja bym najbardziej chciała pod choinkę.

Oczywiście, że wiedział. Przykucnął, zastanawiając się jednocześnie gorączkowo, co powiedzieć.

- Kochanie, nie mogę dać ci pod choinkę mamy. To niemożliwe. Ale mam pomysł. Wybierz sobie lalę, która będzie do niej podobna. Spójrz, jakie one są piękne.

Znów kompletny brak entuzjazmu. Marion przemknęła wzrokiem po regale i wskazała paluszkami na lalkę Barbie w jaskraworóżowej balowej sukni.

- Znakomicie wybrałaś, skarbie! Ta lalka jest bardzo ładna. Jak ją nazwiesz? - spytał z nadzieją, że Marion nie nazwie lalki imieniem matki.

- Lulu.

- Świetnie. A teraz tatuś pójdzie do kasy. Zostań tu, pooglądaj inne lalki. Nie wolno ci stąd odchodzić. Pamiętaj. Tatuś zaraz wróci.

Mała skinęła główką. Harris, z lalką Barbie w ręku, pognął do kasy. Musiał stanąć w kolejce. Niestety, długiej, bo nie on jeden robił zakupy w ostatniej chwili. Kolejka poruszała się powoli, dokładnie w tempie piosenki „Białe Boże Narodzenie”, która rozbrzmiewała z głośników. Harris miał dość czasu, żeby zlustrować wzrokiem drobiazgi wyłożone w regałach koło kasy i to i owo dokupić. Pierniczki, czerwoną aksamitną skarpetkę wypełnioną cukierkami, małego renifera z pluszu i kolorowy papier do pakowania.

W końcu dotarł do kasjerki. Położył na taśmie swoje zakupy i wyciągnął z podniszczonego portfela kilka banknotów. Potem sprawdził palcami, ile banknotów zostało w portfelu, zastanawiając się jednocześnie, ile może wydać na obiad.

W takich chwilach zawsze pojawiała się refleksja, czy dobrze zrobił, poświęcając swoje życie na ratowanie dzikich ptaków. Większość biologów pracujących w ochronie dzikiej przyrody jest świadoma, że ten rodzaj pracy wymaga bezgranicznego poświęcenia, które odbija się niekorzystnie na ich życiu prywatnym. O kontaktach bankowych nie wspominając.

Harris westchnął i schował portfel do kieszeni. Cóż, gdyby miał zaczynać wszystko od początku, na pewno dokonałby identycznego wyboru.

Spojrzał na dział z zabawkami i nagle serce podskoczyło mu do gardła. Jasna główka Marion znikła. W miejscu, gdzie zostawił dziecko, kilka osób, bardzo poruszonych, pochylało się nad czymś, co leżało na podłodze. Albo nad kimś.

- Marion!

Staranował kolejkę. Roztrącił grupkę gapiów. Marion leżała na podłodze. Twarz poszarzała, oczy nieprzytomne. Całym ciałem wstrząsały drgawki.

Chwycił dziecko na rękę, drżącymi palcami zaczął rozpinać różowy skafander i ściągać kaptur. Chryste, co to może być? Epilepsja? Gorączka? Gdyby to był jastrząb czy orzeł...

To było jego dziecko, a on absolutnie nie wiedział, co robić.

- Lekarza! - krzyknął. - Proszę! Niech ktoś natychmiast zadzwoni po pogotowie!

*Jastrzębie: napastnicy z leśnej głuszy. Jastrzębie to zwinni myśliwi, pełni determinacji. Ich krótkie, nieco zaokrąglone skrzydła i dość długie ogony przystosowane są do gwałtownego przyspieszania i przemykania się wśród gałęzi drzew i zarośli podczas polowania na inne ptaki. Do jastrzębi zaliczamy krogulca zmiennego, krogulca czarnołbistego i jastrzębia gołębiarza.*

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Harris nigdy nie podejrzewał, że czyjeś życie w ciągu kilku tygodni może zmienić się aż do takiego stopnia. Chwilami prawie słyszał, jak bogowie naśmiewają się z jego pychy. Do niedawna był przecież przekonany, że ma wszystko pod kontrolą...

Stał teraz w salonie swego niewielkiego drewnianego domu i patrzył na córkę. Leżała na sofie, w ciepłutkim kokonie z poduszek i starego żółto-brązowego koca. Oczywiście, z Wytworną Lulu w objęciach. Błękitne oczy w obramowaniu jasnych rzęs wbite w ekran telewizora.

Zwyczajna pięciolatka oglądająca kreskówki.

Niestety, nie taka zwyczajna. Było coś, co różniło ją od rówieśników.

Marion miała cukrzycę wieku młodzieńczego.

Cukrzyca. Kiedy tamtego wieczoru lekarz postawił diagnozę, Harris poczuł się, jakby ktoś uderzył go prosto w splot słoneczny. Oczywiście wiedział trochę o tej chorobie. Cukrzyca to podwyższony poziom cukru w organizmie. Chorzy przyjmują insulinę. Dorośli, nie małe dzieci. Nie pięciolatka, która nigdy przedtem na nic poważnego nie chorowała!

Później jednak, kiedy zaczął czytać o tej chorobie, rozpoznał u Marion wszystkie symptomy cukrzycy typu 1, najrzadziej występującej, ale też najbardziej niebezpiecznej. Nadmierne łaknienie, częste oddawanie moczu, ubytek wagi,

rozdrażnienie. On, ojciec, zbagatelizował te sygnały ostrzegawcze. Poziom cukru we krwi Marion spadł tak bardzo, że dostała drgawek. Czuł się najgorszym ojcem na świecie, jednocześnie jednak nie miał zbyt wiele czasu na wyrzuty sumienia, ponieważ życie z cukrzykiem jest wyjątkowo absorbujące. Chociażby dieta. Każdy posiłek, nawet najmniejszy, oznaczał dylemat. Ile to kalorii i jaka będzie reakcja organizmu.

Marion, wpatrzona w telewizor, wyglądała słodko i niewinnie. Niestety, tylko do czasu. Harris zrobił bardzo głęboki wdech, który miał mu pomóc w przetrwaniu tego, co teraz nastąpi.

- Marion? Pora zrobić test.

Natychmiast cała słodycz znikła z twarzyczki dziecka.

- Nie!

- Skarbie, wiesz przecież, że musimy to zrobić.

- Nie!

Niestety, zanosilo się na kolejną walkę. Harris zaczął powoli zbliżać się do sofy. Marion w międzyczasie wcisnęła się plecami w oparcie, wyrzucając przed siebie ręce. Dlatego Harris podchodził do niej powoli, przemawiając łagodnym, przyciszonym głosem.

Złapał ją jednym zręcznym ruchem. Marion natychmiast zaczęła pisać, kopać i okładać go piąstkami.

- Nie! Ja nie chcę! Nie! Nie!

- Halo! Halo! A co tu się dzieje?

Przez wrzaski Marion przebił się inny głos, znajomy. Harris rozpoznał go od razu, Marion też, i znieruchomiała. Niestety, tylko na sekundę, po czym rzuciła się do walki z jeszcze większą energią.

- Czyżby ktoś próbował dokonać krwawej zbrodni? - spytała Maggie, ukazując się w progu.

- Podejrzewam, że byłoby to o wiele łatwiejsze - rzucił Harris przez ramię. - Muszę ukłuć ją w palec, żeby zmierzyć poziom cukru. Ej! Marion! Przestań mnie kopać!

Maggie zachichotała.

- Może pomóc?

- Będę ci do zgonnie wdzięczny.

Maggie podeszła i z tą samą zręcznością, z jaką zajmowała się ptakami, szybko złapała Marion za nogi, skutecznie je unieruchamiając. Dziewczynka jednak nie poddawała się. Wiła się, szarpała.

- O, matko... - jęknęła Maggie. - Ona jest silniejsza niż puchacz wirginijski!

- I dziobie tak samo jak on! Szybko, przytrzymaj jej lewą rękę!

Maggie natychmiast wykonała polecenie. Harris sprawnie nakłuł jeden z paluszków i przyłożył do niego pasek testowy, żeby nasiąknął krwią.

- Gotowe! - obwieścił triumfalnym głosem. W jednej chwili duch bojowy opuścił Marion.

Ramionka opadły, z oczu trysnęły łzy.

- Nie można by tego robić jakoś spokojniej? - spytała półgłosem Maggie, dyskretnie oglądając siniaki na ręku.

- A znasz jakiś sposób? - Harris wzruszył ramionami i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać rozżalone dziecko, ale mała cofnęła się gwałtownie.

- Nienawidzę cię!

Zsunęła się z sofy i pobiegła na górę, do swojego pokoju. Drzwi trzasnęły. Karris przecesał ręką włosy, Maggie wzniosła oczy ku niebu.

- Jak często musisz to robić?

- Sześć razy dziennie, no i trzy razy dziennie zastrzyk z insuliny.

- Panie, zmiłuj się nad tym dzieckiem!

- I ojcem. Na początku Marion próbowała być dzielna, ale teraz... prowadzimy regularną wojnę.

- Przykro mi to mówić, ale chyba przegrywasz.

- Na tym polega problem, Maggie. Nie mogę przegrać. Tu chodzi o życie Marion.

Sięgnął po glukometr, odczytał wynik i wyraźnie usatysfakcjonowany, położył wszystko na stole.

- W pierwszym tygodniu nawaliłem. Sprawdziłem poziom cukru raz, drugi. Wyglądał dobrze, pomyślałem więc, że nie będę tak często dziecka męczył. A potem Marion zasłabła. Chwała Bogu, że istnieje coś takiego, jak tabletki z glukozą. Krótko

mówiąc, tu nie wolno niczego spaprać. Dlatego zamierzam zatrudnić kogoś, kto zaopiekuje się Marion. Przez całą dobę. Zamieszka tutaj.

- Tutaj? A jak ty to sobie wyobrażasz, Harrisie? Przecież ten dom jest bardzo mały.

- Oddam jej swój pokój. Sam zakwateruję się w gabinecie.

- Będzie wam okropnie ciasno.

- Trudno. Muszę kogoś zatrudnić, przynajmniej na jakiś czas. Dałem ogłoszenie do gazety i zgłosiła się już kandydatka. Zgodziła się tu przyjechać. Proszę, Maggie. Jesteś do tego nastawiona sceptycznie, ale nie rób mi teraz żadnego wykładu. Tak naprawdę, to ja i Marion potrzebujemy przede wszystkim wsparcia.

Maggie, choć z natury wyjątkowo elokwentna, skinęła tylko głową i serdecznie objęła swojego szefa.

- Harrisie, ale wiesz, gdybyś mnie potrzebował, wystarczy zadzwonić.

- Jasne. Dzięki. Przecież zawsze tak robię.

Harris zapukał do pokoju Marion. Cisza. Przyłożył ucho do drzwi. Na szczęście, nie słychać było żadnego szlochu ani mamrotania o tym, jaki ten tatuś wstrętny. Może zasnęła? Ostrożnie uchylił drzwi. Marion leżała na łóżku i bawiła się Wytworną Lulu.

- Mogę wejść, Marion?

- Nie!

- Trudno. I tak wejdę.

Przysiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się do córeczki.

- No i jak tam? Dalej mnie nienawidzisz? Mała, głaszcząc lalkę po głowie, wydeła usta.

- Nienawidzę tych zastrzyków.

- Wiem, skarbie. Ale musisz je dostawać. Każdy diabetyk je dostaje.

- Nienawidzę, że jestem tym... tykiem. Harrisa uśmiechnął się, niewesoło oczywiście.

Pochylił się i pocałował czubek kędzierzawej główki.

- Och, moje ulubione perfumy!

- Tato! Przecież ja się nie perfumuję! - zaprotestowała gorąco Marion. Chwała Bogu, bo to był jeden z ich ulubionych żarcików. Czyli znak, że burza przeszła.

- Skarbie, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Marion nie odpowiadała, zajęta poprawianiem obcisłego staniczka sukni na imponującym biuście lalki. Harris poczekał cierpliwie, aż Marion zapnie zatrzask i odłoży lalkę na bok.

- A więc... Mamy problem, skarbie. To znaczy, ja mam problem. Opieka nad tobą nie bardzo mi wychodzi. Potrzebny jest ktoś, kto będzie podawał ci leki i dbał o twoją dietę. Ktoś, kto zrobi to lepiej ode mnie.

- Tatusiu! Przecież ty to robisz bardzo dobrze!

- Nie, Marion. Oboje dobrze wiemy, że wcale mi to nie wychodzi.

- Tatusiu, ja już nie będę kopać...

- Skarbie, nie o to chodzi. Chociaż... No, w pewnym sensie może trochę i tak... - Uśmiechnął się i objął córeczkę ramieniem. - Chodzi przede wszystkim o to, że ja bardzo dużo pracuję. Przez wiele godzin nie ma mnie w domu. A ktoś powinien stale z tobą być. Po prostu opiekować się tobą.

- A nie może robić tego Maggie?

- Maggie też pracuje w klinice, kochanie. Poza tym ma własną rodzinę.

- Tatusiu, to ty chcesz, żeby przychodziła do mnie nowa baby-sitter? Taka jak Katie?

- Coś w tym rodzaju. Pamiętasz jednak, że Katie wieczorem zawsze szła do swojego domu. A ta nowa pani, opiekunka, będzie z nami mieszkać. Będzie ci czytać, gotować obiad, pomagać ci rano przy ubieraniu. I, co najważniejsze, dopilnuje, żebyś przyjęła lek.

- Te zastrzyki?

- Tak, skarbie. Chodzi też o zastrzyki. Marion skrzywiła się.

- To ja wcale nie chcę, żeby ona tu była! Ma tu mieszkać? Przecież ona nie jest moją mamą!

- Oczywiście, że nie. Ta pani będzie u nas pracować. Wszyscy postaramy się, żeby to jakoś funkcjonowało. Zgoda?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną we czworo kartkę. Rozłożył ją i podsunął do światła.

- Dałem ogłoszenie do gazety. Zgłosiło się kilka osób. Wybrałem pannę Majors. Jest pielęgniarką, czyli wie bardzo dużo o cukrzycy. Na pewno więcej niż ja. Panna Majors napisała do mnie. Posłuchaj.

Harris odchrząknął i zaczął czytać:

„Szanowny Panie Henderson!

Piszę do Pana w związku z ogłoszeniem, zamieszczonym w »Charleston Post and Courier«, które bardzo mnie zainteresowało, ponieważ niedawno przyjechałam do Charlestonu i szukam pracy. Pochodzę z Rutland, w stanie Vermont. Przez ostatnie dziesięć lat pracowałam tam jako pielęgniarka dziecięca. Prawdopodobnie zdziwi pana fakt, że nie szukam pracy w swoim zawodzie. Przyczyna nie polega na tym, że dopuściłam się jakiegoś uchybienia i straciłam prawo do wykonywania zawodu. Do tego listu dołączam moje wyczerpujące CV, razem wieloma referencjami.

Po wielu latach pracy na ostrym dyżurze czuję wielką potrzebę zmiany miejsca pracy, przynajmniej na jakiś czas. Przyjechałam na południe, żeby zmienić klimat, a także w jakiś sposób moje życie. Kiedy zobaczyłam pańskie ogłoszenie, pomyślałam, że byłoby to świetne rozwiązanie. Mam wieloletnie doświadczenie w opiece nad dziećmi chorymi na cukrzycę, poza tym z wielką chęcią zajęłabym się jednym dzieckiem, a nie, jak dotychczas, wieloma.

Jeśli moja kandydatura panu odpowiada, mogę przystąpić do pracy od razu, na okres jednego roku. Naturalnie, pierwszy miesiąc powinniśmy potraktować jako miesiąc próbny, po upływie którego każda ze stron będzie miała prawo wycofać się z umowy bez żadnych konsekwencji.

Cieszę się, że być może będę miała okazję poznać pana i pańską córeczkę. Proszę jej powiedzieć, że uwielbiam czytać i grać w różne gry. Znam wiele sztuczek z kartami i bardzo jestem ciekawa, co najbardziej lubi Marion.

Z poważaniem  
Ella Elizabeth Majors,  
pielęgniarka dyplomowana"



Skończył czytać. Zapadła cisza. Harris siedział nieruchomo, wpatrując się w list, który dostał w zeszłym tygodniu. Czytał go już kilkanaście razy. Życiorys i doświadczenie zawodowe panny

Majors spodobały mu się od razu, a kiedy sprawdzał jej referencje, usłyszał same superlatywy. Bardzo inteligentna, schludna, sumienna, punktualna, wydajna, odpowiedzialna. Dzięki tym cechom była pielęgniarką pierwszorzędą. Nie uzyskała jednak żadnych informacji, czy panna Majors umie bawić się z dziećmi, czy potrafi gotować, czy po prostu jest sympatyczna. Kierowniczka działu kadr na pytanie, dlaczego Ella Majors odeszła ze szpitala, zapewniła go, że panna Majors nie przechowywała jakichś podejrzanych kości w swojej szafce. Ale potem, zniżając głos, dodała coś, co zachował w pamięci:

- Czasami, proszę pana, pielęgniarce, która pracuje na ostrym dyżurze, trudno patrzeć, jak umiera jeszcze jedno dziecko. Jeszcze jedno. Jakby umierało ich za mało.

- To wszystko, tatusiu?

Skinął głową, chowając list z powrotem do kieszeni.

- Tak. Wszystko. Oprócz tego, że ta pani przyjedzie tu jutro, gdzieś koło południa. No i co o tym myślisz?

- Nie wiem... - Marion wzruszyła drobnymi ramionkami. - A czy ona jest ładna?

Harris uśmiechnął się.

- Nie mam pojęcia. Marion ziewnęła szeroko.

- No to... niech przyjeżdża. Tylko żeby brzydko nie pachniała.

Tym razem Harris roześmiał się w głos i mocno uściskał swoją córkę.

- Mam nadzieję, że tak nie będzie.

Kiedy Marion już zasnęła, Harris, jak co wieczór, poszedł na obchód. Najpierw zajrzał do ptaszarni, do ptaków rezydentów, na stałe przebywających w ośrodku, potem do wolier rehabilitacyjnych z ptakami w trakcie leczenia. Przed wolierą ósmą, w której przebywały trzy rybołowy, zatrzymał się trochę dłużej. Lubił popatrzeć sobie na te ptaki z grubą czarną krechą na oczach. Wyglądały jak Zorro w swojej masce, chociaż nie były żadnymi rozbójnikami, tylko zręcznymi rybakami. Jeden z

rybołówów sapał i oddychał z wielką trudnością. Prawdopodobnie infekcja w płucach. Harris zanotował sobie w pamięci, żeby tego ptaka przebadac jutro z samego rana.

Tą decyzją zakończył obchód i ruszył w drogę powrotną do domu. Z głową wolną już od spraw służbowych mógł teraz spokojnie porozmyślać o swojej decyzji sprowadzenia panny Elli Elizabeth Majors do swojego domu.

Był tak samo czujny jak ptak, na którego terytorium pojawia się ktoś obcy. Bo co innego zatrudniać kogoś na gruncie neutralnym, czyli w miejscu pracy, a co innego sprowadzać go do domu i włączać do codziennego życia. Oznaczało to otwarcie furtki do swojej prywatności. Jak

Harris Henderson, znany powszechnie samotnik, zniesie tego intruza?

Panna Majors w swoim liście napisała, że chciałaby zostać tu cały rok. Czyli dwanaście miesięcy z obcą osobą pod jednym dachem. Trudno. Miejmy nadzieję, że przez ten rok uda się opanować chorobę Marion. Poza tym w końcu to tylko jeden rok. Da się wytrzymać. I chwała Bogu, że panna Majors zgodziła się pracować za minimalną pensję. Ta niewielka kwota co prawda i tak zeżre co do centa wszystkie jego oszczędności, ale jakoś zawsze dawał sobie radę. Będzie dobrze. Chociaż... Kiedy pomyślał o tej małej rewolucji w swoim domu, jakoś trudniej mu było oddychać. Prawie sapał, jak ten biedny chory rybołów.

Następnego ranka o świcie Harris razem z Lijahem poszli do gniazda Santee. Żeby tam dojść, musieli pokonać kilometry mułu i błota wzdłuż rzeki Wando. Harris trudny teren przemierzał równym, sprężystym krokiem. Stary Lijah, o dziwo, też. Nawet nie był zadyszany.

W końcu doszli do grupy bardzo starych, dumnych sosen, otoczonych przez mniejsze drzewa i krzewy, które tłoczyły się wokół pni gigantów jak dzieci, czepiające się spódnicy matki.

- Tutaj! - powiedział Lijah.

Harris wyciągnął szyję. Wysoko, w rozwidleniu gałęzi, widać było głębokie gniazdo w kształcie stożka, zbudowane z grubych gałęzi. Wielkie gniazdo, o średnicy blisko dwóch metrów. Koło gniazda, jak samotny strażnik, siedział orzeł.

- Biedak... - powiedział ze współczuciem Harris. - Jeszcze tu waruje.

Lijah ze smutkiem pokiwał głową.

- Przecież to on większość czasu wysiadywał jaja. Bez Santee było mu bardzo ciężko. Robiłem, co mogłem. Codziennie przynosiłem mu rybę. Kładłem ją pod drzewem i wołałem go. Kiedy poznał, że to ja, zlatywał, łapał rybę i natychmiast wracał do gniazda. Miałem nadzieję, że mu się uda.

- Trudno, Lijahu. Taka jest już kolej rzeczy. Do wysiadywania jaj potrzeba obojga rodziców. Pee Dee musiał od czasu do czasu opuścić gniazdo, żeby zapolować. A jest bardzo zimno, nawet jeśli odleciał na krótko, jaja ulegały wychłodzeniu. Niestety, wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Czasami samiec znajduje samiczkę, która pomaga mu wysiedzieć jaja i odchować pisklęta, jakby były jej własne. Ale to zdarza się bardzo rzadko.

- Szkoda... Szkoda wielka Pee Dee.

- Oczywiście. Ja też bardzo mu współczuję.

Coś w jego głosie musiało zastanowić Lijaha, bo poderwał głowę i spojrzał na Harrisa bardzo uważnie.

- Pan go rozumie, bo też sam opiekuje się swoim dzieckiem?

Harris bardzo rzadko pozwalał sobie na szczerą rozmowę. Uważał, że zwieranie się ze spraw osobistych jest bolesne. Dziwiło go, że wielu ludzi nie ma z tym żadnego problemu. Ale ciepło, emanujące ze starego człowieka, sprawiało, że nie miał teraz żadnych zahamowań.

- Może i tak... Matka Marion, Fannie, odeszła wkrótce po jej urodzeniu. Fannie jest bardzo piękna, niestety ma pewne problemy. Ze sobą. Ale oddała mi Marion i za to będę jej zawsze wdzięczny. Nigdy ani przez moment nie żałowałem, że mam dziecko przy sobie. Staram się, jak mogę. Dbam, żeby było mu ciepło, miało co jeść i w co się ubrać. Pracuję długo, ale nigdy nie zostawiam dziecka samego. Zawsze ktoś z nim jest. A mnie w domu nie ma przez wiele godzin. Prawie codziennie przyjmujemy nowe ptaki na leczenie. Mamy też rezydentów, których trzeba doglądać i szkolić. No i bez przerwy zdobywać fundusze na prowadzenie ośrodka. Na to potrzebne są naprawdę duże pieniądze. A poza tym utrzymanie swojego gniazda też kosztuje!

Spojrzał w górę. Na samotnego orla siedzącego wśród konarów, obok cichego gniazda.

- Jestem bardzo zajęty. Zdaję sobie sprawę, że zrobiłem dużo, ale na pewno kosztem dziecka. Zdobyć pożywienia i opłacić opiekunki to nie wszystko. To nie jest takie prawdziwe czuwanie nad dzieckiem. Dlatego zresztą nie zauważyłem pierwszych oznak choroby. Kiedy ciągle chciało jej się pić i bardzo zmizerniała. Doprowadziłem do tego, że dostała konwulsji. Do cholery, co ze mnie za ojciec? Nie mam co się równać z tym biednym Pee Dee. On się starał. A ja? Ja zawiodłem.

Chciał, żeby Lijah to potwierdził. By powiedział, że fakt, Harris winien jest wszystkiemu. Może wtedy ten głos, który nieustannie wyszeptuje w głowie Harrisa oskarżenia, wreszcie zamilknie.

Ale Lijah tylko pokiwał głową. Na znak, że wysłuchał. I spojrzał w stronę mokradła.

- Z powrotem taki sam kawał drogi. Idę z tobą, synu.

Poszli. Ramię w ramię, przez mokradła. Słońce wschodziło coraz wyżej po lazurowym niebie. Szli, szli i nagle, bez uprzedzenia, Lijah zaczął śpiewać. Jego mocny, dźwięczny baryton unosił się nad mokradłami jak rześki poranny wiatr, który przegania ciemność. Śpiewał świętą pieśń Gullahów, Harris znał tę pieśń, słyszał ją wiele razy, w dzieciństwie, spędzonym nad rzeką Edisto.

O tym, że każdy z nas ma do przebycia swoją drogę. Długą i samotną.

*Sowy: nocni myśliwi. Ptaki drapieżne, prowadzące nocny tryb życia. W dzień wypoczywają, o zmierzchu ożywiają się, gotowe do nocnego polowania. Mają znakomity wzrok i słuch, a ich lot, dzięki miękkiemu, jedwabistemu upierzeniu, jest bezszelestny. Sowy z Karoliny Południowej to puszczyk wirginijski, puszczyk kreskowany, sowa uszata i płomykówka.*

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Skromny czterodrzwiowy sedan wjechał na wąski most na rzece Cooper w chwili, gdy z naprzeciwka nadjeżdżała olbrzymia cysterna. Palce Elli Majors zacisnęły się kurczowo na kierownicy. Na szczęście po kilku minutach minęła most. Jechała przez Mount Pleasant, czyli konsekwentnie oddalała się od Charlestonu. Po obu stronach widać było dużo sklepów, marketów i stacji benzynowych. Czasami mignął elegancki wjazd na osiedle strzeżone albo rozklekotany stragan z koszami ze słodkiej trawy, wyplatany przez potomków niewolników. Im dalej na północ, tym mniej domów, a więcej bujnej zieleni. Ruch uliczny zamierał. A kiedy od zjazdu z mostu minęła dokładnie godzina, po obu stronach drogi pojawił się sosnowy las.

Ella nie była z tego zadowolona. Stanowczo lepiej czuła się na otwartej przestrzeni, poza tym tu wszędzie było rozpaczliwie płasko. Całkiem inaczej niż w zielonych górach Vermontu, które porzuciła miesiąc temu i przeniosła się do Charlestonu. Zatrzymała się w hotelu i zaczęła szukać pracy. Poszła na interview do kilku szpitali, wszędzie przyjmowano ją z otwartymi rękami, ponieważ w mieście brakowało pielęgniarek. Nie skorzystała z żadnej z tych ofert, czując, że na powrót do zawodu jest stanowczo za wcześnie. Jej dusza była wyschnięta, a instynkt podpowiadał, że jeśli nie znajdzie sobie teraz jakiejś oazy, będzie coraz gorzej.

Wtedy to znalazła w gazecie ogłoszenie. Praca z mieszkaniem. Szukano opiekunki do dziecka chorego na cukrzycę, wymagana więc była pewna wiedza medyczna. Ella zaznaczyła sobie to ogłoszenie i zadzwoniła pod wskazany numer.

Nigdy nie wierzyła w cuda, ale w zrządzenie losu - tak. Bo to on zrządził, że w chwili obecnej była w drodze do Awendaw, miasteczka położonego na północ od Charlestonu.

Po mniej więcej kilkunastu kilometrach krajobraz przestał ją interesować. Teraz zaczęła zwracać uwagę na drogowskazy, żeby w odpowiednim momencie zjechać z autostrady. Wreszcie wjechała na wąską, wysypaną żwirem drogę, która zdawała się prowadzić donikąd.

Były to tylko pozory, bo po kilku sekundach podjechała pod szeroką żelazną bramę, zagradzającą drogę. Na bramie siedział tłusty, biały kogut. Kiedy hamowała pół metra przed nim, ani drgnął, tylko spojrzał z wyższością.

Ella uśmiechnęła się pod nosem. A zatem dojechała do Coastal Carolina Center for Birds of Prey.

Wysiadła z samochodu, pewna, że kogut z łopotem skrzydeł usunie się z bramy, wydając gniewne skrzeki.

Nic z tych rzeczy. Ptak dalej ani drgnął, kiedy odczepiła ciężki łańcuch i otworzyła bramę na oścież. Wróciła do samochodu, wjechała do środka. Wysiadła i powoli zamknęła bramę. Kogut ze stoickim spokojem odbył króciutką przejażdżkę z powrotem do punktu wyjścia.

Tajemniczy strażnik... Roześmiała się, zerknęła w lewo, w prawo i nagle poczuła się, jakby znalazła się w całkiem innym świecie. Po obu stronach ciągnęła się prawdziwa dżungla sosen, zimozielonych dębów i kęp chińskiego bzu. Opuściła szybę. Chłodne, wilgotne powietrze wypełniło wnętrze samochodu, niosąc zapach trawy, mchu i zbutwiałych liści. Był luty, a tu, w Lowcountry, wystarczyło nałożyć bluzę z polaru. O rękawiczkach można było zapomnieć.

Dojechała do polanki, na której zaparkowanych było kilka samochodów. Wysiadła i z ciekawością rozejrzała się dookoła. Wśród drzew dostrzegła kilka niewielkich drewnianych budynków. Jeden z nich, biały, był zdecydowanie większy. Parterowy, z wysokim spadzistym dachem i gankiem od frontu. Solidna podmurówka z czerwonej cegły, słupy ganku prościutkie, jak plecy starej panny. Nad dużym kominem unosił się obłoczek białego dymu, rozsiewając dookoła cudny zapach cedru.

Kiedy jednak człowiek przyjrzał się uważniej, mógł dostrzec, że drewniane ściany miejscami są szare, a podwórze wokół domu resztką sił stawia opór otaczającej go dzikiej przyrodzie. Na sporym ganku stały dwa ładne stylowe krzesła, narzędzia ogrodnicze, para solidnych butów, dobrych na każdą pogodę oraz drewniana beczka, wypełniona kawałkami drewna. Wszystko to razem wyglądało bardzo sympatycznie. Był to dom, w którym ludzie mieszkali naprawdę.

Był to dom, który - o ile wszystko pójdzie dobrze - na kolejne dwanaście miesięcy stanie się również jej domem. Ella zostanie włączona do codziennego życia jego mieszkańców, będzie opiekować się chorym dzieckiem. O ile wszystko pójdzie dobrze, pobyt tutaj okaże się dobrą terapią. Pomoże Elli odzyskać radość i sens życia.

Zdjęła okulary, wygładziła długą spódnicę koloru khaki i pomaszrowała przez wydeptane podwórko. Weszła po sześciu schodkach z czerwonej cegły i z ulgą stwierdziła, że ganek jest zamieciony. Było czysto.

Na drzwiach przyklepiono taśmą karteczkę:

„Proszę pukać. Dzwonek nie działa”.

Uśmiechnęła się i zastukała do drzwi. Otworzyły się dosłownie po minucie. Szczupłutka dziewczynka, chyba pięciolatka, z kędzierzawymi włosami, nie puszczając klamki, spojrzała na Ellę nieufnie. Pięknymi oczami koloru chabrow.

Ella uśmiechnęła się.

- Dzień dobry! Ty na pewno jesteś Marion! Cisza.

- Jestem Ella. Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć.

Dziecko, puściwszy klamkę, wyrzuciło z siebie gwałtownie:

- Ty wcale nie jesteś ładna.

Ella wybuchnęła głośnym śmiechem. Na krótko.

- Wiem. Ale jestem inteligentna, a to o wiele ważniejsze.

Z tyłu, z półmroku zaczął wynurzać się mężczyzna. Stanął za dzieckiem.

Wysoki, szczupły, chyba dobiegał czterdziestki.

- Dzień dobry. Jestem Harris Henderson - powiedział, wyciągając dłoń. - Panna Majors? Proszę do środka.

Uścisnęli sobie ręce. Męska dłoń była ciepła, palce szczupłe i silne. Mankiety świeżo wyprasowanej koszuli wystrzępione.

- Dziękuję.

- Widzę, że odnalazła pani drogę. Bardzo dużo ludzi nie zauważa zakrętu.

- Dzięki pańskim wskazówkom dojechałam bez problemu.

Miał sympatyczną twarz. Przystojną. Oczy niebieskie, jak córki. Spojrzenie skupione. Prawdopodobnie był teraz tak samo spięty jak ona.

- Zimno dziś - powiedział, zamykając za nią drzwi.

- To rzecz względna. W moich stronach taki luty byłby wyjątkowo ciepły.

- Pani pochodzi z Vermontu, prawda?

- Tak. Z Wallingford, małego miasteczka na południu stanu, ale przez ostatnie kilka lat mieszkałam w Rutland. Pracowałam w tamtejszym szpitalu.

- Rozumiem. Czyli ma pani za sobą długą drogę. Napije się pani kawy? Albo herbaty?

- Z wielką chęcią napiję się kawy, dziękuję. Z mlekiem.

- Zaraz podam. Proszę usiąść i czuć się jak u siebie w domu.

Znikł. Ella dyskretnie rozejrzała się dookoła. Sufit nisko, podłoga z ciemnego drewna i grube czerwone zasłony. Na końcu pokoju, koło drzwi do kuchni, stał okrągły stół i cztery krzesła. Kilka innych krzeseł, każde z innej parafii, oraz stara wysiedziana sofa ustawiono przed kamiennym kominkiem. Do kominka wstawiono czarny, żelazny piecyk. Ściany ozdobione były oprawionymi w ramki fotografiami wielkich ptaków w locie. Poza tym dojrzała kilka półek uginających się pod książkami. Pokój nieduży, piecyk na drewno w zupełności wystarczał, żeby było w nim ciepło i przytulnie.

Zdjęła kurtkę, świadoma, że mała Marion śledzi każdy jej ruch, i spytała łagodnie:

- Gdzie jest twój pokój, Marion?

Marion bez słowa podeszła do drzwi w bocznej ścianie. Otworzyła je i obie weszły do wąskiego korytarza dzielącego dom na pół. Ella najpierw zerknęła do łazienki wyłożonej żółtymi kafelkami. Dużej, ale urządzonej bardzo skromnie. Stara wanna na wygiętych nóżkach. Na metalowym wieszaku wisiały ręczniki, każdy innego koloru. Na umywalce i na wannie leżały nienaruszone kostki mydła.

Prawdopodobnie była to jedyna łazienka w tym domu.



- A tutaj jest pokój tatusia!

Marion uchyliła kolejne drzwi. Ella zobaczyła czarne żelazne łóżko przykryte białą kołdrą, chyba nową.

Odwróciła głowę i spojrzała na przeciwległe drzwi.

- A co tam jest?

- Gabinet tatusia.

- Rozumiem. A ty gdzie śpisz? Marion pokazała paluszkiem na sufit.

- Na strychu. Tatusz zrobił tam pokój dla mnie. Różowy. To mój ulubiony kolor.

Schody są za kuchnią.

- A czy na górze jest jeszcze jakiś pokój?

- Nie. Tylko mój. Tam jest tylko jedno łóżko. I duża szafa, w której tatuś chowa swoje rzeczy.

- Rozumiem.

Ella, trochę zdezorientowana, wróciła do pokoju i usiadła na jednym z twardech krzeseł niedaleko kominka. Po chwili zjawił się Harris. Przyniósł kawę, talerz z pierniczkami, prawdopodobnie pozostałość ze świąt, oraz drugi talerz z krakersami obsypanymi kawałeczkami sera. Przyniósł też niebieski fajansowy dzbanek z mlekiem. Nalał mleka do szklanki, szklankę postawił przed Marion, położył na jej talerzyku kilka krakersów. Dziecko natychmiast zaczęło jeść. Ella zajęła się pić kawę, czekając, aż Harris ze swoją kawą usadowi się na sofie.

- Panie Henderson - odezwała się po chwili, prostując się w swoim krześle - pan pozwoli, że przejdę od razu do sprawy zasadniczej. Warunki mieszkaniowe są tu... jakie są, prawda?

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że dom jest mały. Kiedy się ociepli, przeniosę się do chaty nad stawem. Nie ma tam ogrzewania, więc...

- Panie Henderson, mnie nie chodzi o cały dom. Wszystko jest w porządku. Zastanawiam się tylko, który pokój przeznaczył pan dla mnie.

- Pokój dla pani? Przepraszam, powinienem był od razu pokazać. Zajmie pani moją sypialnię. To największy pokój, z okna jest bardzo ładny widok na staw. Wstawiłem tam też mały telewizor i biurczko.

- Czyli wyrzucam pana na jakiś czas z jego własnego pokoju?

- Nie ma problemu. Będę spał w gabinecie, na kanapie. A tak w ogóle to ja prawie cały dzień jestem w klinice.

Ella zauważyła, że Marion popatruje na pierniczki. Szybko położyła na talerzu dziecka kilka krakersów z serem, kodując sobie w pamięci, że należy z domu usunąć wszystkie słodczyce.

- Czy mógłby mi pan opowiedzieć o cukrzycy dziecka? - spytała. - Jaką dawkę insuliny teraz przyjmuje?

Harris otarł serwetką usta.

- Marion, skarbie, idź się pobawić do siebie. Panna Majors i ja chcemy porozmawiać.

- Muszę iść? - spytało dziecko rozżalonym głosem.

- Możesz zostać - powiedziała Ella.

- Nie - oświadczył stanowczym głosem Harris. - Uważam, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.

- A mnie się wydaje, że Marion powinna zostać. Może mieć jakieś pytania. Przecież to ona jest chora, prawda?

Harris milczał. Trudno było nie zauważyć, że trochę się zdenerwował.

- Nie chcę, żeby bała się swojej choroby - powiedział po chwili.

- Może już się czegoś boi i dobrze by było porozmawiać na ten temat.

Harris ponownie zwrócił się do córki.

- Marion, chcesz być obecna przy naszej rozmowie czy wolisz pobawić się w swoim pokoju?

- Chcę zostać - oświadczyła dziewczynka bez wahania, sadowiając się wygodniej na sofie. Harris zacisnął usta, ale nie protestował. Ella westchnęła w duchu. Nie mogła ustąpić.

Rozmawiali długo na temat choroby Marion. W trakcie tej rozmowy Ella zauważyła, że dziewczynka, choć drapała jakiś strupek i popatrywała w sufit, słuchała bardzo uważnie. Ella wiedziała, że każde dziecko, w zależności od swojego charakteru i stopnia dojrzałości, reaguje na chorobę inaczej. Ale wszystkie bez wyjątku chciały wiedzieć, co dzieje się w ich organizmie, a przede wszystkim, ile muszą brać codziennie zastrzyków.

Po zakończeniu rozmowy Harris zaproponował:

- Może chce się pani przejść, rozejrzeć po okolicy, póki jest jeszcze widno?
- Bardzo chętnie. Proszę powiedzieć, kiedy

Marion miała po raz ostatni sprawdzany poziom cukru.

Kątem oka zauważyła, jak twarz dziecka uległa natychmiastowej metamorfozie.

Pojawił się na niej bunt. A Harris wyraźnie zbladł.

- Sprawdzalem tuż przed pani przyjazdem. Ella spojrzala na zegarek.
- Ale emocji bylo sporo. Mysle, ze warto teraz zrobic test, przed pójsciem na spacer.

- Oczywiście.

W tym momencie Marion zaczęła wrzeszczeć, a także jęczeć, machać rękami i nogami. Harris chciał podejść do córki, ale Ella stanowczo go powstrzymała.

- Wystarczy, młoda damo - odezwała się głosem na tyle donośnym, żeby zagłuszyć zawodzenia dziecka. - Będę robiła ci test cztery, pięć, sześć razy dziennie, będę ci też robiła zastrzyki. Codziennie. To moja praca. Marion, posłuchaj mnie...

Podeszła szybko do dziecka, chwyciła je za ramiona i zmusiła, żeby usiadło.

- Marion! - odezwała się głośniejszym głosem, ignorując ciosy zadawane piąstką.

Marion, o dziwo, zamilkła.

- Posłuchaj, dziecko. Nie musisz się niczego bać. Jestem pielęgniarką. Robiłam zastrzyki setkom dzieci.

- Ale to boli.

- Wiem. Ale jeśli będziesz siedziała spokojnie, prawie nie poczujesz. A wkrótce do tego przywykniesz. Obiecuję. To co, zabieramy się do dzieła? Przedtem chciałabym ci coś pokazać. Panie Henderson, czy mógłby pan podać mi moją torbę?

Harris natychmiast podał torbę. Ella poszperała w niej chwilę i wyciągnęła małe plastikowe pudełeczko.

Marion spojrzała na nie nieufnie.

- A co to jest?

- Czarodziejskie pudełeczko, które potrafi ukłuć paluszek tak szybko, że nawet nie zauważysz. Ale przedtem zrobimy sobie małą wycieczkę. Och, nie bój się, głuptasku, idziemy tylko umyć rączki. Chodź!

Wzięła Marion za rękę i pociągnęła za sobą do łazienki. Po drodze spojrzała szybko przez ramię i rzuciła do Harrisa bezgłośnie: Pasek testowy. Oczywiście zrozumiał. Skinął głową i poleciał po sprzęt.

Namydliła dziecku rączki, rozglądając się jednocześnie po łazience. Widać było, że ktoś dokłada starań, żeby kafelki i umywalka były czyste. Ale daleko im było do szpitalnej czystości.

- Świetnie, Marion. Teraz obejrzymy twoje paznokietki.

Zaczęła je oglądać z wielką uwagą, jednocześnie delikatnie masując paluszek, który zamierzała ukłuć.

- Hm... Może i warto je obciąć? Zrobimy to później. A może pomalujemy? Na różowo? Mówiłaś, że to twój ulubiony kolor. Marion rozpromieniła się.

- Teraz opłuczemy rączki - powiedziała Ella. Marion odwróciła się z powrotem do umywalki, Ella szybko wyjęła z kieszeni glukometr. Spojrzała na Harrisa, który natychmiast podał jej pasek testowy.

- Świetnie. Pora na kontrolę... - Ella chwyciła rączkę dziecka. - Rączki czyściutkie, paznokcie też. Zrobimy to? Im szybciej, tym lepiej.

Zanim wojowniczy nastrój Marion zdążył powrócić, faktycznie było już po wszystkim. Ella błyskawicznie dokonała nakłucia i przyłożyła pasek.

- Gotowe!

Wręczyła Harrisowi glukometr i pasek, żeby sprawdził odczyt.

- Myślę, że teraz możemy iść na spacer!

Wzięła Marion za rękę, ale dziewczynka spojrzała na nią z wyrzutem i wyrwała się. Ella przyjęła to spokojnie. Mała miała prawo być obrażona.

- Marion, poprowadzisz nas? - spytał ojciec. Dziewczynka skinęła główką i poszła przodem. Dorośli za nią.

- Do ptaków zajrzemy jutro - powiedział Harris. - Większość z nich to ptaki o dziennym trybie życia. Już odpoczywają, nie będziemy im więc przeszkadzać. Tam... - wskazał na biały dom w kształcie litery L, ze spadzistym dachem - jest klinika. Dokonujemy w niej różnych zabiegów, robimy operacje, poza tym mamy szpitalik. Zasadniczo przyjmujemy ptaki drapieżne, ale jeśli czasami ktoś przyniesie ibisa, nie odmawiamy.

- I jeszcze wrony, tatusiu.

- O, tak. Mamy dwie wrony - przytaknął Harris, uśmiechając się do dziecka. - Marion bardzo je lubi.

- A ja widziałam na bramie koguta - powiedziała Ella. - Wydaje mi się, że to nie jest ptak drapieżny.

- Na pewno nie! Nie mamy pojęcia, skąd się tu wziął. Po prostu zjawił się pewnego pięknego dnia i został. Wysiaduje na gałęzi sosny, jak na grzędzie. Schodzi na dół, kiedy jest głodny i szuka robaków. Oczywiście dokarmiamy go, zwłaszcza teraz, w zimie. To kogut z charakterem. Bardzo czujny. Wszyscy bardzo go lubimy.

- Jak się nazywa?

- Zasadniczo nie nadajemy ptakom imion. To dzikie stworzenia, a nie nasi domowi ulubieńcy. Chociaż niektóre mają imiona, ale tylko te, które zostają u nas, bo z takich czy innych powodów nie możemy wypuścić ich na wolność. Tam jest ptaszarnia, gdzie mieszkają nasi rezydenci. A tam... - wskazał na zdecydowanie większe woliery - przebywają nasi pacjenci w trakcie leczenia.

Poszli w stronę woliery rehabilitacyjnych. Po drodze Harris opowiadał, jak wygląda proces leczenia. Zaczyna się od skrzyń w klinice. Potem, jeśli ptak przeżyje, przenosi się go do większych skrzyń w wolierych rehabilitacyjnych, a na końcu do dużej woliery, gdzie może ćwiczyć latanie. Tu testuje się też jego zdolność do polowania. Na żywej myszy. Jest to egzamin końcowy, jego wynik decyduje, czy ptak nadaje się do wypuszczenia na wolność.

Doszli do długiej, wąskiej woliery wykonanej z siatki z czarnego grubego drutu, osadzonej w drewnianych ramach.

- Niestety, ta woliery jest stanowczo za mała. Mamy nadzieję, że już wkrótce uda nam się wybudować większą. Może nawet dwie, o ile szczęście nam dopisze. Przepraszam, muszę zamienić dwa słowa...

Szybkim krokiem podszedł do kobiety, chyba wolontariuszki, która z tacą pełną ryb i myszy szła do woliery rehabilitacyjnych.

- Obiadek... mniem mniem... - powiedziała Marion i zachichotała.

Ella, naturalnie, podchwyciła żart.

- Mam nadzieję, że nie dla nas!

- A właśnie że tak!

Marion zachichotała jeszcze głośniej, zakrywając buzię rączką.

Ella spojrzała na zegarek, potem na roześmianą, ale bladą twarz dziecka. Nie tylko ptaki powinny zjeść teraz obiad.

Spojrzała na Harrisa, pochłoniętego rozmową z wolontariuszką, potem na dziecko.

- Jestem piekielnie głodna. A ty? Dziewczynka apatycznie skinęła głową.

- W takim razie wracajmy do domu. Zgoda? Mam nadzieję, że w waszej lodówce znajdziemy coś oprócz myszy!

Ku jej największemu przerażeniu, znalazła właśnie to. W lodówce był karton mleka, jajka, pół bochenka chleba, mnóstwo przypraw i duży plastikowy pojemnik. Odruchowo podniosła pokrywkę. Zaśmierdziało, a kiedy zajrzała do środka...

- O matko!

Pokrywka spadła na podłogę. Z ust Elli wydobył się przeraźliwy pisk. Pojemnik był pełen myszy. Naturalnie martwych. Białych i czarnych, zbryzganych krwią.

- Coś się stało? - spytał Harris, przekraczając próg domu.

- Oczywiście, proszę pana!! W lodówce są myszy!

- Wiem.

- Pan wie?!

- Sam je tam włożyłem.

- Rozumiem. Ale... ale to jest nie do przyjęcia, proszę pana!

- Nie wiedziałem, że pielęgniarki są takie wrażliwe.

- Wrażliwe?! - powtórzyła, podnosząc głos. - To nie kwestia wrażliwości, proszę pana. Mogę podać tysiąc powodów, dlaczego zakrwawione, nieżywe myszy nie powinny znajdować się w lodówce w prywatnym domu!

- Ma pani rację. Przechowuję je w mojej lodówce tylko wtedy, kiedy ta w klinice jest zapchana. - Harris uśmiechnął się.

- Zapraszam na steki. Już się rozmrażają.

Steki? Które były w tej lodówce? O, nie. Ella czuła, jak jej żołądek wywraca się na drugą stronę.

- Steki? Nie, dziękuję. Marion musi koniecznie coś zjeść. I to zaraz. Przygotuję coś szybko, a pan niech usunie te myszy. Nie chodzi już nawet o przepisy sanitarne, tylko... Proszę pana, do tego, co się dzieje w klinice, absolutnie nie będę się wtrącać. Ale tutaj, w domu... To w końcu moje miejsce pracy. Dlatego błagam, proszę nie wkładać do tej lodówki żadnych martwych stworzeń.

Harris posłusznie skinął głową i bez dyskusji wyjął z lodówki pojemnik.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna - oznajmiła Ella. - To ja biorę się do roboty. Zrobię jakąś sałatkę, widzę tu puszki i przyprawy...

- A steki? Zaraz rozpalę grill.

- Za steki absolutnie dziękuję!

- Ależ pani jest uparta... - mruknął. Nie wiadomo, czy miał być to komplement czy krytyka. - W porządku, w takim razie proszę robić, co pani uważa. W końcu to teraz pani kuchnia.

Ella siedziała na brzegu łóżka. Okno było otwarte, choć noc chłodna. Jednak Ella chciała po prostu popatrzeć na noc, na księżyc. I posłuchać sów. Harris przecież powiedział, że sowy mają teraz gody.

Otuliła się szczelniej szlafrokiem i pochyliła w przód, wsłuchując się w melodyjną serię melancholijnych, czasami wręcz płaczących pohukiwań. Przenosiły się z jednej woliery do drugiej.

Pieśń miłości. Rozbrzmiewała dookoła, w księżycową noc, a ona, Ella Majors, siedziała samusienka na swoim łóżku. Jak zwykle.

Miała trzydzieści pięć lat. Tak. Już tyle. Mogła to powiedzieć każdemu, bez żadnego zająknięcia czy rumieńca. W dzień swoich trzydziestych piątych urodzin Ella zrobiła sobie herbatę, zasiadła przed kominkiem i wpatrując się w złociste płomienie, dokonała małego prywatnego podsumowania.

Jeśli chodzi o pracę, nie jest źle. Ma ciekawy, odpowiedzialny zawód. Ale życie prywatne... to klęska. Od osiemnastu miesięcy nie spotykała się z żadnym facetem, od czterech lat żyła w celibacie. W tej dziedzinie, w przeciwieństwie do pracy, nie widać było żadnych perspektyw. Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Prawdopodobnie przejdzie przez życie sama jak palec.

Sama.

Była na krawędzi rozpacz, a ten stan ducha zrodził decyzję. W jej życiu niewiele można zmienić, ale można przynajmniej wpłynąć na jego przebieg. Na przykład - porzucić mroźny Vermont. Znaleźć się tam, gdzie jest zdecydowanie cieplej.

Cały następny ranek ślęczała nad mapą. Wybierała tylko te miasta, w pobliżu których były piaszczyste plaże i palmy. W takim mieście powinien być też duży szpital, teatr i filharmonia, muzea też byłyby dużym plusem. Ale na pierwszym miejscu klimat. Musi być ciepło. W rezultacie, kiedy w zajeździe ciotek rozwieszano świąteczne dekoracje, Ella zapakowała do swego niewielkiego samochodu wszystko, co udało się tam upchnąć, uściskała popłakujące ciotki i ruszyła na południe. Do słonecznego Charlestonu, żeby tam, razem z Nowym Rokiem zacząć nowe życie.

Podczas długiej jazdy samochodem miała wystarczająco dużo czasu na rozważenie najrozmaitszych wariantów. Jednak nie przewidziała, że spędzi cały rok w leśnej głuszy. W starym domku z jedną łazienką, razem z upartym mężczyzną i jego krnąbrną córeczką. Mając za sąsiadów jedynie ptaki drapieżne.

Los jest przewrotny! Ella uśmiechnęła się do siebie, zamknęła okno i drząc z zimna, wsunęła się pod grubą kołdrę. Zwinęła się w kłębek. Już po kilku minutach poczuła miłe ciepło. A miłosna pieśń sów nie milkła, słyszała ją nadal przez zamknięte okno.

Nie tylko sów. Kiedy powieki robiły się już ciężkie, usłyszała, jak do sowiego chóru dołącza męski głos. Ciepły, dźwięczny baryton.



*Pióra to prawdziwe cuda ewolucyjnej adaptacji. Należą do najsilniejszych i najlżejszych struktur, uformowanych z żywej tkanki. Nie tylko pomagają ptakom w lataniu. Ciepłe powietrze między nastroszonymi piórami chroni je przed przenikliwym zimnem. Z kolei kiedy ptak kładzie pióra po sobie, wspomaga to ochłodzenie organizmu. Co pewien czas u wszystkich ptaków następuje okresowa zmiana piór, polegająca na zrzucaniu starych i wyrastaniu nowych. Proces ten zwany jest pierzeniem.*

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Ella budziła się powoli, wśród ptasiego świergotu za oknem, zwiastującego świt. Nie była to już melancholijna pieśń miłosna czy przejmujący krzyk drapieżców, lecz kłótnie przedrzeźniaczy i chrapliwy skrzek sójek. Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu, i podciągnęła kołdrę aż pod brodę. Jak miło, jak ciepłutko...

Nagle otworzyła oczy. Wielki Boże! A która to godzina?

Chwyciła za zegarek. Nie było jeszcze nawet wpół do szóstej. Powietrze w pokoju zimne i wilgotne, znak, że ogień wygasł. Odrzuciła na bok kołdrę. Brr... Jak zimno! Włożyła szlafrok, na bosaka podeszła do okna i zerknęła przez szparę między lekko rozsuniętymi zasłonami.

A tam, na dworze, poranne niebo miało tę różową, mglistą miękkość budzącego się dnia. Zachwycona Ella uniosła zasłonę. Jak ślicznie! Pod różowym niebem widać było mały staw, wetknięty w bujny sosnowy las. Koło stawu, na niewielkim wzniesieniu, stała chatka. Prawdopodobnie ta, w której Harris zamierza nocować od wiosny. Urocza...

Nagle kątem oka dostrzegła, że koło chatki coś się poruszyło. Coś albo ktoś. Podniosła zasłonę wyżej. Nie, to nie był wytwór jej wyobraźni. Jakiś szczupły,

czarnoskóry mężczyzna z tłumoczkiem pod pachą wyszedł z chaty i oddalał się od niej szybkim krokiem.

Nocował tam? W taki ziąb? Z komina nie ulatywał dym, a z dachu zwisały sople. W chacie musiało być nieludzko zimno. Czyli należy o tym niezwłocznie poinformować pana Hendersona. Najlepiej już podczas śniadania.

- Jakiś człowiek wychodził z chaty? Jest pani pewna? - spytał Harris, spoglądając jednocześnie podejrzliwie na trzy plastry bekonu na talerzu - czarne po brzegach, jasnoróżowe na środku.

- Oczywiście. Widziałam na własne oczy.

- No tak... - Harris odsunął talerz z bekonem i sięgnął po grzanekę. Niestety również przypaloną.

- Powiedziała pani, że wysoki i szczupły? Czarnoskóry?

- Tak.

- To Lijah - oświadczył Harris i posmarował grzanekę dżemem.

Ella, czując nowy przyływ wyrzutów sumienia z powodu żalosego śniadania, poszła do kuchni i nalała sobie drugą filiżankę kawy. Była na nogach od ładnych kilku godzin. Rano wzięła szybki prysznic, nałożyła dżinsy, gruby sweter i po skompletowaniu niezbędnego sprzętu, czyli szczotki i szufelki, pomaszerowała do pieca. Tak jak podejrzewała, wygasł dawno temu, dla Elli nie stanowiło to jednak żadnego problemu. W Vermoncie piece na drewno były standardem. Wygarnęła popiół, wysypała go przed drzwiami i z koszyka stojącego na ganku wyjęła świeże polana. Rozpaliła w piecu, umyła ręce, po czym doszła do wniosku, że najwyższy czas zapoznać się bliżej z kuchnią.

Wszystko tu było niewielkie, jak na przykład kuchenka. Po prostu miniaturowa. Za to zlew imponujący. Prawdziwy farmerski porcelanowy zlew, olbrzymi, wystający z wąskiego ciemnozielonego blatu. W takim zlewie można wygodnie umyć największy garnek. Kto wie, czy nie zdarzyło im się kąpać tutaj malutkiej Marion...

Lodówka maleńka, poza tym stary toster z niebezpiecznie wystrzępionym sznurem i piękne drewniane szafki. Ta kuchnia była niezłym wyzwaniem nawet dla biegłej kucharki, a co dopiero dla Elli, która miała nadzieję, że wśród książek w tym domu znajdzie się jakaś dobra książka kucharska.

Wzięła niebieski dzbanek, żeby dolać sobie do kawy mleka, ale mleka było bardzo mało, czyli trzeba zachować dla dziecka. Wstawiła dzbanek z powrotem do lodówki i wróciła do stołu.

- Mleko się kończy - oznajmiła, siadając na krześle.

- Dziś jadę po zakupy.

- Nie ma potrzeby. Ja pojedę, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie są najbliższe sklepy. Myślę, że dobrze by było uzgodnić zasady zakupów. Budżet i tak dalej. Najlepiej, gdyby pan dawał pieniądze na jedzenie raz na tydzień.

- Oczywiście. Jeśli to pani odpowiada.

Nie był zbyt elokwentny, ale wyraźnie starał się być uprzejmy.

- Wstałam wcześniej i trochę się tu rozejrzałam. Zaczęłam robić wykaz rzeczy, które moim zdaniem są niezbędne. Artykuły spożywcze i środki czystości. Chciałam również spytać, co pan i Marion lubicie jeść, czego nie znosicie.

- Marion nie przepada za warzywami. Zwłaszcza za okrą.

Ella roześmiała się.

- Ja nie odróżniam okry od brokułów.

- Och!

Zabrzmiało to zdecydowanie jak jęk. Ella energicznym ruchem odstawiła filiżankę na stół.

- Nie jestem najlepszą kucharką. Wszystko przez moje ciotki, które są właścicielkami zajazdu. Ciotka Eudora jest szefową kuchni. Potrafi zrobić taki sos bearnaise, że palce lizać. A jej desery! Prawdziwa poezja ze świeżutkiej śmietany i masła. Ciotka Rhoda natomiast jest piekarzem i cukiernikiem. Domyśla się pan, że ja, żyjąc pod jednym dachem z takimi mistrzyniami, mogłam robić tylko jedno. Sprzątać po nich. I w tym właśnie jestem dobra. Jestem naprawdę zażartym wrogiem wszelkich zarazków.

- Ale ma pani jakieś pojęcie o gotowaniu?

- Tak, w końcu od wielu lat jestem na własnym garnuszku.

Oczywiście, nie powiedziała mu, że odżywiała się głównie jedzeniem z puszek i mrożonkami. Oraz tym, co przysyłały jej ciotki.

- Poza tym istnieją książki kucharskie. Czyli wszystko będzie dobrze.

- Może...

Harris spojrzał sceptycznie na niedosmażony bekon i Ella doszła do wniosku, że chyba najlepiej zmienić temat.

- A ten Lijah, o którym pan wspomniał, pracuje tutaj?

- Jako wolontariusz. Lijah przyniósł do nas ranną orlicę. Niósł ją przez wiele kilometrów, gołymi rękoma. Bez żadnego zabezpieczenia. Niepojęte! A teraz okazuje się, że stary dziwak nocuje w chacie...

- Pan o tym nie wiedział?

- A skąd! Lijah mieszka w St. Helena. Przyjechał tu za orlicą, która w tej okolicy ma gniazdo. Jest do tego ptaka bardzo przywiązany. Niestety, jakiś drań ją postrzelił. Lijah przyniósł ją do nas. Zamierza zostać tu tak długo, dopóki ptak nie dojdzie do siebie. Nie mam pojęcia, gdzie się zatrzymał. Pytałem go, oczywiście, ale on odpowiedział tylko, że da sobie radę. Lijah jest Gullahem.

- Przepraszam? Kim?

- Gullah to spadek po epoce niewolnictwa. Kultura i język niewolników z Afryki, którzy pracowali na plantacjach. Na wyspach u wybrzeży Karoliny Południowej, odizolowanych od lądu, przetrwała do dziś. Dowody na to znajdzie pani w całym Lowcountry. Kosze ze słodkiej trawy, pewne potrawy, muzyka, no i dialekt. Sam słyszałem, jak Lijah, rozmawiając z ptakami, przechodzi na Gullah. Zwłaszcza kiedy ucina sobie pogawędkę ze swoją orlicą. Ja nie bardzo rozumiem, co on mówi, ale odnoszę wrażenie, że ptak rozumie doskonale. Siedzi i słucha.

- Lijah często tu przychodzi?

- Prawie codziennie, mimo że jak wspomniałem, jest wolontariuszem.

Wykonuje najprzeróżniejsze prace ciesielskie. Jest po prostu świetny. Prawdę mówiąc, to wielkie szczęście, że mamy go tutaj. Ale... - Harris sposepniał. - to niedopuszczalne, żeby sypiał w tej chacie. Przecież nie ma w niej ogrzewania. Zbudowana została z myślą o studentach i stażystach, którzy przyjeżdżają do nas w lecie.

- A nie można by jakoś sprawy ogrzewania rozwiązać?

- Oczywiście, że dałoby się coś zorganizować. Żaden problem. Zastanawiam się tylko, czy mam prawo ingerować w prywatne życie moich wolontariuszy.

- A mnie się wydaje, panie Henderson, że niezależnie od wszystkiego powinno się temu człowiekowi zagwarantować jakiś przyzwoity nocleg, tym bardziej że tu w okolicy nie ma żadnego hotelu czy motelu. Gdzie on w ogóle jada? Czy...

- Pomyślę o tym, panno Majors! - rzucił Harris szorstko i zajął się pić kawy. Ella też podniosła swoją filiżankę do ust, zastanawiając się w duchu, czy nie przesadziła.

Jednak...

- Panie Henderson! Doskonale zdaję sobie sprawę, że moim podstawowym obowiązkiem jest opieka nad Marion, ale ten biedny człowiek nie może spać w nieogrzewanej chacie! Dziś rano w domu było tak zimno, że widziałam mgiełkę przed ustami!

- Przepraszam, zapomniałem o ogniu. Zwykle nie dopuszczam, żeby wygasł.

- Proszę to zostawić mnie. Znam się na takich piecach. W końcu zajmowanie się domem też należy do moich obowiązków, prawda?

Harris dopił kawę i wstał. Ella zastanawiała się w duchu, jak oni oboje wytrzymają pod jednym dachem przez cały rok.

- Dziękuję za śniadanie - powiedział bez cienia ironii. - Już od dawna nie budził mnie rano zapach kawy, której sam sobie nie zaparzyłem.

Ella natychmiast złagodniała.

- Dziękuję.

Podszedł do drzwi i z wieszaka na ścianie zdjął długą kurtkę z grubego sukna. Nałożył ją i postawił kołnierz.

- Marion czasami lubi pospać dłużej. Wrócę za parę godzin, wtedy ustalimy razem budżet.

- Jestem gotowa przedyskutować z panem budżet w dogodnym dla pana czasie. Poza tym... - Spojrzenie Elli przemknęło po talerzu z nietkniętym bekonem. - Postaram się gotować lepiej. Obiecuję.

Uśmiechnął się. Niebieskie oczy wyglądały jak niebo w jasny, słoneczny dzień.

- Panno Majors, a ja ze swej strony chciałbym panią zapewnić, że dbam o moich wolontariuszy. To dobrzy ludzie, bardzo oddani i pełni zapału. Pracują ciężko, a ja w zamian mogę zaoferować im tylko jeszcze więcej pracy. Wszystkich nas łączy

miłość do ptaków drapieżnych. I liczymy na siebie nawzajem. Dlatego teraz, panno Majors... - znów się uśmiechnął - idę pociągnąć za język Elijaha Coopera.

Harris zastał Elijaha w pomieszczeniu, pełniącym funkcję zaplecza kliniki. Kiedy go zobaczył, zajętego pracą, uświadomił sobie, że bardzo często wczesnym rankiem zastaje starego człowieka właśnie tutaj. Może dlatego, że jest tu tak ciepło? Prawdopodobnie tak, poza tym każdy człowiek, który kocha ptaki drapieżne, w tym pomieszczeniu poczułby się jak w domu. Na ścianach, na kołkach wisiały równe rzędy skórzanych rękawic ochronnych i karnali, czyli kapturów dla ptaków. W przepastnych szufladach można było znaleźć dzwonki, krętliki łańcuchowe, smycze, jednym słowem, cały sprzęt sokolnika.

- Dzień dobry - powitał go Lijah. - Jak się spało?
- Nieźle. A co tam robisz, Lijahu?
- Och, po prostu wziąłem się za przycinanie rzemyków.
- Świetnie.

Harris podszedł bliżej i przez moment przyglądał się, jak Lijah tnie cienką skórę na rzemyczki którymi krępuje się nogi ptaka. Przyglądał się z podziwem. Aż trudno było uwierzyć, że nieproporcjonalnie duże, zniszczone wiekiem dłonie Lijaha potrafią być tak precyzyjne.

- Zimno dzisiaj, co? - zagadnął po chwili.
- Zimno? Chyba nie, raczej znośnie. A do południa ma się ocieplić.
- Naprawdę? To świetnie. Ale... - Harris odchrząknął - musisz przyznać, że noce są chłodne.

Lijah poderwał głowę znad roboty i zaśmiał się.

- O, tak. Są naprawdę zimne. Harris odczekał minutę
- Zwłaszcza w tej chacie.

Ręce Lijaha znieruchomiały w jednej chwili, po czym westchnął ciężko i spojrzał Harrisowi prosto w twarz.

- Niczego tam nie niszczę. Nie brudzę, nie bałaganę...
- Przecież wiem, nie o to chodzi. Powiedz mi, czy nie masz jakiegoś innego miejsca, gdzie mógłbyś się zatrzymać? Ciepłego?

- Oczywiście, że tak. Teoretycznie zatrzymałem się u moich bliskich znajomych, kawałek drogi stąd, ale takie codzienne wędrówki tam i z powrotem to trochę za dużo jak na moje stare nogi. A ja muszę codziennie zobaczyć Santee. Posiedzieć przy niej, popatrzeć, jak ona przez to wszystko przechodzi.

- Rozumiem, naprawdę, ale w chacie nie ma ogrzewania! Musimy coś wymyśleć.

- Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu. Jeśli dla ciebie to problem, znikam z chaty. Znajdę sobie coś innego. - W ciemnych oczach Lijaha pojawił się niepokój. - A może ty zmieniłeś zdanie i nie chcesz, żebym przychodził do Santee?

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Chociaż z twoim codziennym przychodzeniem wiąże się pewien problem. Mam po prostu wyrzuty sumienia. Przychodzisz codziennie i codziennie bierzesz się do roboty. Pracujesz więc praktycznie w pełnym wymiarze godzin. A ja, niestety, nie jestem w stanie dać ci pełnego wynagrodzenia.

- Czy ja kiedykolwiek prosiłem cię o pieniądze?

- Nigdy. Ale ja stanowczo uważam, że powinieneś je otrzymywać.

- Bardzo ci dziękuję za tę propozycję, ale to w ogóle nie wchodzi w grę. Chociażby dlatego, że nie chcę się w żaden sposób wiązać. Ja zawsze żyję po swojemu, robię tak całe życie. Lubię się po prostu na coś przydać, lubię pracować z ptakami. Chciałbym być tutaj, dopóki jest tu moja Santee. Odejdę razem z nią.

- Rozumiem... - Harris westchnął. - W każdym razie musimy rozwiązać sprawę twojego zakwaterowania. Wstawiamy do chaty grzejnik olejowy, otwieramy wodę, szykujemy łóżko. Na posiłki zapraszam do siebie, do domu. Chociaż nie ukrywam, że posiłkami panny Majors trudno się delektować. Ale lepsze to niż nic. Dogadaliśmy się?

- Tak, dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie i uśmiechnęli się do siebie.

- Muszę przyznać, że w ciągu tych kilku nocy porządnie przemarzłem - wyznał z uśmiechem Lijah. - Ale wiosna już blisko.

- Tej nocy na pewno nie będzie ci już zimno. Dzięki pani Majors, bo to ona wypatrzyła, jak rano wymykałeś się z chaty. Bardzo się przejęła twoją sytuacją.

Lijah znacząco uniósł brew.

- Panna Majors? Twoja przyjaciółka?

- Kto?! - Harris roześmiał się. - A skąd! To niania. Przyjechała wczoraj.

Zaopiekuje się Marion i zajmie się domem. Między innymi będzie gotować. Trudno, jakoś to przeżyjemy. A tak przy okazji, gdzie ty jadałeś przez te kilka tygodni?

- Staremu człowiekowi niewiele potrzeba. Przyznam się, że czasami korzystałem z mikrofalówki w klinice, żeby podgrzać zupę z puszki albo stek. Poza tym tu w okolicy mam bliskich znajomych, nawet krewnych. Jednego mi tylko brakuje. Rano. Filiżanki dobrej, mocnej kawy.

- Wiem, gdzie można się tutaj napić naprawdę dobrej, mocnej kawy.

Zapraszam!

Brady Simmons, jadąc do Coastal Carolina Center for Birds of Prey, przez całą drogę powtarzał sobie w duchu swoją niezłomną przysięgę. Już on się postara, żeby ludzie z tego azylu mieli tak samo przechłapanie jak on!

Stary ford pikap podczas każdej zmiany biegów dymił i pojękiwał jak torturowane zwierzę. Cholerna bryka. A na domiar złego za kierownicą siedziała matka. W związku z tą aferą starzy na wszelki wypadek zakazali mu siadania za kółkiem. Jakby życie Brady'ego i tak nie było już totalnie spaprane! Przecież w każdą środę po południu i w sobotę rano miał pracować społecznie. Przez pół roku.

Niezła zabawa, co?

W głębi duszy jednak czuł, że poniósł zasłużoną karę. Bo niezależnie od wszystkiego, nie powinien był naciskać na spust. Nie powinien.

Powiedziano im, że i tak mają szczęście. Tysiąc osiemset dolarów grzywny to nie tak dużo. Nie tak dużo? Zależy dla kogo. U nich liczył się każdy cent. Matka ryczała przez kilka dni i nie chciała gadać z ojcem. Całą winę zrzucała na niego. Kazał chłopakowi wejść na rządową ziemię i strzelać do tego cholernego państwowego godła!

Żarli się teraz całe noce. Rankiem, co prawda, matka zawsze mówiła Brady'emu, że ojciec to dobry człowiek. Pije tylko wtedy, kiedy ma zmartwienie. Problem w tym, że ojciec martwił się bez przerwy, odkąd władze zakazały im obu



polowania i łowienia ryb na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Dla Brady'ego była to pestka, ale dla Roya Simmonsa śmiertelny cios.

Brady oczywiście wątpił, czy ojciec dostosuje się do powyższego zakazu. Jezu! Co to w ogóle za facet! Swoim synom potrafi godzinami truć o honorze, a sam... No właśnie. Sam honorowo spada na cztery łapy, a przed sędzią staje Brady. Umierał ze wstydu, kiedy sędzia przed ogłoszeniem wyroku dał wszystkim do zrozumienia, że na całym świecie nie ma gorszej kreatury niż Brady Simmons. Potem przeczytał wyrok, który zmieniał życie Brady'ego w piekło. Popułnił przestępstwo i dlatego musi przez kilka miesięcy pracować w jakimś zawszonym azylu dla ptaków.

- Już dojeżdżamy - oznajmiła matka, zjeżdżając z autostrady na wąską wysypaną żwirem drogę. Niedługo, bo wkrótce zatrzymali się przed dużą żelazną bramą. Brady wysiadł, żeby ją otworzyć. Kiedy wracał do samochodu, matka patrzyła na niego jak jastrząb. Kiedy wsiadł, rąbnęła go w tył głowy.

- Co jest?! - jęknął.

- Usiądź prosto i zrób coś z tymi włosami! Wyglądasz, jakbyś dopiero co wstał z łóżka.

- Mamo! Przecież ja tu będę sprzątał ptasie...

- Dość! Żadnego wyrażania się, słyszałeś?! Masz zachowywać się przyzwoicie! Jeśli będziesz sprawował się dobrze, nie będzie więcej kłopotów. Liczymy na ciebie, synu!

Brady mocno zacisnął usta. Teraz najchętniej by się rozryczał. Liczymy na ciebie, synu... W sumie tak najłatwiej, prawda?!

Kiedy matka wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła do przodu, zauważył... koguta. Tak, to był kogut. Wielki, biały, chyba już stary. Siedział na gałęzi sosny.

Kiedy go mijali, patrzył Brady'emu prosto w oczy.

*Stada. Większość ptaków drapieżnych żyje samotnie, tylko w okresie lęgowym łączy się w pary. Czasami jednak ptaki drapieżne zbierają się w wielkie, zwarte stada - przed wędrówką lub do gromadnego wysiadania na gałęziach zimą. Mniejszym ptakom drapieżnym stado gwarantuje większe bezpieczeństwo.*

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Coastal Carolina Center for Birds of Prey był niewielkim azylem otoczonym przez olbrzymi rezerwat. Wielu ludzi uważało, że ochroną objęto stanowczo zbyt wielki obszar. Inni z kolei, wśród nich Harris, byli zdania, że to i tak za mało. Kilka lat temu, wcale nie tak dawno, Harris mógł jechać samochodem godzinami, widząc po drodze tylko mokradła, sosnowe lasy i porozrzucane domostwa nad strumieniami o przejrzystej wodzie. Był to raj dla ptaków. Wszystkie mogły swobodnie fruwać po wolnym niebie, znaleźć pożywienie w nabrzeżnych lasach i odchowić potomstwo. Teraz dróg przybywało, druty wysokiego napięcia przecinały niebo. Coraz więcej było pędzących samochodów, hałasu i głupich, rozbestwionych ludzi.

Pewnego dnia Harris jechał po jastrzębia, który lecąc za zdobyczą, wpadł na druty wysokiego napięcia i połamał sobie oba skrzydła. Innego znów dnia zbierał z drogi sowy albo sępy z ciężkimi urazami głowy, potrącone przez samochody. Ratował rybołowy z klatkami piersiowymi i pazurami poszarpanymi przez haczyki wędkarskie. Musiał poddawać eutanazji ptaki, których nie można już było uratować. Ptaki postrzelone bezmyślnie albo zatrute z powodu nadużywania przez ludzi różnych sprayów i środków owadobójczych.

Po wielu latach pracy doszedł do wniosku, że gdyby ludzie poznali lepiej dziką przyrodę, większości tych przypadków można by uniknąć.

Potrzebna jest zakrojona na szeroką skalę akcja edukacyjna.

Niestety, do tego konkretnie przypadku edukacji Harris nie był w stanie podejść z entuzjazmem. Wcale nie był zadowolony, że do ośrodka przysyłają takiego chuligana, ale sąd nalegał, bo Brady Simmons zranił ptaka drapieżnego.

Harris spojrział na rozczochranego nastolatka w workowatych dżinsach, bluzie i postrzępionej dżinsowej kurtce, który wysiadł ze zdezelowanej ciężarówki. Cóż, roboty w ośrodku nigdy nie brakuje.. Ale... ale ten młokos nie ma prawa zbliżyć się do żadnego ptaka.

Z ciężarówki wysiadła też kobieta, duża, mocna, o bladej, prawie ziemistej cerze.

- Pan Henderson? Dzień dobry. Jestem Delia Simmons, matka Brady'ego. A to jest mój syn.

Syn. Stał obok niej, z pochyloną głową i rękoma w kieszeniach.

- Brady! Przywitaj się z panem Hendersonem!

Brady powoli odwrócił ku Harrisowi głowę i mamrocząc pod nosem słowa powitania, wyciągnął rękę. Błyskawicznie. Ledwo dotknął dłoni Harrisa i schował rękę z powrotem do kieszeni.

Matka spojrzała na chłopaka z wyrzutem. Harris milczał, wcale nie zamierzając ułatwiać im sytuacji.

- Proszę pana, on będzie robił wszystko, co mu się każe. Wie, że zrobił źle i chce to naprawić.

- Roboty jest mnóstwo - odezwał się oschle Harris.

- On naprawdę tego żałuje, proszę pana. Brady to dobry chłopak, pomaga w domu, przy tylu dzieciakach zawsze jest pełno roboty. Jest zdolny, nauczyciele wciąż mi to powtarzają. Nigdy przedtem nie było z nim kłopotu. A to, co się teraz stało, to wina jego ojca. To on zabrał Brady'ego do rządowych lasów. Mam nadzieję, że chłopiec będzie się tu dobrze sprawował i wszystko jakoś się ułoży.

Podczas przemowy matki chłopak cały czas przestępował z nogi na nogę, wpatrując się w jakiś oddalony punkt.

- Ułoży się, kiedy orlica w pełni dojdzie do zdrowia. Kiedy pani syn nauczy się, że nie wolno strzelać do chronionych ptaków. Jedynym powodem, dla którego zgodziłem się przyjąć tu pani syna, jest nadzieja, że po pobycie w naszym ośrodku już

nigdy nie strzeli do ptaka. Do żadnego. Nie tylko orła czy jastrzębia, ale nawet do wróbla. I wszystko, czego tu się nauczy, przekaże swoim rówieśnikom i swojej rodzinie.

Harris przeniósł lodowaty wzrok na chłopca.

- Czy to jasne?!

Brady, zaskoczony, że Harris zwraca się do niego, poderwał głowę. Zaraz jednak ochłonał. Wzruszył tylko ramionami i spojrział na swoje buty.

- Nic nie słyszałem - powiedział Harris.

- Tak. Wszystko jasne.

Harris przeniósł wzrok z powrotem na matkę.

- A więc tak, jak zostało ustalone, pani Simmons. Chłopak przyjeżdża tu co sobotę rano, punktualnie o dziewiątej i w każdą środę, punktualnie o trzeciej po południu. Trzy spóźnienia i wypada z gry. Jutro może go pani odebrać o drugiej, chyba że zrobi sobie przerwę na lunch, wtedy odbierze go pani o trzeciej. Niech przywozi ze sobą coś do jedzenia. Czy są jeszcze jakieś pytania? Nie? W takim razie zobaczymy się dziś po południu, pani Simmons.

Odwrócił się do chłopca.

- Idziemy. Mam nadzieję, że twoja obecność tutaj nie okaże się błędem.

Lijaha Harris znalazł na tyłach kliniki. Dwie dwumetrowe żerdzie, oparte o ścianę, były już gotowe. Robota, jak zwykle w przypadku Lijaha, wykonana perfekcyjnie.

- Może zrobisz sobie małą przerwę? Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

Lijah odwrócił się i uśmiech na jego twarzy zgasł. Jakby już wiedział, kim jest ten jasnowłosy nastolatek.

- To Brady Simmons - przedstawił chłopaka Harris. - Podejrzewam, że wiesz, kto to jest.

Lijah w milczeniu skinął głową. A Harris, spoglądając na niego, pomyślał, że stary czarnoskóry człowiek w znoszonym ubraniu jest bardziej królewski niż sam król.

- Brady, to jest pan Elijah Cooper. Postrzeliłeś jego orlicę.

Twarz Brady'ego nagle straciła całą obojętność. Najpierw pojawiło się na niej zaskoczenie, potem rumieńce. Czyli wstyd.

Dobry znak, pomyślał Harris.

- Pamiętasz, rozmawialiśmy, że ten chłopiec będzie pracować tu społecznie.

- Pamiętam.

- Odpowiada ci to?

- Nie ma problemu.

- W porządku. Pomyślałem sobie, że dobrze, żebyś nim pokierował. O ile się zgodzisz.

- Zgadzam się.

- Świetnie. W takim razie... - Harris spojrział na stos skrzynek dla ptaków pod ścianą. Wszystkie skrzynki pokryte zielono-białą skorupą zaschniętych ptasich odchodów. - Może zaczniemy od tego.

Brady poderwał głowę.

- Myślałem, że będę pracował przy ptakach.

W oczach Harrisa błysnęło. Odczekał moment, żeby stłumić w sobie gniew, po czym odezwał się cichym, lodowatym głosem:

- Postawmy sprawę jasno. Nikt tutaj nie zajmuje się ptakami, dopóki nie dostanie na to zezwolenia. Żaden wolontariusz. A ty, Brady Simmonsie, nie jesteś wolontariuszem. Żeby zasłużyć na takie zezwolenie, będziesz musiał pracować wyjątkowo ciężko i wyjątkowo długo. Zaczнеш od pracy z tak zwanym produktem ubocznym. Widzisz tam butelki z mydłem? Szczotki ryżowe? I tamte spodnie? Lijah pokaże ci, jak użyć tego sprzętu. Oczyszczisz skrzynki.

Brady jęknął.

- Ale one... one są całe w ptasim gównie!

- Oczywiście. Przez następne sześć miesięcy będziesz je zeskrobywał ze skrzynek, żerdzi, wolier i ręczników. Wszyscy to robimy. Bardzo szybko do tego przywykniesz. Prawda, Lijahu?

- Mnie już nic nie rusza.

Harris uśmiechnął się, potem znów zwrócił do chłopca.

- A więc zostawiam cię pod opieką Lijaha. W najlepszych rękach, jakie tutaj mamy.

Ella, usadowiona za owalnym stołem, kończyła listę zakupów. Bardzo długą listę, ponieważ w tym domu nie było właściwie niczego, czym można nakarmić chore na cukrzycę dziecko. Marion potrzebuje produktów o małej zawartości cukru, tłuszczów i soli, poza tym mnóstwo warzyw i owoców. Musi też często coś przegryzać, dlatego Ella uwzględniła w swojej liście rodzynki, sery, krakersy, kartoniki z sokami i orzechy.

Dopisała jeszcze trochę środków czystości i spojrzała na zegarek. Najwyższy czas obudzić małego śpiocha.

Weszła na górę po wąskich, skrzypiących schodach i cicho otworzyła drzwi. Drzwi do prześlicznego pokoju na mansardzie, zalanego bladym zimowym światłem. Pokój nie był duży, sprawiał jednak wrażenie przestronnego. Ściany i płócienne zasłony na dwóch oknach w ścianie szczytowej były różowe. Podłoga zasłana grubym berberyjskim dywanem. Lalki i inne zabawki rezydowały w dwóch koszach pod ścianą, stolik i krzeselka były białe. Ściany ozdobione dziełami malarskimi Marion.

Dziecko, do połowy odkryte, spało głębokim snem. Ella spojrzała z rozczuleniem. Śpiące maleństwo... Dzieci wyglądają wtedy tak niewinnie, jak prawdziwe aniołki...

Pochyliła się i ostrożnie, trochę nieśmiało, odgarnęła z czoła jasne kędziorki.

- Marion! Pora wstawać, kochanie!

Powieki dziecka drgnęły, uniosły się. Twarzyczka pojaśniała w słodkim uśmiechu, który nagle znikł.

- To ty?!

- Tak, mały śpiochu. Nadal tu jestem. Jutro też tu będę.

Marion jęknęła żałośnie i odwróciła się plecami. Dziecko zdecydowanie było w złym humorze. Ella natychmiast zaczęła martwić się o poziom cukru.

- Pamiętasz, Marion, że jedziemy dziś na zakupy? Trzeba kupić coś do jedzenia. Masz ochotę jechać ze mną?

- No dobrze...

- Dziękuję, panno Marion, że zdecydowała się pani dotrzymać mi towarzystwa. Myślę, że może być przyjemnie.

- Jestem głodna.

- Nie dziwię się. Śniadanie już na stole, ale przedtem musimy coś jeszcze zrobić, prawda?

- Co, u diabła... - mruknął Harris, zatrzymując się w pół kroku. Spojrzał w górę. Rozpaczliwe krzyki niewątpliwie wydobywały się z okna w ścianie szczytowej.

- To może ja na tę kawę przyjdę później - powiedział Lijah. Harris skinął głową.

Lijah poszedł dalej przez podwórze, a Harris podążył ścieżką prowadzącą do jego domu. Zły jak diabli. Ta zarozumiała pielęgniarzka potrafi się tylko mądrzyć, a nie ma bladego pojęcia, jak postępować z dzieckiem!

Przekroczył próg i oniemiał.

Ella Majors siedziała sobie spokojnie za stołem, sypiąc do miseczki płatki śniadaniowe.

- Panno Majors, czy mogłaby mi pani łaskawie wytłumaczyć, co tu się właściwie dzieje?

- Robię śniadanie dla Marion.

- A dlaczego ona tak krzyczy?

- Och, po prostu się zdenerwowała. Musiałam ją ukłuć dwa razy. Najpierw test, potem zastrzyk.

- I zostawiła pani ją tam samą?!

Ella powoli odstawiła miseczkę na stół. Nie była dużą kobietą, ale kiedy wyprostowała się i spojrzała gniewnie ciemnobrązowymi oczami, wyglądała groźnie. Jak jastrząb z nastroszonymi piórami.

- Przepraszam - powiedział po chwili Harris. - Nie chciałem pani urazić. Ja po prostu...

- Z Marion wszystko w porządku, proszę pana. Wyładowuje tylko swój gniew, a w takiej sytuacji wcale nie musi mieć widowni. Wtedy złość szybciej przejdzie, prawda?

- No... może i tak. Faktycznie. A jaki ma dzisiaj poziom cukru?

- Niestety wysoki. Dlatego podałam jej insulinę. Szczerze mówiąc, jestem zaniepokojona.

Muszę przejrzeć wyniki poprzednich testów i porównać. Poza tym nie ma co się łudzić, moje pojawienie się tutaj to dla niej dodatkowy stres. W związku z tym uważam, że dla dobra dziecka trzeba wprowadzić pewien reżim. Przede wszystkim Marion powinna chodzić wcześniej spać, przy jej chorobie jest to bardzo ważne. Testy należy robić w określonych godzinach, a poza tym w domu nie może być żadnych słodczy. Absolutnie żadnych.

- Rozumiem. Wiem, nawaliłem. Nie zauważyłem pierwszych oznak choroby. Nie potrafię się nią opiekować. Czy to właśnie chce pani powiedzieć?

- Wcale nie uważam, że pan zawiódł. Wprost przeciwnie. Moim zdaniem poradził sobie pan znakomicie. Cukrzykami bardzo trudno się opiekować. Trzeba dużo wiedzieć o chorobie i dużo robić, zwłaszcza na początku. A panu udało się przebrnąć przez ten pierwszy okres, potem podjął pan właściwą decyzję, zatrudniając mnie do opieki nad Marion. Jeśli chodzi o oznaki choroby, nie pan jeden ich nie zauważył. Nikt nie może przewidzieć, kiedy ta choroba się pojawi. A wracając do opieki nad Marion... Czuwanie nad poziomem cukru w jej krwi jest codzienną walką. Nie tylko codzienną, czasami liczą się godziny. Jestem z zawodu pielęgniarką. Zdobyłam odpowiednią wiedzę i doświadczenie, ale boję się, że to ja pana zawiodę. Pana i Marion. Wiem, że czasami zachowuję się jak generał, jednak nie jestem nieustraszona. Mam swoje obawy i wątpliwości. Na szczęście w tej walce żadne z nas nie jest osamotnione. Walczymy przecież razem, prawda?

Harris czuł, jak brzemień winy zsuwa się z jego ramion. Panna Majors nie mogła wlać w niego więcej otuchy. On i Ella byli partnerami, mieli wspólny cel.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Będziemy współpracować. I myślę, że skoro jesteśmy partnerami, powinniśmy przejść na „ty”. Jestem Harris.

- Miło mi. Jestem Ella.

- Świetnie. Po prostu Ella.

Krzyki na górze ucichły. Harris i Ella przez moment wpatrywali się w sufit, potem spojrzeli na siebie i wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Może kawy? - spytała Ella niewinnym głosem.



Ogólnie rzecz biorąc, Ella potraktowała dom Harrisa Hendersona jak zakurzony dywan. Najpierw wytrzepać, potem znów rozłożyć. Zakasała rękawy i w ciągu kilku następnych dni wysprzątała cały dom. Na błysk. Dało jej to cudowne poczucie, że zaczyna panować nad sytuacją. Zaczyna, bo niestety nie udało jej się pozyskać sympatii Marion. Tym bardziej doceniała wysiłki Harrisa jako samotnego ojca. Dziecko nie było słodkim aniołkiem.

Przeciwnie, było wybuchowe, chociaż nie ze swojej winy. Przyczyna tkwiła w chorobie, także w dotychczasowym trybie życia. Przede wszystkim godziny snu. Marion chodziła późno spać, w związku z czym następnego dnia spała o wiele za długo. Wprowadzanie reformy w tym zakresie nie odbyło się bezboleśnie, była to jednak tylko drobna potyczka w porównaniu z batalią, jaką trzeba było stoczyć o telewizję.

Marion przed telewizorem tkwiła godzinami, oglądając jeden program dla dzieci za drugim. Ella wolałaby oczywiście, żeby dziecko w tym czasie bawiło się albo pobiegało po dworze.

Dlatego postanowiła coś z tym zrobić.

Marion skończyła śniadanie. Ella w kuchni usłyszała brzęk łyżki o pustą miseczkę, potem szuranie krzesłem. Wytarła ręce w fartuch i stanąwszy w progu kuchni, patrzyła, jak Marion z ukochaną Lulu pod pachą podąża do telewizora.

Włączyła telewizor. Na ekranie nie ukazało się nic. Ponownie nacisnęła guzik, potem jeszcze raz.

- Nie włączy się - oznajmiła spokojnym głosem Ella.

- Dlaczego nie?

Ella powoli wkroczyła do pokoju.

- Przez jakiś czas nie będzie telewizji.

- Zepsuł się?

Oczywiście, najłatwiej było skłamać, ale lepiej, by Marion zrozumiała nową sytuację i zaakceptowała ją.

- Nie. Nie jest zepsuty - odparła głosem równie spokojnym jak poprzednio. - Po prostu zrobiłam tak, że przez jakiś czas nie będzie się włączał.

- Ale ja chcę oglądać telewizję.

- A nie lepiej pójść na spacer?

Ella wyciągnęła rękę, ale Marion skrzywiła się.

- Nie! Chcę oglądać telewizję!

- Marion, posłuchaj. Zamiast siedzieć całymi godzinami przed telewizorem, można robić mnóstwo innych, bardzo ciekawych rzeczy. Pobawić się lalkami albo pokolorować obrazki w książeczce. Myślę, że warto kupić farby. Bardzo lubię malować, mogłabym cię uczyć. Co ty na to?

- Chcę oglądać telewizję!

- Niestety, kochanie. Telewizji przez jakiś czas nie będzie. Musisz się do tego przyzwyczać.

- Nie!

Marion pomaszerowała do telewizora i po raz kolejny próbowała go włączyć. Oczywiście bez skutku. Była tak zła, że rąbnęła piąstką w telewizor.

- Aua! - krzyknęła, przyciskając rączkę do piersi. W jej oczach zakręciły się pierwsze łzy.

Był to bardzo przykry widok. Ella pochyliła się, żeby objąć dziewczynkę, ale mała natychmiast zrobiła unik.

- Zawsze ma być tak, jak ty chcesz! - wykrzyknęła rozżalonym głosem. - Nigdy mi na nic nie pozwalasz!

- Marion...

- Po co tu przyjechałaś? Wyjedź i nigdy nie wracaj!

- Przykro mi, że tak myślisz. Niestety, nie zmieni to faktu, że dziś rano nie będziesz oglądać telewizji.

Marion rzuciła się na sofę, zaczęła wić się i wrzeszczeć.

- Kiedy skończysz, przyjdź, proszę, do kuchni - powiedziała Ella bardzo głośno, starając się przekrzyczeć wrzaski dziecka. - Robię porządek w szafkach. Chciałabym, żebyś mi pomogła.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Ella zagryzła wargi, odwróciła się na pięcie i wyszła do kuchni. Uklęka przy wiadrze z mydlinami i z pasją zaczęła szorować podłogę, powtarzając sobie w duchu jak mantrę: Spokojnie, Ello, jesteś przecież pielęgniarzką dziecięcą, prawda?

W szpitalu Ella wielokrotnie miała do czynienia z wybuchami złości u dzieci. Niektóre z nich krzyczały, póki nie opady z sił. Inne znów wstrzymywały oddech, dopóki nie zsiniały. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że te napady złości najbardziej przerażały samo dziecko. W szpitalu Ella dawała sobie z tym radę. Napady złości u chorego dziecka były coraz rzadsze, w końcu przechodziły.

A z Marion było na odwrót. U niej pojawiały się coraz częściej.

Ella przysiadła na piętach i znieruchomiała. Na czym polega jej błąd? Może jest zbyt surowa?

Zamknęła oczy i słuchając rozdzierających krzyków dobiegających z sąsiedniego pokoju, czuła, jak opuszcza ją cała pewność siebie. Może nie powinna była przyjmować tej pracy? Jako pielęgniarka oddziałowa dawała sobie świetnie radę. Ale to przecież nie szpital. Prawdopodobnie nie nadaje się do całodobowej opieki nad małym dzieckiem. Jest nietaktowna, nieustępliwa...

Rzuciła gąbkę i przytłoczona poczuciem klęski, ukryła twarz w dłoniach.

- Ello...

Harris. Nie słyszała, jak wszedł. Przykucnął obok niej i podał jej chustkę. W jego spojrzeniu nie było gniewu, lecz współczucie.

Ella pociągnęła nosem i otarła łzy.

- Przepraszam, nie słyszałam, jak wchodziłeś.

- Jak udaje ci się to wytrzymać?

- Jak widzisz, wcale mi się udaje.

- Mam w biurku stopery do uszu. Przekonałem się, że mogą działać cuda.

- A jak ty to wytrzymywałeś przez tyle czasu?

- Wcale. Dlatego zatrudniłem ciebie. Jaka dziś jest przyczyna tragedii?

- Wyłączyłam telewizor. Harris skrzywił się.

- Nie jestem podła, po prostu próbuję zmusić Marion do zwyczajnej zabawy.

Nie może przez cały dzień siedzieć przed telewizorem. Może jednak jestem zbyt surowa...

- Marion miała takie napady już wcześniej. Zaczęły się po jej powrocie ze szpitala. Myślę, że to ja popełniłem jakiś błąd.

- No i popatrz... Jacy my oboje jesteśmy chętni do obarczania siebie winą... Myślę, że sprawa jest prosta. W szpitalu Marion na pewno starała się być dzielna. Po powrocie do domu, na bezpieczny grunt, musiała to odreagować. Poza tym podświadomie chciała cię ukarać za to, że zawiozłeś ją do szpitala. A kiedy przekonała się, że jej napady złości są skuteczne, zaczęła je wykorzystywać do swoich celów. Teraz jest zdenerwowana wszystkimi zmianami, jakie tu wprowadzam. Jednak jestem przekonana, że postępuję właściwie.

- Ja też tak uważam - powiedział Harris z przekonaniem.

Patrzyła na niego przez moment. Był tak blisko, słuchał jej z uwagą. Włosy miał uroczo potargane, a jego oczy były najpiękniejszym błękitem, jaki kiedykolwiek widziała.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za wsparcie. Bardzo tego potrzebowałam. Pomogłeś mi się pozbierać.

Harris uśmiechnął się i wstał.

- A to mnie bardzo cieszy. Muszę już iść, wpadłem tylko na moment, kiedy usłyszałem te... zastanawiające dźwięki. Chciałem sprawdzić, czy żyjesz. Aha, stopery do uszu są w moim biurku, w górnej szufladzie.

Kolejna szafka umyta. Ella wyciągnęła głowę z przepastnego wnętrza i nagle coś ją tknęło. Wyjęła stopery z uszu. W całym domu panowała cisza. Błoga, ale zastanawiająca, czyli koniecznie trzeba sprawdzić, co się dzieje z Marion. Prawdopodobnie zmęczona płaczem zasnęła na sofie.

Wcale nie. Stała w drzwiach kuchni. Kupka nieszczęścia. Oczy zapuchnięte, kędzierzawe włoski spocone i mokre od łez. Z całej niewielkiej postaci emanował strach.

Ella otworzyła ramiona.

Dziecko mocno pociągnęło nosem i pobiegło prosto w objęcia opiekunki. Ella posadziła je sobie na kolanach i przytuliła mocno do serca, szepcząc do uszka słowa pocieszenia.

Mała wzdychała, sapała i tuliła się do niej z całej siły, a Ella złożyła sobie w duchu przysięgę, że postara się być prawdziwym oparciem dla tego biednego dziecka.

Będzie kochać Marion jak swoje dziecko. Tak będzie, choć w głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko.

Reszta tego ranka minęła spokojnie. Marion asystowała, kiedy Ella kończyła porządki w kuchni, po czym wspólnie podjęły decyzję, że warto zrobić pranie. Ella wzięła kosz z brudnymi rzeczami, Marion zaprowadziła ją do pralki i suszarki.

- Kochanie, jesteś pewna, że to tam? - pytała Ella z niedowierzaniem, podążając za dzieckiem do szopy oddalonej spory kawałek od domu.

- Tak. Pralka jest tam - potwierdziło dziecko, wskazując paluszkami na szopę. - Ja to wiem.

Niewielka szopa wyraźnie chyliła się ku upadkowi. Wyglądało na to, że wystarczy jeszcze jedna porządna wichura, żeby dokończyć dzieła zniszczenia. Dlatego Ella bardzo ostrożnie wyjęła kołeczek wetknięty do drewnianego rygla i równie ostrożnie uchyliła drzwi. Dziecko miało rację. Poprzez kłębki kurzu wirujące w smugach promieni słonecznych Ella dojrzała starą pralkę i suszarkę. Pod drugą ścianą stała zamrażarka, poza tym każdy skrawek wolnego miejsca zajmowały zardzewiałe puszkę i butelki pokryte grubą warstwą kurzu. Małe okienko zawieszono było cieniutkimi draperiami pajęczyn.

Na samym środku stały trzy czarne worki na śmieci. Oczywiście pełne. Ella ostrożnie dwoma palcami rozchyliła jeden z nich. Poczowała smród. Okropny, nie do wytrzymania. W torbie były ręczniki różnej wielkości i koloru, wszystkie pokryte skorupą ptasich odchodów.

Szybko zawiązała torbę i spytała Marion:

- Czy ręczniki z kliniki tata pierze w tej pralce? Dziewczynka skinęła głową.

- A twoje rzeczy też?

- Tak.

Matko święta! Ella potrząsnęła bezradnie głową i ostrożnie otworzyła zardzewiałą pralkę, pełną wilgotnych ręczników czekających na przełożenie do suszarki. W suszarce z kolei, jak można się było spodziewać, leżały suche ręczniki.

Ella znów potrząsnęła głową i zaśmiała się cicho.

- Przysięgałam, że nie będę się wtrącać do pracy kliniki. Ale coś mi się wydaje, że trzeba będzie złożyć te ręczniki. Pomożesz mi Marion?

Harris wyszedł z kliniki i rączym krokiem podążył do swego domu, z nadzieją, że dostanie tam jakiś lunch. Tych kroków zrobił zaledwie kilka, ponieważ nagle usłyszał coś, co kazało mu znieruchomieć. Dwa dźwięczne głosy, wydobywające się z szopy. Żeński duet wykonywał „Old MacDonalda”. Cienki głosik Marion końcówkę „eja eja ho” przeplatał chichotem.

Dla Harrisa była to najcudowniejsza muzyka na świecie. Nie słyszał jej od bardzo dawna, dlatego podszedł do szopy bliżej, nie za blisko jednak, żeby nie przeszkadzać. Drzwi były szeroko otwarte, ukazując wnętrze zmienione nie do poznania. Wymiecione do czysta, puszk i butelki poustawiane równiutko na półkach. Na zamrażarce Harris zauważył stosik poskładanych ręczników. Obok zamrażarki Ellę. Składała wielki ręcznik, kawałek dalej Marion zmagala się z mniejszym ręcznikiem. Po prostu zwinęła go pulchnymi paluszkami, czyli wiadomo, ten ręcznik trzeba będzie złożyć jeszcze raz. Marion, oczywiście, o tym nie wiedziała. Była bardzo dumna ze swojej pracy, o czym świadczył szeroki uśmiech i roziskrzzone oczy.

Harris zamrugał szybko powiekami, pod którymi nagle zrobiło się podejrzenie wilgotno.

Ella zauważyła go. Nie odezwała się, tylko przycisnęła ręcznik do piersi i przez długą chwilę oboje stali nieruchomo, wpatrując się w siebie. Harris patrzył z wdzięcznością, w oczach Elli było zrozumienie.

Nareszcie w ich małym światku nastąpił punkt zwrotny. Co tam myszy w lodówce, przypalone tosty i niedosmażony bekon! Co tam te trochę łoż podczas zastrzyków insuliny! Mała Marion znów śmieje się, znów śpiewa. Śpiewa jak kanarek w kopalni, który w ten sposób daje znać, że wszystko już będzie dobrze.

***Orły:** majestat w ruchu. Wielkie, potężne ptaki o szerokich, płaskich skrzydłach i ciemnym upierzeniu. Od wieków inspirowały wiele narodów. W Ameryce Północnej żyje zarówno bielik amerykański jak i orzeł przedni. Bielików jest więcej, poza tym, jako godło państwowe, są powszechnie rozpoznawane i darzone wielką estymą.*

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Ella miała pracowity wieczór. Najpierw nazbierała do kosza drewna i rozpałała w piecu, zadowolona, że w domu będzie ciepłutko przez całą noc. A teraz, obciążona jak wielbłąd, podążała do chaty. Niosła ciężkie wełniane koce, poduszkę i pościel. Przedtem, w ciągu dnia, doprowadziła chatę do stanu używalności. Pozdejmowała pajęczyny, wymyła okna i wyszorowała każdy centymetr kwadratowy podłogi. Do chaty zanesiono też grzejnik olejowy, gruby dywan i zasłony na okna.

Nieoceniona Maggie zadeklarowała chęć przywiezienia ze swego domu kilku bezcennych sprzętów: stelaż, podwójny materac, stolik i dwa krzesła. Kiedy Ella zbliżała się do chaty, Maggie już tam była.

Wysoka, płomiennowłosa, ustrojona w płaszcz przeciwdeszczowy, wypchane spodnie khaki i solidne buty na grubej gumowej podeszwie, próbowała własnoręcznie wyjąć materac z minivana i wciągnąć go przez drzwi do chaty.

- Chwileczkę!

Ella szybko przerzuciła pościel i koce przez otwarte drzwi vana i złapała za koniec materaca.

- Dzień dobry! Jesteś Ella, prawda? - spytała Maggie, pokazując w uśmiechu wspaniałe, białe zęby.

- Tak. Witaj. Maggie, prawda?

- Tak. To ja. Miło cię poznać. Ten materac nie jest ciężki, tylko bardzo nieporęczny. Ale wiadomo, co dwie pary rąk, to nie jedna.

- Jasne. Proponuję, podnosimy na trzy. Raz, dwa i... hop!

Obie kobiety z łatwością podniosły materac i wniosły do chaty. Stelaż był już w środku. Wniosły jeszcze stoliczek i krzesła, potem zamknęły porządnie drzwi, żeby odgrodzić się od porywistego wiatru, zapowiadającego deszcz ze śniegiem.

- Brr... Zimno tu jak w psiarni. Włączę grzejnik - zaproponowała Maggie, rozcierając zmarznięte dłonie. Zajęła się grzejnikiem, Ella w tym czasie rozłożyła jasny dywan, na oknach powiesiła zasłony z grubego materiału.

- Lijah będzie ci bardzo wdzięczny - powiedziała Maggie, kiedy razem rozkładały prześcieradło na materacu. - On nie umie o nic prosić. Dla siebie, bo kiedy ktoś inny jest w potrzebie, Lijah pierwszy wyciąga pomocną dłoń.

- Masz rację - przytaknęła Ella. - O siebie nie dba. Tyle razy zapraszałam go na ciepły posiłek, a on nie i nie. Owszem, przyjmie owoce, ser, kanapki. Udało mi się zwabić go na kawę. Nalał sobie do termosu, podziękował, ale jeść nie chciał.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem. Wszyscy w ośrodku słyszeli już o zdolnościach kulinarnych Elli.

- On w ogóle jest chyba odludkiem, prawda? Jak myślisz, Maggie?

- Odludkiem? Ależ skąd! Po prostu nie jest gadułą. Odzywa się wtedy, kiedy ma naprawdę coś do powiedzenia. Chętnie służy radą. Lijah nazywa siebie Strażnikiem.

- Strażnikiem? Jak mam to rozumieć?

- Dosłownie. Lijah patrzy, rozumiesz? Patrzy na wszystko takim pełnym spokoju wzrokiem i dostrzega wszystko. Z czasem sama zauważysz. Takie właśnie są sowy. Siedzą sobie spokojniutko na gałęzi i wyłapują wszystkie dźwięki i obrazy. Jak radary. Tak, Lijah to taka sowa. Może dlatego ptaki go lubią? Zwykle, kiedy ktoś wchodzi do woliery, są niespokojne. Zwłaszcza kiedy widzą kogoś po raz pierwszy. A do Lijaha od razu czują zaufanie. On porusza się powoli, ma łagodny głos. Ale ja myślę, że to coś więcej. Kiedy spytałam go o to wprost, uśmiechnął się tylko pod nosem i wzruszył ramionami. Tak to jest z tym naszym Lijahem. A ty podobno pracowałaś jako pielęgniarka?

- Tak. Na pediatrii. Pracowałam na ostrym dyżurze, przedtem na oddziale intensywnej terapii. Trzeba przyznać, że często było tam urwanie głowy.

- U nas w klinice też rzadko jest spokój.



- Domyślam się. Ale tu gracie o trochę niższą stawkę, prawda?

- Oczywiście. Z tym że o życie ptaka walczymy z taką samą determinacją.

Jedyna różnica to ta, że w przypadku niepowodzenia podejmujemy decyzję o uśpieniu. Wypuszczenie kaleki oznaczałoby dla niego tylko męczarnię. Dlaczego przekwalifikowałaś się na opiekunkę?

- Musiałam to zrobić, po prostu nadszedł taki moment. Kiedy zaczynałam pracę, byłam idealistką. Nie wiedziałam, jak ciężko patrzeć na śmierć dziecka...

Ręce Maggie znieruchomiały.

- Ja sobie w ogóle tego nie wyobrażam.

- Powtarzali mi w kółko, że z czasem się przyzwyczaję. Schowam się w takiej skorupie i przetrwam. Nie udało się. Nie zapomniałam o tych najsmutniejszych chwilach. W końcu, w ciągu tych dziesięciu lat, tyle się ich nagromadziło, że pewnego dnia po prostu coś we mnie pękło. Stwierdziłam, że dalej już nie mogę.

- Przepraszam. Nie chciałam tak wchodzić z kopytami...

- Ależ Maggie! Co ty mówisz! - Ella chwyciła za poduszkę i zaczęła wkładać do powłóczki. - Bardzo dobrze, że mogę z tobą o tym pogadać. W każdym razie dlatego postanowiłam odejść z zawodu. Przynajmniej na jakiś czas. Powiedziałam Harrisowi, że mogę zatrudnić się tu na rok. Jeden rok powinien wystarczyć, żeby ustabilizować poziom cukru we krwi Marion i przyzwycząić oboje, dziecko i ojca, do pewnego reżimu. A potem... Wiesz, brakuje mi trochę tej szpitalnej gonitwy. Tutaj czas biegnie powoli. Na pewno podśmiewacie się, że ze mnie taki sierżant w spódnicy. Harrisowi na pewno niełatwo wytrzymać ze mną pod jednym dachem...

- Bywało mu gorzej.

- Co?!

- Ach, nic ważnego.

- Maggie, powiedz. Chodzi o jakąś kobietę? Maggie chrząknęła znacząco.

- O, proszę! Jesteśmy ciekawi?

- A skąd! No... może trochę.

Ella starannie zbiła poduszkę, Maggie rozłożyła na kocach cienką kołdrę.

- Ale chyba sama rozumiesz, Maggie, kiedy mieszka się z kimś pod jednym dachem...

- Rozumiem, rozumiem. Rzecz w tym, że tak naprawdę wiem niewiele. Harris jest bardzo skryty.

- Powiedz, co wiesz.

- No dobrze.

Maggie zaśmiała się i przysiadła na łóżku. Ella usiadła na krześle.

- Widziałam ją tylko raz - zaczęła Maggie - Fannie, jego żonę. Jest młodsza od Harrisa o ładnych parę lat. Tylko raz słyszałam, jak mówił o niej. Powiedział wtedy, że ona nie była jeszcze gotowa do stabilizacji. Harris taki jest. Nigdy o nikim nie mówi źle. Nawet o kobiecie, która odeszła od niego wkrótce po urodzeniu dziecka.

- To straszne. Dla nich obojga. Biedna Marion...

- Wiadomo. Wiadomo też, że coś za tym się kryło. W każdym razie Harris sam wychowuje dziecko. Kiedy Marion się urodziła, ośrodek dopiero zaczynał działalność. Po odejściu Fannie Harris został sam z niemowlęciem i ledwo otworzonym ośrodkiem dla ptaków drapieżnych. Nieźle, co? W rezultacie pracował przez całą dobę na okrągło.

I właściwie dalej tak jest. On sam to wymyślił, wystarał się o licencję. Teraz mamy klinikę, woliery, a na początku Harris trzymał ptaki w swojej sypialni.

- Teraz rozumiem, skąd myszy w lodówce!

- To normalne. U niego w lodówce zawsze było więcej szczurów i myszy niż jedzenia dla niego i Marion.

Potrafił zrobić operację na stole kuchennym. Wszyscy byliśmy w siódmym niebie, kiedy znalazły się środki na klinikę. Harris zbudował woliery, ptaszarnię dla ptasich rezydentów i całe zaplecze. Jego kolejne wielkie marzenie to zbudowanie wielkiej woliery do próby lotów, takiej z prawdziwego zdarzenia. On ma wiele marzeń. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto byłby bardziej oddany swojej pracy.

- Może za bardzo... - mruknęła Ella. - Marion też potrzebuje ojca, ma przecież dopiero pięć lat. Uwielbia go. Moje relacje z małą są coraz lepsze, ale wcale nie jest zadowolona, że teraz to ja kręcę się po domu i robię wszystko, co przedtem robił tata.

- Na ten temat się nie wypowiadam. Tobie radzę robić, co do ciebie należy. Nie próbuj zmieniać Harrisa. Po pierwsze, nie wygrasz z nim. Jest nieludzko uparty. Po drugie, to wizjoner, czyli ktoś na wagę złota. Tacy ludzie trafiają się rzadko, a to oni

przecież nas inspirują. Pracują jak wariaci, zapominając o przyziemnych sprawach. Jednak Harris nigdy nie zapomina o dziecku. Zawsze bardzo się starał. Fakt, że tutaj jesteś, to dla niego ogromna ulga. Dla nas wszystkich. Sherry i ja zawsze starałyśmy się pomóc Harrisowi. Kiedy Marion była malutka, dyżurowałyśmy przy niej na zmianę. Patrzyłyśmy, jak rośnie. Teraz biega po ośrodku, wszędzie jej pełno, choć teoretycznie nie wolno jej zbliżać się do ptaków. No i popatrz, a teraz ta choroba. Takie jest to życie...

Ella smętnie pokiwała głową.

- Tak...

Wstały, rozejrzały się dookoła, oceniając efekty swojej pracy. Ella dokonała podsumowania.

- Może to nie luksusy, ale mam nadzieję, że Lijahowi będzie tu dobrze.

- Na pewno! - Maggie podeszła do niej i objęła serdecznie. - A ja mam nadzieję, że tobie też będzie tu z nami dobrze. Witaj wśród nas, kochanie!

Brady podniósł z ziemi wielką skrzynię i ustawił na końcu długiego rzędu. Dziewiętnasta. Przez dwie ostatnie środy oraz dwie soboty usuwał z tych skrzynek ptasie odchody, stwardniałe na kamień. Przez cztery dni pracował w pocie czoła, zużywając dwie druciane szczotki. Palce miał pościerane do żywego mięsa.

Teraz, kiedy jeszcze raz popatrzył sobie na wszystkie skrzynki, poczuł coś w rodzaju satysfakcji. Zaskakujące, tym bardziej że wkrótce pojawią się nowe, sądząc po liczbie rannych ptaków, które przyniesiono ostatnio do ośrodka. Najwięcej sów. Dlaczego właśnie one? Niektóre z nich miały poranione oczy. Ludzie, którzy je przywozili, byli bardzo zmartwieni. Dlaczego? Brady rósł w przeświadczeniu, że dzika przyroda jest po to, żeby z niej korzystać. Nigdy się nie zastanawiał, jak żyją dzikie zwierzęta i ptaki, jak sobie radzą, gdy któreś z nich zostanie okaleczone. W końcu natura sama potrafi zadbać o siebie, prawda?

Powoli przyzwyczajał się do tego miejsca. Na początku czuł się dziwnie. Kiedy przechodził koło wolier, dzikie ptaki patrzyły na niego gniewnie. Prawie tak, jak ci ludzie tutaj. Oczywiście, nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że nikt go tutaj nie powita z otwartymi rękami. Myślał, że go to nie dotknie, tymczasem było inaczej.

Harris nigdy nie powiedział Brady'emu czegoś złośliwego, tylko kazał mu bez przerwy pracować. Maggie od czasu do czasu zaglądała do Brady'ego, prawdopodobnie żeby go przypilnować. Część wolontariuszy mówiła Brady'emu „cześć”, ale większość spoglądała gniewnie. W rezultacie jedynym człowiekiem, który traktował go normalnie, był stary Lijah. Właśnie on, chociaż to jego orlica została postrzelona.

- Skończyłeś z tymi skrzynkami?

Brady odwrócił się. A niech to... W ogóle nie słyszał kroków. Ten człowiek unosi się chyba w powietrzu.

Przyniósł dwie puszki z colą. Jedną z nich podał Brady'emu.

- Na pewno chce ci się pić, co? - spytał. - Odwalileś kawał dobrej roboty, chłopcze.

Przez chwilę stali w milczeniu, popijając colę i spoglądając na skrzynki. Po chwili Lijah poszedł wyrzucić puszki do kontenera, a Brady odstawił na miejsce swoje narzędzia pracy. Potem znów przez moment stali obaj w milczeniu. Brady, z rękoma w kieszeniach, kiwał się na obcasach, zastanawiając się w duchu, co teraz będzie robił. Lijah, kawałek dalej, też się nad czymś zastanawiał. W końcu odezwał się:

- Chodź. Najwyższy czas, żebyś zapoznał się ze wszystkim.

W pierwszej chwili Brady'ego lekko przytknęło. Był prawie pewien, że dadzą mu łopatę i każą kopać rów wzdłuż drogi.

Lijah najpierw poprowadził go za ścianę wysokich krzewów, za którą znajdowały się woliery rehabilitacyjne. Stały w cieniu wysokich sosen i starego dębu, dodatkowo przykryte wysoką kopułą z zielonego plastiku. Kiedy Lijah otworzył drzwi z moskitierą, Brady zobaczył wąski betonowy chodnik. Po obu stronach chodnika stały woliery.

Zza jednej z nich wyszła czarnoskóra dziewczyna. Szła, niosąc przed sobą tacę pełną szczurów i myszy, głównie wypatroszonych. Leżało tam też kilka dużych ryb.

Dziewczyna była bardzo ładna. Szczupła, wysoka. Miała bluzę z polaru, pod spodem T-shirt z logo ośrodka, jak pozostali wolontariusze.

- Dzień dobry, Clarice! - zawołał Lijah, podnosząc rękę na powitanie.

- Dzień dobry! - odpowiedziała z oszłamiającym uśmiechem, który znikł natychmiast, kiedy zauważyła Brady'ego. - A co on tutaj robi? Harris powiedział, że jemu nie wolno zbliżać się do ptaków!

- Przyszedł tu ze mną, Clarice. Lepiej zajmij się swoją robotą.

Clarice zmarszczyła czoło, ale bez słowa otworzyła jedną z woliery i weszła szybko do środka. Brady usłyszał trzepotanie skrzydeł i łagodny głos dziewczyny.

- Już dobrze, dobrze. Nie denerwuj się tak. Przyniosłam ci śniadanko.

- Wszystkie drzwi trzeba zawsze starannie zamknąć - powiedział półgłosem Lijah. - To jedna z podstawowych zasad. Zobacz, jak robi to Clarice. Nie wolno zapominać, że to dzikie ptaki. Oczywiście wszystkie najchętniej by stąd zwiały. Czasami im się to udaje. W zeszłym tygodniu wymknęła się z woliery sowa uszata. To niewielki ptak, wymknie się przez małą szparę. Trochę trwało, zanim udało się nam ją złapać. Na szczęście drzwi na zewnątrz były zamknięte. Jeśli ucieknie stąd niewyleczony ptak, to na wolności na pewno zginie.

Brady podszedł bliżej do pierwszej woliery. Na górnej żerdzi siedziały dwa sępy. Dwa brzydale o łysych głowach, pomarszczonej skórze i długich czarnych piórach. Wyglądały jak dwóch staruszków w długich płaszczach, którzy przysiedli sobie na ławce w parku. Kiedy Brady podszedł bliżej, ptaki nastroszyły trochę pióra i zasyczały. Poza tym cholernie tu zaśmierdziało.

- Ej, chłopie, opanuj się - mruknął Brady, cofając się szybko.

- Nie powinieś podchodzić tak blisko - rzuciła ostro Clarice.

- Przede wszystkim żadnych gwałtownych ruchów - poinstruował Lijah. -

Poruszamy się powoli, mówimy cicho. To dzikie ptaki, źle znoszą obecność człowieka.

Podszedł do trzeciej woliery i jego twarz nagle się zmieniła, pojawiła się na niej czułość.

- Czy to ona? - spytał półgłosem Brady.

- Tak. To Santee... - Lijah nachylił się i zaczął przemawiać cichym, łagodnym głosem: - Jak się czuje moja kochana dziewczynka? Już lepiej? Santee, masz gościa. Ktoś bardzo chciałby cię poznać.

Dał Brady'emu znak ręką. Brady prawie na palcach podszedł do woliery.

Na żerdzi tuż nad ziemią siedział orzeł, bielik amerykański. Ze śnieżnobiałą głową i lśniącymi, czarnymi piórami. Czoło niskie, tuż nad wielkim żółtym dziobem, przez co spojrzenie jasnożółtych oczu wydawało się jeszcze bardziej groźne.

- Nie lubi mnie - powiedział cicho Brady. Clarice, która oczywiście podsłuchiwała, prychnęła pogardliwie.

- Chyba nie - przyznał Lijah. - Prawdę mówiąc, ona nie lubi większości z nas. I dobrze. Wcale nie musi lubić ludzi. Moja Santee...

Nie odrywa! od orlicy oczu. Odwrócił się, dopiero gdy usłyszał, że Clarice wychodzi z ostatniej woliery.

- Wszystkie dostały - oznajmiła. - Przyjdę później, żeby zebrać resztki. A co u ciebie, Lijah? Słyszałam, że zamieszkałeś w chacie nad stawem. Dobrze ci tam?

- O, tak. Jest czysto i ciepło. A przede wszystkim jestem blisko mojej Santee.

- Tęsknimy za tobą. Mama omal nie wpadła w histerię, kiedy dowiedziała się, że koczujesz gdzieś w lesie o tej porze roku! I to w twoim wieku!

- Twoja mama niepotrzebnie robi aferę.

- Mama kazała też zapytać, czy będziesz jutro na nabożeństwie. A po nabożeństwie zaprasza na obiad. Przyjadę po ciebie.

- Świetny pomysł. Dziękuję. Czy coś przynieść?

- Wiadomo co, kilka opowieści. Przyjadę koło dziesiątej. Czy to dobra pora?

- W sam raz.

- Świetnie. Do widzenia. Zobaczymy się w niedzielę!

Lijah został obdarzony promiennym uśmiechem, a Brady spojrzeniem zimniejszym niż lód. Naturalnie udawał, że niczego nie zauważył. Kiedy dziewczyna wyszła, spojrzął jeszcze raz do woliery, na zabandażowane skrzydło orlicy. Na bandażu widać było plamy krwi.

- Czy ona wyzdrowieje?

- Skrzydło goi się bardzo dobrze, ale Santee stanowczo za mało je.

Teraz Brady zauważył wielką rybę, którą Clarice położyła na kamieniu przed ptakiem. Ryba była nietknięta.

- Dlaczego?

- Skąd mogę wiedzieć, chłopcze? Może ze zmartwienia.

- Ale wygląda dobrze, prawda? Przecież widać. Tak groźnie. Ma wielkie szpony. Gotowa rozszarpać mnie na strzępy.

- Orzeł, jak zresztą większość ptaków drapieżnych, nigdy nie pokaże po sobie, że z nim źle. Ukrywa to, żeby nie stać się łupem innych zwierząt. A moja Santee.... Myślę, że będzie dobrze. W sumie wszystko przebiega prawidłowo. A ona, wiadomo, chce wydostać się stąd jak najprędzej. Wrócić do swojego gniazda.

- Słyszałem, że pisklęta się nie wykluły.

- Niestety, nie.

- A ile ich miało być?

- Prawdopodobnie dwa.

- Może zniesie jeszcze jajka?

- W tym roku na pewno nie.

Brady czuł, że jego poczucie winy wzrasta.

- Ja... ja nie chciałem jej zranić.

- Wiem, synu.

Brady poderwał głowę, serce w piersi zabiło szybciej.

Skąd on to wie? Przecież tamtego dnia na mokradłach nie było nikogo, tylko Brady i jego ojciec.

- Słyszałem, że to ty ją znalazłeś.

- Tak. Ja. Szedłem za nią. Do jej gniazda.

- Szedłeś za nią? Widziałeś, jak została postrzelona?

- Widziałem. I słyszałem.

Twarz Brady'ego zrobiła się purpurowa.

- Ty... ty widziałeś, kto ją postrzelił?

- Widziałem wysokiego, zwalistego mężczyznę w kurtce moro, który miał dubeltówkę. Chłopak, który mu towarzyszył, miał sztucer. A mój ptak dostał grubym śrutem.

Brady drżącą ręką przeczesał nerwowo włosy.

- Ale ty... nie powiesz o tym nikomu?

- Gdybym miał taki zamiar, dawno bym to zrobił. Uważam, że jest to sprawa między tobą a twoim ojcem. Chociaż nie byłoby źle, gdybyś powiedział o tym Harrisowi. Zyskałbyś w jego oczach.

- Nie! Nikt nie może o tym wiedzieć. Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz!

Lijah, zamyślony, potarł szczękę.

- Wydaje mi się chłopcze, że dźwigasz na swych barkach ciężar zbyt wielki jak na swój wiek.

- Przecież o to chodzi! O wiek! Jestem niepełnoletni, a ojca nie stać na wyższą grzywnę. Te tysiąc osiemset dolców i tak nas załatwiło. A gdyby ojciec poszedł do pudła, matka nie dałaby rady. Przecież nas, dzieciaków, jest w domu pięcioro! Ja jestem najstarszy. A poza tym... ja i tak jestem winny. Nieważne, czy to był śrut czy kulka. Ja też pociągnąłem za spust. Tak! I muszę z tym żyć! Rozumiesz?

Lijah ponownie potarł w zamyśleniu szczękę.

- Myślę, że tak. No cóż... Ty tu decydujesz, chłopcze.

Brady wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi.

- Dziękuję. Tak bym chciał, żeby Santee wyzdrowiała, ale co ja mogę zrobić? Nie jestem Harrisem. Nadaję się tylko do czyszczenia skrzynek i kopania rowu.

- Wszystko jest ważne, chłopcze. A ty pracujesz dobrze, nie obijasz się. Zjawiasz się zawsze punktualnie i na nic nie narzekasz. Nie odszczekujesz się, kiedy pewne osoby prawią ci złośliwości.

Brady uniósł głowę. Rozpierała go duma.

- Popatrz no tutaj! - Lijah wskazał sękatym palcem pierwszą woliere, w której siedział czarny sęp. - Kiedy patrzysz, jak unosi się w powietrzu na tych swoich cętkowanych skrzydłach, to myślisz, że on po prostu tylko tak sobie fruwa. A on tymczasem wykonuje swoją robotę. Oczyszcza pola, łąki, drogi z padliny. Lubi jagnięta, krowy, konie, węże, aligatory, byle martwe. A teraz spójrz na moją Santee. Orzeł jest potężnym ptakiem. Nie lata, tylko szybuje. Wysoko, razem z wiatrem. Nikt nigdy nie widział, żeby orzeł chwiał się na wietrze jak sęp. Kiedy orzeł unosi się w przestworzach, twoja dusza śpiewa. Czujesz coś wzniosłego. Chcesz być dobry, chcesz mieć więcej siły, więcej prawdy w sobie. Dlatego tyle narodów ma w swoim



godle państwowym właśnie orła. Tak jak my. Lijah uśmiechnął się ciepło i położył rękę na ramieniu Brady'ego.

- Ludzie myślą, że sęp to tylko leniwy padlinożerca. Według nich orzeł jest bardziej szlachetny, lepszy od innych ptaków. Zastanów się, jak wyglądałby świat bez sępów. Wszyscy są potrzebni, i orzeł, i sęp.

Brady spojrzał na sępy i na orła. Duże czarne ptaki. Oba potrzebne. Jednak...

- Wolałbym być orłem niż sępem.

Lijah roześmiał się, ukazując wspaniałe białe zęby.

- My wszyscy, synu. Wszyscy. Każdy wolałby być orłem!

RS

**Błotniaki:** wszechstronni myśliwi. Błotniak północny to jedyny przedstawiciel tej rodziny w Ameryce Północnej.  
Jest ptakiem średniej wielkości,  
o wąskich skrzydłach i z charakterystyczną białą plamą na grzbiecie. Znakomity myśliwy. Często widuje się go, jak uparcie krąży nisko nad otwartą przestrzenią w poszukiwaniu zdobyczy. Kiedy leci wysoko, często mylony jest z sokołem wędrownym lub krogulcem czarnołbistym.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Były walentynki. Rybołowy wracały do Lowcountry, a myszołowy rdzawoskrzydłe odbywały hałaśliwe gody. Harrisowi przez całą drogę do domu towarzyszyły ich donośne okrzyki. Znak, że niebawem zacznie się gorączka budowania gniazd.

Swoje gniazdo już widział. Stało sobie wśród majestatycznych sosen. Okna rozświetlone, nad kominem smużka szarego dymu. Ładny dom, pomyślał z dumą. Solidny, dobrze usytuowany. Naprawdę dobre gniazdo.

Zatrzymał się na moment, żeby do obu bukietów dodać po gałązce sosny, i przyspieszył kroku. Bukiety położył na krześle przed drzwiami. Kiedy wszedł do środka, natychmiast otoczyła go cała gama domowych zapachów. Bazylia, oregano, zapach pieczonego chleba... Dom niby ten sam, ta sama sofa, krzesła, stoły, te same obrazki na ścianach. Wszystko jednak jakieś inne. To zasługa Elli, skromnej, pracowitej kobiety, która pojawiła się wśród chaosu jego świata i zaprowadziła w nim porządek.

Zamknął drzwi i ruszył do kuchni. Pod drogą zauważył, że stół przykryty jest czerwoną serwetą, na serwecie porozrzucone czerwone serduszka.

- Tata!

Z kuchni wyskoczyła Marion. Objął dziecko i pocałował w czubek głowy. W drzwiach kuchni ukazała się Ella, w dżinsach i czerwonym swetrze. Do ramienia miała przypięte serce z papieru, do serca przypiętą serwetkę, na której wielkimi kulfonami wypisane było jej imię. Nietrudno było się domyśleć, że to dzieło Marion.

- Świetnie, że już jesteś. Właśnie wyjęłam pizzę z pieca.

Postawiła pizzę na stole, ogromną, w kształcie serca.

- Wspaniała!

Harris spojrział na Ellę z wdzięcznością. Miała naprawdę świetny pomysł z tą pizzą w sytuacji, gdy Marion nie wolno jeść słodczy.

- Pachnie wspaniale. Jednak czegoś tu nie rozumiem... - Harris zrobił przesadnie zaszępiłą minę i bezradnie potrząsnął głową. - Przecież ta pizza jest w kształcie serca. Czy dziś jest jakieś święto?

- Tatusiu! - Marion spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem. - Dziś są walentynki! Zapomniałeś?!

- Walentynki? - Harris podrapał się za uchem. - Czy to takie święto, kiedy pod choinką znajduje się prezenty?

- Tato!

Marion wybuchnęła śmiechem i przypadła mu do nóg.

- Prezenty pod choinką dostaje się na Boże Narodzenie!

- Rozumiem. W takim razie to na pewno jest takie święto, kiedy przychodzi do nas zajaczek.

- Tatusiu! Znów się pomyliłeś! Zajaczek przychodzi na Wielkanoc.

- No to ja już nie wiem - powiedział Harris bardzo żalonym głosem.

- Dziś jest taki dzień, kiedy dajemy prezenty tym których kochamy.

- A, to wszystko jasne. Ja przede wszystkim kocham ciebie, skarbie. Czyli powinienem ci coś dać, prawda?

- Oczywiście!

Harris mrugnął do Elli, która z rozczeniem przyglądała się scenie i wyszedł na moment na ganek. Wrócił i wręczył córeczce kwiatki.

- Proszę, skarbie. To dla ciebie.

Marion chwyciła bukietik różowych stokrotek i przycisnęła do serca. Zachwycona, jakby podarował jej cały świat. Harris podszedł do Elli i wręczył jej dwanaście pąsowych róż.

- Proszę, to dla ciebie.

- Dla mnie?!

Była wyraźnie zaskoczona. Bardzo ostrożnie odebrała od niego trochę sfatygowany bukiet, pochyliła głowę ku pąsowym płatkom i mocno wciągnęła ich zapach. W tym momencie wyglądała bardzo kobieco. Nawet ładnie, zdecydował w duchu Harris.

Dziś rano podsłuchiwał, jak Maggie i Sherry opowiadały sobie o świeżych kwiatach, które sprzedają w małym markecie przy autostradzie, gdzie można było kupić najróżniejsze różności. Piklowane nogi wieprzowe, papierosy, colę, cukierki, no i oczywiście te okropne kanapki z białego chleba, owinięte w folię. Nic dziwnego, że pojawienie się tam świeżych kwiatów wywołało wielkie poruszenie.

Harris przypomniał sobie, że dziś są walentynki, wskoczył do samochodu i kupił dwa ostatnie bukiety.

Drobny gest, a tyle radości...

Ella musnęła palcami zieloną gałązkę sosny.

- Trochę niezwykły dodatek do bukietu - powiedziała z uśmiechem.

- To moja inicjatywa - przyznał Harris. - Pomysł ściągnięty od orła. Podczas wylęgania się piskląt orzeł znosi do gniazda młodziutkie gałązki sosny. Nie wiem, dlaczego. Może osłania nimi pisklęta, może te gałązki to rodzaj dezodorantu. A może po prostu chce w ten sposób podziękować orlicy wysiadującej jajka...

- Ella! Czyli tata cię kocha!

Ella stanęła w pąsach, Harris wyraźnie się przestraszył. Te róże miały być jedynie dowodem przyjaźni i wdzięczności, niczym więcej.

- Ella, chciałem podziękować ci za wszystko, co dla nas zrobiłaś. Pomyślałem sobie, że te róże ci się spodobają. Będą... będą pasować do tego stołu.

- Oczywiście! - odpowiedziała trochę za szybko i za głośno. - Będą pasować znakomicie. Zaraz wstawię je do wody.

Jak najszybciej zniknąć mu z oczu. Kiedy poczuła, że jej policzki płoną, w jego oczach zobaczyła przerażenie.

Bał się, że ona źle zrozumie jego intencje. A tak się przecież stało! Co prawda tylko na ułamek sekundy, niemniej jednak... Och, była głupia, że coś takiego pomyślała! W końcu nigdy nie dostała kwiatów od mężczyzny, a co dopiero dwunastu pąsowych róż na walentynki. Kobiety, zwłaszcza samotne, marzą o takiej chwili.

Stop, Ello! Przestań robić z siebie skończoną kretynkę! Jesteś tutaj, żeby zajmować się dzieckiem...

Nalała wody do wazonu, wsypała odżywkę do kwiatów i przycięła łodyżki. Włożyła róże do wazonu. Za każdym razem, gdy wkładała jedną z nich, miała wrażenie, jakby kolce z tej łodyżki kłuły ją w samo serce.

- Chodź! - zawołała Marion od stołu. - Pizza stygnie!

- Już idę, kochanie!

Rozciągnęła usta w uśmiechu i dziarskim krokiem wmaszerowała do pokoju.

- Piękne róże - powiedziała, stawiając wazon na stole. - Świetny pomysł, Harris. Może zaczniesz kroić pizzę? A ja wstawię do wody stokrotki.

- Pokroić? - spytał z uśmiechem. - Szkoda. Wygląda tak ładnie.

- Na pewno będzie ci smakować. Maggie pomogła mi wyrobić ciasto, a sos wzięłam gotowy, ze słoiczka. Nie musisz się niczego obawiać.

Znów się uśmiechnął, czyli wszystko wróciło do normy. Ella, podążając ponownie do kuchni, przysięgała sobie w duchu, że w przyszłości będzie panować nad swoimi emocjami.

W końcu wszyscy zasiedli do stołu. Harris ujął dłoń Elli i Marion. Za chwilę podziękuje Bogu za szczodre dary. Ella poczuła się skrępowana. To była dla niej zupełnie nowa sytuacja, a poza tym niebezpiecznie bliska jej marzeniom o wspianej rodzinie.

Rodzina. Taka jak tych dwoje, przy tym stole.

- Ello? Chcesz zmówić dziś modlitwę? - spytał Harris.

- Ale dziś moja kolej, tatusiu! - odezwała się rozzalonym głosem Marion.

- Dobrze, kochanie. A więc proszę. Marion wyrecytowała:

- Dziękujemy Ci, Panie Boże, za pizzę. Dziękuję ci za moje kwiaty. I dziękuję też za kwiaty dla Elli.

Ella szybko skinęła głową i powiedziała:

- Amen.

Rozłączyli ręce, każdy swoje złożył na podółku.

- No i co porabialiście cały dzień?

- Ja pisałam literki, tatusiu! - oznajmiła z dumą Marion. Ella z uśmiechem wskazała palcem na koślawe litery na swoim papierowym sercu przypiętym do ramienia.

- Wspaniale! Jestem pod wielkim wrażeniem - pochwalił.

- A ja dzwoniłam do moich ciotek - oznajmiła Ella. - Przekazałam im moc serdeczności z okazji walentynek. Były bardzo podekscytowane, że dzwonię do nich z tak daleka.

- A ile one mają lat? - spytała Marion.

- Niestety, kochanie, nie wiem. Nigdy mi tego nie zdradziły, a wszystkie dokumenty trzymają pod kluczem. Są bardzo stare, prawdziwe seniorki rodu Majorsów. Jednak zawsze mówią o sobie „panny”.

- Dlaczego?

- Bo nigdy nie wyszły za mąż - wyjaśniła Ella, dodając w duchu, że staropanieństwo jest widać pisane kobietom z tego rodu.

- Nigdy?

- Nigdy. Podobno ciotkę Rhodę narzeczony zostawił przed ołtarzem.

Oczywiście był to wielki skandal. Natomiast o ciotce Eudorze nie wiem nic, w ogóle ta strona życia ciotek owiana jest wielką tajemnicą. W każdym razie obie nadal mieszkają w domu, w którym się urodziły. Po śmierci babci opiekowały się moim dziadkiem, czyli swoim ojcem, a kiedy po kilku latach zmarł, postanowiły w wielkim domu otworzyć zajazd. Był to bardzo dobry pomysł. Kochane cioteczki. Pełne ciepła i energii, takie wesołe i skore do pomocy. Dlatego ich „Zajazd Wiktoriański” zawsze pęka w szwach.

Uśmiechnęła się z rozczuleniem na wspomnienie swoich barwnych krewnych, chociaż kiedyś, jako nastolatka uważała je po prostu za głupie i lekkomyślne. Ona od

małego twardo stąpała po ziemi, one żyły chwilą, poza tym były wielkimi estetikami. Uwielbiały wszystko, co piękne. Ella, kiedy była mniej więcej w wieku Marion, przypadkiem podsłuchiwała ich rozmowę.

- Nasza Ella wygląda jak szara myszka, nie uważasz, Rhodo? Szkoda, że od każdego z rodziców wzięła to, co najbrzydsze.

Ella rozplakała się, bo w tym okrutnym stwierdzeniu nie było krztyny przesady. Po ojcu odziedziczyła brązowe oczy. Wielkie, ale zbyt szeroko rozstawione. Rzęsy miała jak matka, tak jasne i krótkie, jakby ich wcale nie było. Nos prosty, ale ostry. Usta szerokie, po matce, ale wargi wąskie, jak u ojca. Jediną jej dumą były włosy. Jasnobrązowe, gęste, lśniące, długie prawie do pasa. Spadek po którymś z nieznanym przodków.

Po ojcu wzięła również inteligencję, a po matce, rodem z Nowej Anglii, zdrowy rozsądek. I za to była im obojgu bardzo wdzięczna.

- A twoja mama i tato? - spytała Marion. - Czy oni też są starzy?

- Oni nie żyją, Marion.

- Och... Dziewczynka posmutniała.

- To było bardzo dawno temu, kochanie - powiedziała szybko Ella. - Już się z tym pogodziłam.

Wszystkie pytania zadawała mała Marion, Ella wyczuwała jednak, że Harris też jest ciekawy.

Odłożyła swoją pizzę na talerz i wytarła palce w serwetkę.

- Mój ojciec był lekarzem rodzinnym, matka pielęgniarką. Mieli w Rutland swoją klinikę. Pracowali bardzo dużo, większość czasu spędzali poza domem. Do kliniki jeździli codziennie, czasami też w nocy. Droga do Rutland biegnie po stoku góry Wallingford. Tamtego dnia pokonywali zakręt, a z naprzeciwka nadjeżdżał wóz z sianem. Było ciemno, padał deszcz, po obu stronach drogi rosła drzewa. Nie zauważyli tego wozu, woźnica też ich nie zobaczył. No i... - Ella zamilkła na moment.

- No i cóż... Jak powiedziałam, wychowały mnie ciotki. Lepszych ciotek nie znajdziesz na całym świecie. Bardzo je kocham. One nigdy nie wyściubiły nosa poza północny Wschód, ale zawsze zachęcały mnie do podróży.

- No i przyjechałaś tutaj! - wykrzyknęła triumfalnie Marion.

- Tak. Przejechałam samochodem taki kawał drogi, żeby trafić do Awendaw. - Ella wzięła z talerza pizzę i uśmiechnęła się. - Harris, a ty co porabiałeś przez cały dzień?

- Niestety mamy w klinice wielki problem. Matka Sherry jest poważnie chora, Sherry musi do niej pojechać. Personel nam się skurczy, i to właśnie na wiosnę, kiedy jest najwięcej roboty.

- Są przecież inni wolontariusze.

- Tak, ale bez doświadczenia medycznego. Potrzebny jest ktoś, kto potrafi odczytać zdjęcie rentgenowskie, pobrać krew, wie, jak leczyć różnego rodzaju urazy. Ktoś, kto ma wiedzę z dziedziny biologii...

Harris opuścił głowę, przez moment z wielką uwagą przyglądał się swoim rękom.

- Ta praca niewiele się różni od pracy, jaką wykonywałaś w szpitalu.

Nietrudno było zgadnąć, do czego zmierzał. Ella zachowała spokój, uruchamiając jednocześnie wszystkie mechanizmy obronne.

- Czy mogłabyś nam trochę pomóc w klinice? Tylko przez jakiś czas, dopóki kogoś nie znajdę.

- Ja? Przecież ja kompletnie nie znam się na ptakach.

- Wiem, ale jesteś pielęgniarką. Poza tym przejdziesz ekspresowe szkolenie.

- Ja się do tego nie nadaję. Nigdy nie miałam ani psa, ani kota, nawet kanarka.

Harris nie krył rozczarowania. Położył serwetkę na stole i odsunął swój talerz.

- Trudno. Skoro nie... W każdym razie Sherry wyjeżdża lada dzień. Będę musiał przejąć jej obowiązki, co oznacza, że do domu będę wracał później. Będzie mi brakować wspólnych posiłków, ale nic na to nie poradzę.

- Nie możesz sobie zrobić krótkiej przerwy, żeby zjeść razem z dzieckiem? Wpadniesz na chwilę, jedzenie będzie już na stole...

- Nie da rady. Jak każdej wiosny, będzie tu prawdziwe urwanie głowy. Będą przynosić mnóstwo ptaków. Pracowałaś na ostrym dyżurze, dobrze wiesz, jak to jest. Nie odejdziesz od pacjenta, żeby zjeść lunch. Jesz, kiedy możesz. No, to ja już lecę. Muszę zajrzeć do kilku ptaków.



Szurnął krzesłem. Trzasnęły drzwi. Ella wstała, pozbierała ze stołu brudne talerze. W drzwiach kuchni odwróciła się i spojrzała na pokój. Czerwone zasłony na oknach zaciągnięte, w piecu wesoło trzaskał ogień. Miłe, domowe wnętrze. Ale nagle wydało się jej puste.

Marion zsunęła się ze swojego krzesła i pomaszerowała do telewizora.

- Marion! Sprzątamy ze stołu!

- Muszę? - zajęczała dziewczynka, ale posłusznie podeszła do stołu i zaczęła zbierać sztućce. Po twarzy Elli przemknął uśmiech. Na szczęście Marion powoli wdrażała się do domowych obowiązków. Na początku szło trochę opornie. Dziewczynka przyzwyczajona była, że obsługuje ją ojciec lub kolejna opiekunka. Ella, która nigdy nie szła na łatwiznę, zaczęła uczyć dziecko podstawowych czynności. Teraz Marion sama rano słała swoje łóżko, sprzątała ze stołu. Zbierała swoje zabawki i ubrania... czasami.

Największym sukcesem był fakt, że po przejściu naprawdę długiej drogi poziom cukru we krwi Marion wreszcie się ustabilizował. Poza tym dziecko wdrożyło się do zdrowego trybu życia. Rano wstawało bez narzekania, wieczorem nie opierało się przed pójściem do łóżka o przyzwoitej porze.

Marion wrzuciła do zlewu widelce i łyżki.

- Zrobione! - krzyknęła.

- Świetnie! No to leć już!

Ella, zajęta zmywaniem, co chwilę zerknęła na dziecko. Marion wróciła do pokoju, chwyciła z sofy swoją ukochaną Wytworną Lulu, ale wcale nie podeszła do telewizora. Tylko do okna. Stała na paluszkach, odsunęła zasłonę...

Dziecko patrzyło za ojcem. Ela sponsepniała. Wcale nie było jej miło odmawiać Harrisowi, ale cóż, każdy człowiek ma jakieś ograniczenia. Ella nie wyobrażała sobie, żeby miała swoją wiedzę medyczną i umiejętności praktykować na ptakach, zwłaszcza drapieżnych.

Miała pełne prawo odmówić, ale poczucie winy pozostało. Tym bardziej że pojawił się nowy problem. Harris już teraz miał bardzo mało czasu dla dziecka, a obarczony dodatkowymi obowiązkami chyba w ogóle przestanie je widywać.

Ręce Elli znieruchomiały. Kiedyś, wiele lat temu, inna mała dziewczynka godzinami wystawała w oknie, czekając na powrót rodziców. Ile ona się za nimi wytęskniła, zanim odeszli na zawsze...

Marion, tuląc do siebie Wytworną Lulu, nadal stała przy oknie. Ella zakręciła wodę, pozostawiając w zlewie jeden nieumyty garnek. Wytarła ręce w ściereczkę, podeszła do dziewczynki i przykucnęła obok, delikatnie odwracając dziecko ku sobie.

- Panno Marion, co pani powie na miłą, gorącą kąpiel? Oczywiście z bąbelkami?

Godzinę później Marion leżała już w łóżku, Ella wyciągnęła się obok. Pora na czytanie bajki na dobranoc. Ulubiona chwila obu pań. Wszystko w domu zrobione, nie będzie już żadnego testu i zastrzyków. Naprawdę można cieszyć się chwilą.

Kędzierzawa główka, jak zwykle, spoczęła na ramieniu opiekunki.

- Hmm... Ależ ty ślicznie pachniesz... - zachwycała się Ella, wsadzając nos w złociste loczki.

Marion pokiwała tylko główką, przyjmując komplement ze stoickim spokojem. Potem nagle spojrzała na Ellę. Bardzo przenikliwie. Ella poczuła się nieswojo. Czowała, że jest oceniana, a wiedziała już przecież, że według standardów Marion Ella Majors wcale nie jest ładna.

- Ty też ładnie pachniesz - oświadczyła Marion. Ella, rozluźniona, posłała jej ciepły uśmiech.

- Dziękuję ci, kochanie.

Tego wieczoru wybrały do czytania ulubioną bajkę Marion „Dobranoc, Księżycu”. Bajkę uroczą, napisaną bardzo prostymi słowami, a tak rzewną, że powieki Marion podczas czytania zawsze robiły się ciężkie. A o to przecież chodziło.

Kiedy dotarły do ostatniej strony, Marion, wskazując na małego zajączka ułożonego w wielkim łóżku, powiedziała sennym głosem:

- To ja.

- Oczywiście, kochanie, to możesz być ty.

- A czy to jego mama?

Paluszek zatrzymał się na dużym zającu w damskim ubraniu, usadowionym w fotelu na biegunach.

- Nie. To stara pani, która opiekuje się zajączkiem.

- Aha. Czyli ty!

- Ja? No trudno. To mogę być ja.

Marion, kręcąc paluszkami jeden ze złocistych kędziorków, pomyślała chwilę.

- Ona mogłaby być mamą.

- Chcesz, żeby ta pani z książeczki była mamą zajączka?

Dziewczynka w milczeniu wpatrywała się w obrazek.

- Marion? Tęsknisz za swoją mamą? Pokiwała główką.

- A spotykasz się z mamą?

- Nie. Ja bym chciała, ale tatuś mówi, że mama wyjechała bardzo daleko.

- O, to rzeczywiście niełatwa sprawa. Mama na pewno za tobą tęskni.

- Wiem - powiedziało dziecko bezbarwnym głosem, jakby mówiono mu to już milion razy.

- Masz może zdjęcie mamy? Postawimy je przy łóżku i co wieczór będziesz mogła powiedzieć jej dobranoc. Tak, jak to robi zajączek.

- Tatuś nie chce mi dać zdjęcia mamy.

- Pamiętasz, jak wygląda twoja mama?

- Jest bardzo ładna. Taka jak Lulu.

Ella, spojrzawszy na plastikowe dzieło z monstrualnym biustem i nienaturalnie cienką talią, zaczęła zastanawiać się w duchu, czy Fannie faktycznie jest piękną kobietą. Ella wiedziała, że Marion jest bardzo podobna do matki, a mała była śliczna.

- Kiedy widziałaś swoją mamę po raz ostatni?

Marion westchnęła i potarła oczy piąstkami.

- Nie wiem... Bardzo dawno temu - powiedziała sennym głosem i ziewnęła szeroko. - Miałam tyle lat.

Pokazała Elli trzy paluszki.

- Może twoja mama wkrótce tu przyjedzie. Chciałabyś?

Marion nagle zamknęła książeczkę i zepchnęła ją z łóżka.

- Chce mi się spać - powiedziała dziewczynka i skuliła się w kłębek. Ella, naturalnie, nie ciągnęła tematu. Wstała, przykryła porządnie dziecko i pocałowała pucołowaty policzek.

- Dobranoc, skarbie - powiedziała miękko.
- Dobranoc. Powiesz tatusiowi, żeby przyszedł mnie pocałować?
- Oczywiście.

Ella zgasiła nocną lampkę i stąpając po jasnej smudze światła padającego z korytarza, podeszła do drzwi.

- Ella?

Odwróciła się i spojrzała na mroczny pokój.

- Co, kotku?

Z ciemności dobiegł cienki, senny głosik.

- Ja bym naprawdę chciała, żebyś to ty była tą panią z książki.

Ella stała nieruchomo w drzwiach. Zbyt wzruszona, żeby cokolwiek powiedzieć. Przez wiele lat opiekowała się dziećmi. Setkami. Nigdy jednak nie czuła takiej słodyczy jak teraz, kiedy podczas wieczornego czytania główka Marion spoczywała na jej piersi.

Zaczynała kochać małą Marion, a to napawało lękiem, bo natychmiast pojawiała jej się przed oczami blada, umęczona twarzyczka Bobby'ego...

- Śpij dobrze, kochanie - powiedziała i zamknęła drzwi.

***Dieta.** Ptak drapieżny umie się przystosować. Nigdy nie wie, gdzie i kiedy znajdzie następny posiłek. Jego żołądek to powiększona część przełyku, w której może przechować dużą ilość pożywienia. Dzięki temu potrafi obejść się bez jedzenia do siedmiu dni. Swoją zdobycz często połyka w całości. Futro i kości ofiary przechodzą przez organizm, po czym wydalane są jako wypluwki. Analiza wypluwek umożliwia zdobycie informacji na temat diety ptaka i jego rewiru.*

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Po kilku godzinach, późnym wieczorem, Ella wyszła na ganek. Oparła się o drewniany słup i spojrzała na gwiazdy. Rzeźkie powietrze przypominało jej wiosenne noce w rodzinnym Vermoncie, noce pełne szelestów i nawoływań ptaków. Ale niebo nad Karoliną Południową było inne. Przede wszystkim półksiężyc, coś, czego nie uświadczysz na północy. I te gwiazdy, takie jasne, jak diamenty na czarnym aksamicie.

Była tutaj, pod niebem Karoliny, ale nękały ją wspomnienia z północy. Gdyby teraz zamknęła oczy, znów zobaczyłaby bladą twarzyczkę tamtego dziecka.

Bobby'ego.

Wtedy była zima.

Ella stała przy oknie, zapatrzona na wirujące płatki śniegu. Nagle na szpitalny korytarz wbiegli ratownicy medyczni, pchając nosze. Śnieg, oczywiście, natychmiast poszedł w niepamięć. Ella podbiegła do noszy, jednocześnie wydając polecenia pozostałym pielęgniarkom, które stały w pobliżu.

Na noszach leżało dziecko. Blade jak papier, oddychające z wielkim trudem. Rozpoznała je od razu. Bobby D'Angelo, sześciolatek z cukrzycą.

- Doktorze, jaki jest jego stan? - spytała z niepokojem.

- Poziom insuliny bardzo niski. Niebezpiecznie niski. Miał konwulsje.

- Bobby! Bobby! Słyszysz mnie? - Ella pochyliła się nad dzieckiem i wzięła je za rączkę. Ku jej wielkiej uldze chłopczyk otworzył oczy. - Dzień dobry, Bobby! Stęskniłeś się za mną?

Chłopczyk zamrugnął ciężkimi powiekami, po jego twarzy przemknął uśmiech.

- Ella?

- Tak, kochanie. Jak się czujesz? - spytała, odgarniając mu z czoła czarne, wijące się włosy. Położyła dłoń na czole. Było zimne, zroszone potem.

- Do...dobrze - powiedział chłopczyk półprzytomnie, oblizując suche wargi.

- Naprawdę dobrze? A może jednak nie? Chyba przede wszystkim chcesz pić, prawda?

- Aha...

Nie odstępowała od noszy. Potem sama wykonała wszystkie rutynowe czynności. Ośluchała go, sprawdziła reakcję źrenic, odruchy, ciśnienie. Bobby współpracował bez słowa skargi. Ella miała do czynienia z setkami dzieci, ale mały Bobby zdobył jej serce. Niestety pojawiał się w szpitalu niebezpiecznie często. I po każdym gwałtownym ataku choroby chłopczyk potrzebował coraz więcej czasu na dojście do sił.

- Bobby, pamiętasz, kiedy po raz ostatni dostałeś insulinę?

Chłopczyk wzruszył ramionami.

- Dawno temu?

- Już nie pamiętam. Ale to nie jest wina mamy.

Ella słyszała, jak pielęgniarka, stojąca za nią, mamrocze gniewnie pod nosem.

- Boże! Ma dopiero sześć lat i uważa, że to jego wina!

- Sprawdźmy poziom cukru, dobrze? - powiedziała Ella pogodnym głosem, starannie ukrywając wzburzenie. Oczywiście, była wściekła na matkę chłopca. Zerknęła w stronę recepcji. Poznała ją od razu. Kobieta chuda jak patyk. Włosy pofarbowane na jaskrawoczerwony kolor, krótka czarna spódniczka i biała kurtka. Ella wiedziała, że rękaw tej kurtki kryje liczne ślady po szprycowaniu.

Do sali wszedł lekarz. Ella szybko podała mu wypełnioną kartę i wróciła do Bobby'ego.

- No, kochanie, jak zwykle pojedziesz teraz do dużej sali.

Chłopczyk skrzywił się. Posmutniał, a nigdy tak przecież nie reagował.

- Pójdiesz ze mną, Ello?

- Teraz nie mogę. Mam mnóstwo pracy, ale jak będę wolna, zaraz do ciebie przybiegnę.

Pogłaskała go. Chłopczyk chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Ello?

- Co, kochanie?

- Proszę, nie gniewaj się na moją mamę. To ja zapomniałem. To moja wina.

Ella odgarnęła mu z czoła spocone włosy i postarała się przełknąć tę emocję, która w postaci grudki ulokowała się jej w gardle. Chłopczyk bardzo kochał swoją matkę. Za bardzo. Ella wierzyła, że w niebie jest takie specjalne miejsce dla dzieci, które musiały opiekować się swoimi rodzicami. A dla tych rodziców też jest gdzieś zarezerwowane miejsce, też specjalne.

W piekle.

- Nikogo o nic nie obwiniamy, kochanie. A już na pewno nie ciebie. Wiesz, dlaczego?

Chłopczyk potrząsnął główką.

- Bo jesteś bardzo dobrym dzieckiem. Nadzwyczajnym, kochanie.

Ciężkie powieki chłopczyka opadły, z ulgi i ze zmęczenia.

Ella, rzadko poddająca się impulsowi, nachyliła się nad malcem i pocałowała spocony policzek. Złożyła sobie w duchu przysięgę. Jeśli trzeba będzie, wystąpi o adopcję. Nie pozwoli, żeby to chore dziecko było zaniedbywane.

Do noszy podeszła jedna z pielęgniarek, żeby zawieźć chłopca na oddział dziecięcy. Ella czuła, jak palce chłopczyka zaciskają się na jej rękę.

- Nie martw się, skarbie - powiedziała z czułością, ściskając go za rączkę. - Na pewno do ciebie potem zajrzę. Obiecuję.

Niestety, tej nocy był prawdziwy młyn. Minęło wiele godzin, zanim Ella mogła wreszcie pognać do windy i tuląc w objęciach pluszowego misia, pojechać na trzecie piętro.

- Cześć, cześć! - zawołała wesoło do pielęgniarki dyżurnej. - W którym pokoju leży Bobby D'Angelo?

- W pokoju 317. Ale Ello, poczekaj! Teraz tam nie wolno wchodzić.

Nie wolno. Te dwa słowa zelektryzowały Ellę. Pognała korytarzem. Już z daleka słyszała szybkie, krótkie polecenia lekarza. Z daleka zobaczyła, że obok łóżka Bobby'ego stoi wózek z defibrylatorem.

Linia na monitorze cienka, nieregularna.

Nie umieraj, Bobby.

Już po wszystkim. Na białym prześcieradle dwie chudziutkie rączki o nienaturalnie białej skórze porysowanej niebieskimi rzeczками żył. Dłonie odwrócone, paluszki lekko zagięte.

On tak się bał.

Za późno, żeby chwycić za tę rączkę i przytrzymać. Przytrzymać jego życie.

W ciszy sali słyszać tylko cichutkie brzęczenie monitora.

Ella stała nieruchomo. Miś wysunął się z jej zeszywniałych ramion i upadł na podłogę.

Tamtej nocy po raz ostatni pracowała jako pielęgniarka. Rano zwolniła się, głucha na wszelkie argumenty koleżanek, prawnika i administracji szpitala.

- Wiemy, że to bardzo trudna sytuacja - powtarzali wszyscy. - Jednak pracujesz w szpitalu od dawna, nie po raz pierwszy byłeś świadkiem śmierci dziecka. Niestety, taki jest nasz zawód.

To prawda. Była świadkiem śmierci dziecka. Wiele razy.

Za dużo tych razy. O to jedno dziecko za dużo.

Dlatego znalazła się w Karolinie. Razem ze smutnym wspomnieniem, które wiadomo, nigdy jej nie opuści. Słońce południa miało pomóc Elli wziąć się w garść. Dać siły do dalszego życia.

Na razie rana była zbyt świeża. Zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele emocji. Głowę Elli rozsadzał pulsujący ból. Zrobiła kilka mocnych wdechów, kilka wydechów, potem rozpięła klamrę. Rozpuściła włosy i zaczęła delikatnie masować skronie.

Pomogło. Już lepiej. Niestety, zajęta sobą, nie usłyszała czyichś kroków. Szybko zaczęła splatać warkocz, kiedy ganek zalało światło, a na schody wstąpił Harris. Szedł ciężko, z twarzą pobladłą ze zmęczenia.

- Dobry wieczór. Skończyłeś na dziś?



- Na dziś tak, ale o świcie znów się zaczniesz. Dzwoniła Sherry. Jej matka będzie w szpitalu jeszcze przez kilka dni, potem zaczyna rehabilitację. Sherry musi jechać dosłownie już teraz.

- Czyli nie zdążysz znaleźć kogoś, kto ją zastąpi.

- Nie, nawet nie zamierzam szukać, to bezcelowe. Jak Marion? Poszła grzecznie spać?

- Trochę to trwało, ale co się dziwić. Dziecko było podekscytowane dzisiejszym świętem. Rozmawiała ze mną o swojej matce. Myślę, że dobrze by było, gdybyś opowiedział mi trochę o Fannie. To nie jest głupia ciekawość. Dzięki temu będę mogła lepiej pomóc twojemu dziecku.

- Nie ma co opowiadać.

- Dlaczego nie dałeś Marion fotografii matki?

- Lepiej, żeby o niej nie myślała.

- Ale ona za nią tęskni.

- Ona tęskni za matką, ale nie za swoją matką.

- Jesteś pewien?

Twarz Harrisa w świetle księżycy była nieruchoma, jak wykuta z granitu.

- Ty nic na ten temat nie wiesz, a to jest bardzo skomplikowana sprawa.

- I wcale nie muszę wiedzieć. Uważam tylko, że Marion potrzebny jest kontakt z matką. Zdjęcie, możliwość rozmowy.

- Nie. Dziecko za bardzo by to przeżywało.

- Ona? Czy ty?

W twarzy Harrisa drgnął jakiś mięsień.

- To jest mój dom - odezwał się nieprzyjemnym, zachrypniętym głosem. -

Marion to moje dziecko. Dlatego nie będzie więcej rozmów o jej matce.

Ella zacisnęła usta i spojrzała w górę, na gwiazdy. Zachowanie milczenia w tym momencie naprawdę wiele ją kosztowało.

- Posłuchaj... - odezwał się Harris po chwili, głosem już o wiele łagodniejszym.

- To wcale nie znaczy, że ci nie ufam. Wprost przeciwnie. Twoja obecność tutaj jest zbawieniem dla nas wszystkich. Wreszcie od bardzo długiego czasu mogę spokojnie pracować i odpocząć.

- Dziękuję, miło to słyszeć, ale w związku z tym mam jedną drobną uwagę. Jestem tylko opiekunką, a ty ojcem. Stanowczo powinieneś więcej czasu spędzać ze swoim dzieckiem.

- Wiem, ale przecież się nie rozerwę. Kiedy Sherry wyjedzie, będzie jeszcze gorzej.

- Przez cały wieczór zastanawiałam się nad tym, o co mnie poprosiłeś. Nadal uważam, że pomocnik będzie ze mnie kiepski, ale... ale gotowa jestem spróbować.

- Naprawdę?!

Twarz Harrisa wyjaśniała.

- Cudownie! Dziękuję, Ello. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga. Możesz zdradzić, co skłoniło cię do zmiany stanowiska?

- Pewna osóbką...

- Marion?

- A kto inny?

- Mówiła coś na ten temat?

- Nie musiała niczego mówić. Wystarczyło, że po twoim wyjściu podeszła do okna i stała tam, wyobrażając sobie zapewne, że niebawem wrócisz. Nie po raz pierwszy. Co wieczór czeka na ciebie, a przed zaśnięciem zawsze prosi, żeby tatuś przyszedł pocałować ją na dobranoc.

- Zawsze to robię.

Ella lekko wzruszyła ramionami.

- A Marion najczęściej już śpi, prawda? Tak jak dziś, na przykład. Kiedy byłam w jej wieku, przeżywałam coś bardzo podobnego. Też wystawałam w oknie, zastanawiając się, gdzie są moi rodzice. Dlaczego u mnie jest inaczej niż u innych dzieci? Może to ja jestem niedobrym dzieckiem i rodzice nie chcą być ze mną? Kiedy dorosłam, zrozumiałam, dlaczego moja matka w końcu oddała mnie pod opiekę ciotkom. Ojciec był pracoholikiem. Gdyby nie pracowała z nim, praktycznie by go nie widywała. To była wielka miłość. Cóż, będę pracować w klinice, a ty w tym czasie zajmiesz się Marion.

- Co?

- Właśnie to. Musisz spędzać więcej czasu z Marion.

- Ale w ten sposób i tak będzie brakować jednej osoby w klinice.

- Nie. Bo dla nas obojga to będą nadgodziny. A jak ty to sobie wyobrażałeś? Że będę pracować razem z tobą w klinice, a do Marion zatrudni się kolejną opiekunkę? Przepraszam, to po co ja tu przyjechałam?

- Sam już nie wiem...

- Będzie dobrze. Nie bój się, nie zrobię krzywdy twoim ptakom. A ty zajmiesz się swoim orlątkiem, jak orzeł, który stracił swoją towarzyszkę. Nie zapominaj jednak, że ten konkretny orzeł, czyli ty, otoczony jest życzliwymi sobie osobami, które pomogą mu odchowić orlątko. Nie jesteś sam.

Nie jesteś sam.

Harris, leżąc w łóżku, po raz kolejny odtwarzał w pamięci fragmenty rozmowy z Ellą. Zastanawiając się przede wszystkim nad tym ostatnim stwierdzeniem. Nie jesteś sam... Dla niego to było coś nowego. Dotychczas zawsze był sam. Nie w sensie fizycznym, bo zwykle z kimś tam mieszkał. Z matką, potem z Fannie, teraz z Marion. Z osobami płci żeńskiej, które wymagały jego opieki.

Nigdy nie miał przy sobie kogoś, z kim mógłby podzielić się swoimi myślami, nadziejami, kto przejąłby część jego obowiązków. Mógł polegać tylko na sobie. Od dziewiątego roku życia, kiedy ojciec odszedł i Harris musiał zaopiekować się matką. Wtedy to błyskawicznie nauczył się samodzielności i niezależności. Nauczył się i przyzwyczał, dlatego tak niechętnie otwierał się przed innymi ludźmi. Był pewien, że wcale nie są mu potrzebni.

Był idiotą, oczywiście.

Zamknął oczy. Teraz z chęcią przywołałby obraz Fannie, Fannie sprzed siedmiu lat, kiedy została jego żoną. Jej piękne, gibkie ciało nadal wzbudzało w nim tęsknotę. Co się dziwić, w końcu był mężczyzną w sile wieku.

Westchnął, przekręcił się na bok i wepchnął sobie poduszkę pod głowę. Jednak gdy zamknął oczy, wcale nie zobaczył Fannie, tylko Ellę stojącą na ganku. Nie zauważyła go, kiedy szedł przez mrok. Przystanął i patrzył, jak Ella rozpina klamrę i na jej ramiona spływa wodospad przepięknych srebrzonych księżycem włosów.

Drobna postać, otulona w pelerynę własnych włosów, poruszanych delikatnie przez wiatr. Księżyc oświetlał jej twarz. Rozmarzoną, jakby myślami była tysiące

kilometrów stąd. Wtedy po raz pierwszy przyszła mu do głowy refleksja, że Ella Elizabeth Majors ma swoje życie, swoje wspomnienia.

Teraz przyszła do głowy jeszcze jedna refleksja.

Ta strona życia Elli Majors absolutnie nie powinna go interesować. Nie. W końcu mieszkają pod jednym dachem, ich relacje mają charakter służbowy.

Kiedy jednak zapadał w sen, myślał o Elli. W uszach dźwięczały mu jej ostatnie słowa. Nie jesteś sam...

RS

***Rybołowcy:** rybacy atakujący. Rybołowcy to wielkie czarno-białe ptaki o długich, wygiętych skrzydłach i ostro zagiętych szponach. Z opaską na oczach wyglądają bardzo efektownie, kiedy z wysuniętymi do przodu szponami fruną w dół i nurkują za swoją zdobyczą. Odżywiają się wyłącznie rybami. Żyją na wybrzeżach lub w okolicy jezior.*

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Ella spędziła ciężką noc. Miotła się na łóżku, dręczona smutnymi wspomnieniami. Spała dosłownie chwilę. Obudziła się o świcie. W całym domu panowała cisza, tylko szum wody z prysznicza informował, że Harris jest już na nogach.

Włożyła szlafrok, wsunęła stopy w klapki i poszła dołożyć drewna do pieca. Potem pomaszzerowała do kuchni zrobić kawę. Po chwili w kuchni zjawił się Harris. Świeżo ogolony, w dżinsach i niebieskiej flanelowej koszuli. Mokre włosy zaczesał do tyłu, dzięki czemu wyglądał inaczej. Po prostu seksownie, i Ella natychmiast poczuła się skrepowana swoim bardzo swobodnym strojem. Odruchowo mocniej zawiązała pasek szlafrocka, a potem, żeby koniecznie zająć czymś ręce, chwyciła za gąbkę i wytarła blat, na który spadło kilka kropelek kawy.

- Chłodny ten ranoek - powiedział Harris na powitanie.

- Tak. I mglisty. Proszę, twoja kawa.

- Dziękuję.

Wziął filiżankę i od razu wypił kilka łyków.

- Wspaniała.

- Dziękuję. Wczesnie wstałeś. Zaraz zrobię ci śniadanie.

- Nie, muszę już lecieć do kliniki. Wczoraj wieczorem był telefon z Mount Pleasant. Jakiś gość w drodze do pracy podrzucił nam rybołowca.

Szybko dopił kawę.

- Idę. Nie przyjdę na lunch, mam kupę roboty.

- Szkoda. Będzie nam ciebie brakować.

Wcale nie zamierzała użyć liczby mnogiej. Tak jakoś wyszło. Zauważyła, że Harris uśmiechnął się, jakby sprawiło mu to przyjemność.

- Aha, co do wczorajszego wieczoru... Chciałem ci podziękować za to wszystko, co mi powiedziałaś. Dla mnie było to bardzo ważne.

Spojrzenie niebieskich oczu było otwarte, szczerze, bez cienia ironii. Ella skinęła głową, uśmiechnęła się. Harris też.

Kiedy wyszedł, podeszła szybko do zlewu i przechyliwszy się ponad jego krawędzią, zdążyła jeszcze dojrzeć przez kuchenne okno, jak Harris idzie przez łąkę. Robiła to prawie każdego ranka i za każdym razem była pod wrażeniem jego zgrabnej sylwetki w dżinsach i skórzanej kurtce.

- Na co tak patrzysz?

- O, Marion! - Ella odskoczyła od okna. - Już wstałaś? Jesteś głodna?

- Znowu patrzyłaś, jak tatuś idzie, prawda? Znaczący uśmiech na twarzy pięcioletniej kobietki mówił, że jej nie da się oszukać.

Ella westchnęła. Chwyciła małą za rączkę i poprowadziła do schodów.

- Chodź, ty mały szpiegu! Zaczynamy nowy dzień!

- Dzień dobry!

Ella poderwała głowę znad patelni ze skwierczącym bekonem. W uchylonych drzwiach zobaczyła Lijaha.

- Dzień dobry! Zjawiasz się w samą porę!

- Kiedy rankiem poczuje zapach kawy, wiem, że nadszedł czas, by odnieść talerz, na którym przywędrował do mnie obiad.

Ella roześmiała się i szybko wyjęła z szafki kubek. Te obiady wędrowały do chaty już od kilku tygodni. Za pierwszym razem Lijah czuł się bardzo skrępowany, ale Ella wytłumaczyła mu, że skoro nie chce skorzystać z zaproszenia do stołu, będzie mu przynosiła obiad. Następnego ranka, kiedy Lijah zwracał talerz, trudno było nie zauważyć, że spojrzał tęsknie na dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. Ella, sama wielka amatorka kawy, natychmiast mu naląła. Lijah wypił, po czym nieśmiało poprosił o drugą. Co również stało się już rytuałem.

- Kawa dla pana! - zawołała wesoło Ella.

- Śmietanka jest na stole.

- Bardzo pani dziękuję!

Zabrała się za wycieranie blatu, zerkając spod oka, jak Lijah nachyla się nad stołem, wlewa sobie porcję śmietanki i dodaje dwie kopiaste łyżeczki cukru. Potem miesza z precyzją godną chirurga.

- Popatrz - powiedział, przerywając mieszanie.

- Widzisz te bąbelki w kawie? Wiesz, co to znaczy? Duże pieniądze.

- Naprawdę? Harris byłby z pewnością zachwycony. Mógłby w końcu zbudować tę swoją wymarzoną wolierę.

- Jasne. Pomógłbym mu. Moja Santee powinna trenować.

Podniósł kubek do ust. Najpierw powąchał kawę, potem zamknął oczy i wypił głośno pierwszy łyk. Przełknął. Powoli opuścił kubek, wzdychając niemal z czcią.

- Ach...

Czyli kolejny rytuał.

- Smakuje dziś kawka? - spytała Ella z uśmiechem.

- Od śmierci mojej Marthy nie piłem tak dobrej.

Po raz pierwszy Lijah wspomniął o swoim prywatnym życiu. Ella czasami zastanawiała się, czy Lijah był kiedyś żonaty, czy ma dzieci. Wiedziała już, że należy do miejscowej społeczności Gullah, gdzie darzono go wielkim szacunkiem. Clarice powiedziała, że Lijah to chodząca encyklopedia na temat tej kultury. Był człowiekiem wolnym duchem. Nie przywiązany ani do majątku, ani do innych ludzi. Mógł po prostu iść za orłem.

- Przepraszam, że o to pytam, ale powiedz... Martha była twoją żoną?

- Tak.

- Kiedy umarła?

- Dawno temu. Przestałem liczyć lata.

- Wciąż za nią tęsknisz?

- Moje serce zawsze będzie płakało. Chociaż ona tak naprawdę nie odeszła.

Nadal jest ze mną.

- Jak to?

- Przecież ją słyszę...

Lijah szeptał, jakby mówił do siebie.

- Kiedy w ciepłą, wilgotną noc idę przez mokradła, patrzę na mgłę, która przepływa obok mnie... Przecież wiem, że to moja Martha. Dusza nie odchodzi tak prędko jak ciało. Jeszcze jakiś czas gdzieś tu jest. Trzeba tylko umieć z nią porozmawiać. To znaczy - kochać. Otworzyć swoje serce. Dusza sama znajdzie do niego drogę. I trzeba śpiewać. Kiedy śpiewasz, otwiera się twoja dusza...

- Słyszałam, jak śpiewałeś w nocy. Kiedy sowy pohukiwały. Czy wtedy też porozumiewałeś się z Martha?

- Nie. Kiedy sowy pohukują po północy, to zły znak. Śpiew człowieka ucisza je i odpędza złe moce.

- Naprawdę?

- Oczywiście! - W oczach Lijaha zapaliły się wesołe iskierki. - Przecież oddano mi do dyspozycji wygodną chatę, a poza tym co rano piję wspaniałą kawę. Czyli los się do mnie uśmiechnął.

Ella roześmiała się. Teraz rozumiała, dlaczego miejscowi ludzie tak chętnie zapraszają Lijaha na niedzielny obiad, żeby wysłuchać jego opowieści i nabrać optymizmu.

- Zapraszam na śniadanie. Co prawda, nic specjalnego, bekon i trochę kaszy, ale...

- Kasza, powiadasz? - spytał Lijah czujnie.

- Tak. Jeszcze jej nie przypaliłam.

- A.... W takim razie bardzo chętnie.

- Zapraszam do stołu!

Lijah usiadł, Ella postawiła przed nim talerz z bekonem i kaszą. Dziś była bardzo dumna ze swoich wyczynów kulinarnych.

Teraz, wstrzymując oddech, czekała na wyrok.

Lijah przełknął pierwszy kęs i pokiwał głową.

- Naprawdę dobre!

Szybko zmiotł wszystko z talerza. Otarł usta serwetką i poderwał się od stołu.



- Dziękuję. Pójdę już do kliniki. Trzeba pomóc Harrisowi. Jest mnóstwo roboty, a dziś przyjdzie tylko jedna wolontariuszka, Clarice. Brady przyjeżdża dopiero o trzeciej. Panna Sherry musiała wyjechać, wiesz przecież.

- Wiem. Mam zamiar zastąpić ją w klinice. Przynajmniej spróbuję. No i właśnie... - Ella, zmieszana, nerwowo mięła ściereczkę. - Mam nadzieję, że nikomu nie powiesz, ale ja trochę boję się tych ptaków. Z natury jestem raczej odważna, ale one naprawdę wyglądają groźnie. Wystarczy, że przejdę koło wolier, a już podnoszą rwestes. Krzyczą, biją skrzydłami. Co mam robić?

- Wyczuwają twój strach i też się ciebie boją. Musisz wysłać im inne sygnały.

- Czyli jakie?

- Ptaki drapieżne są dzikie, nigdy nie wolno o tym zapominać. Musisz być ostrożna i pełna szacunku. Nie wolno podchodzić do nich krokiem marszowym, wykonywać gwałtownych ruchów, nie wolno stawać nad nimi. Jeśli to zrobisz, zdenerwujesz je. Rozłożą skrzydła i nastroszą pióra, żeby wydawać się jeszcze większe, jeszcze bardziej groźne. Albo na odwrót, przyplaszczą się do ziemi. Jeśli zauważysz którąkolwiek z tych reakcji, zwolnij krok, odsuń się. Pozwól im się uspokoić. Poza tym pamiętaj, nie wolno na nie patrzeć. Kiedy podchodzisz, patrzysz w bok. Każdego kusi, żeby przyjrzeć im się z bliska, ale to je naprawdę złości. A na koniec powiem ci sprawę najważniejszą. Porozumiewanie się z ptakami niewiele się różni od porozumiewania się z innymi stworzeniami. Przede wszystkim otwórz serce, pozwól, żeby jego ciepło promieniowało na zewnątrz...

Poszedł do drzwi. W progu przystanął i jeszcze raz uśmiechnął się do Elli.

- Ty masz wielkie serce. Ja to widzę. Dasz sobie ze wszystkim znakomicie radę.

Brady po raz kolejny wbił kilof w ziemię. Tego popołudnia zrobił to już chyba ze sto razy, ale nadal zalewała go wściekłość. Kiedy dziś rano przyjechał do ośrodka i Harris wydał mu polecenia, nie wierzył własnym uszom. Harris powiedział, że ma kopać ten cholerny rów koło bramy.

Spojrzał na drugą stronę drogi, na sosnę. Na jednej z niższych gałęzi jak zwykle siedział biały kogut.

- Wiesz, co ci powiem, bracie? Ten facet chyba nie wie, że niewolnictwo dawno zostało zniesione.

Kogut nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w niego pustym wzrokiem.

Brady podniósł kilof i rąbnął nim o ziemię.

- Kurde! Co ten Harris właściwie sobie wyobraża? Zachowuje się jak król!

Tylko nadyma się i wydaje rozkazy. - Spojrzał na koguta, który nadal siedział nieruchomo. - Ty na pewno byś nie latał na niczyje skinienie, co, stary? - Zaśmiał się, bo wydało mu się to cholernie dowcipne. - Pewnie, że nie - mówił dalej, mocniej chwytając za kilof.

- Ani na moje skinienie, ani na skinienie Harrisa Hendersona. Ale ja i tak mam dość takiego latania w domu, rozumiesz? Mój stary cholernie się rządzi.

Ojciec był wściekły. Pał sześc, że Brady musi pracować społecznie, a pianino żony trzeba było sprzedać, by zapłacić grzywnę. Roya Simmonsa najbardziej bolało, że stracił pozwolenie na polowanie. Polowanie było jego jedyną życiową pasją, poza tym pozbawiono go możliwości zaopatrywania domu. Dlatego Brady w sumie nie winił ojca za to, że topi swój gniew w kieliszku. Ojciec nawet nie próbował szukać jakiejś pracy. Pił i był coraz bardziej wściekły. Więc pił jeszcze więcej i wyładowywał się na Bradym. Na kimś musiał się w końcu wyżyć, a chciał oszczędzić młodsze dzieciaki i matkę, która miała już tyle siniaków, że nie dawała rady ich ukryć.

Brady znów podniósł kilof.

- Ale pewnego dnia...

Pewnego dnia Brady'ego po prostu już tu nie będzie. Przy pierwszej okazji pakuje manatki i pryska. Nigdy już tu nie wróci. Będzie wędrować po całym kraju, bez troski i bez celu, jak Lijah.

A to ptaszysko zaczynało działać mu na nerwy.

- No i co się tak gapisz? - burknął do koguta. - Uważasz, że jestem głupi? Bo poświęciłem się dla matki? A moje rodzeństwo też mogłoby ruszyć tyłki? Poczekaj, stary, jeszcze odbiję się od dna...

Znów walnął kilofem, po czym postanowił zrobić sobie małą przerwę. Ciężko dysząc, ściągnął kurtkę. Było zimno, a jemu zrobiło się gorąco jak w największy upał.

- Cześć!

Od strony drogi nadchodziła Clarice. Szła tym swoim lekkim krokiem, szczupłe biodra rozkołysane, raz w lewo, raz w prawo. Lśniące czarne włosy splecione w

niezliczoną ilość cieniutkich warkoczyków, ściągniętych w tył i zwiniętych w węzełek nad karkiem.

Brady wyprostował się odruchowo i przyglądał włosy. Trudno mu było zdefiniować, jakie uczucia wzbudza w nim ta dziewczyna. Na pewno uważał ją za bardzo ładną, mimo że odbiegała od jego standardów. Brady'emu ogólnie rzecz biorąc podobały się blondynki o dużych niebieskich oczach, bardzo przychylnie nastawione do chłopaków. Jak Jenny. A Clarice... Przede wszystkim chyba intrygowało go jej zachowanie. Była bardzo bystra i pewna siebie. Na początku tępiła Brady'ego, potem odpuściła. Zaczęła mówić mu „Cześć!”, rozmawiać z nim.

- Przyłapałam cię, leniu - powiedziała wesoło. - Jesteś jak ci faceci, co budują drogę. Stoją sobie, oparci o narzędzia i wygrzewają się na słończku.

- Należy mi się chwila wytchnienia. Spróbuj sama pomachać tym kilofem.

- Dzięki. Wolę nie... Hej! A dlaczego brama jest otwarta? Powinna być zawsze zamknięta.

- A o to spytaj szefa. Powiedział, że kiedy kopię ten rów, brama ma być otwarta. A co ty tu robisz?

- Przyniosłam trochę ziarna dla koguta.

Podeszła do sosny, na której siedział kogut i rzuciła na ziemię kilka garści ziarna.

- Po co to robisz? - spytał Brady.

- Jak to? To chyba oczywiste.

- Jak się tak o niego martwicie, to dlaczego nie zrobicie mu jakiegoś kurnika, tylko trzymacie go tutaj, przy bramie?

- On wcale nie jest nasz i nie mamy prawa zamykać go w kurniku. Przyszedł sam, z własnej woli. Siedzi tu sobie i patrzy, kto przyjeżdża i kto odjeżdża. Jak mu się odmieni, pójdzie sobie. - Rzuciła jeszcze jedną garść i zamknęła torbę.

- A my po prostu go dokarmiamy.

- Ale to dziwne, że tu jest, nie sądzisz? Co go tu trzyma?

- Nie wiem. Lijah mówi, że zwierzęta są czymś w rodzaju posłańców ze świata duchowego. Dla człowieka są duchami opiekuńczymi, rozumiesz? Jego totemami.

- Rozumiem - mruknął Brady, robiąc znaczącą minę.

- Chyba tracę czas - oświadczyła szorstko Clarice. - Przecież do ciebie nic nie dociera.

- Jasne! Uważasz mnie za durnia, prawda?

- Ty to powiedziałeś, nie ja. - Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

- Poczekaj! - zawołał. Oczywiście, wcale nie był zainteresowany totemami.

Chciał tylko pogadać dłużej z Clarice.

- O co chodzi? - rzuciła przez ramię.

- Opowiedz coś jeszcze o tych totemach. Najpierw wlepiała w niego ten swój sarni wzrok.

Prawdopodobnie zastanawiała się, czy rzeczywiście warto tracić na niego czas. Jednak miała ochotę na wykład, to było jasne.

- Oczywiście, nikt niczego nie wie na sto procent - powiedziała. - Ale musisz sam przyznać, że to zastanawiające, kiedy przychodzi do ciebie kogut, siada na drzewie i siedzi tak przez kilka tygodni. Harris uważa, że to jakiś znak. Słyszałam, jak mówił o tym Lijahowi. Znasz Biblię? Jeśli tak, to powinieneś wiedzieć, że zanim kogut zapał po raz trzeci, święty Piotr trzy razy wyparł się Jezusa.

- I co to znaczy? Ktoś chce zaszkodzić ośrodkowi czy coś w tym rodzaju?

- Lijah mówi, że koguty są bardzo czujne. Zawsze ostrzegają innych. A Harris uważa, że kogut świadomie wybrał sobie nasz ośrodek. Totemy tak robią. One wybierają.

- Rozumiem... - mruknął Brady, bezwiednie zdrapując z twarzy jakiś brud. - Powiedz mi, ty też chodzisz do Szkoły im. Lincoln?

Clarice poderwała głowę, zdezorientowana nagłą zmianą tematu.

- Tak. A bo co?

- Nic... Po prostu ja też tam chodzę.

- Wiem. Widziałam cię.

- Naprawdę? - Był zaskoczony. - Lincoln to wielka szkoła. W której jesteś klasie?

- W ostatniej.

- Szykujesz się do college'u?

- Tak. Przyjęli mnie na Stanford.

- Stanford? W Kalifornii? Tak daleko od domu?

- Czemu nie? Przecież to świetny college. Wybrałam kurs przygotowujący na studia medyczne. Na szczęście dostałam stypendium.

Brady poczuł ukłucie zazdrości. Stypendium? Oczywiście. Czarnoskóra. Wszyscy wiedzieli, że oni teraz zgarniają całą kasę.

- Czyli niezły z ciebie kujon?

- Nie kujon, po prostu dużo się uczę, dlatego mam dobre stopnie. Myślę, że to wyniki testu SAT\* zdecydowały o przyznaniu mi stypendium.

\* SAT (Scholastic Achievements Test) - sprawdzian osiągnięć szkolnych - test z matematyki i angielskiego, wymagany przez większość uczelni amerykańskich, (przypis tłum.)

Brady kopnął parę razy ziemię. Czuł się kompletnie załatwiony. Był pewien, że Clarice tylko czeka, żeby spytał ją o wyniki testu. On jednak nie miał zamiaru dawać jej tej satysfakcji.

- Miałam świetne wyniki z matematyki - powiedziała. - Ale z angielskiego tylko 75 punktów.

Tylko?!

- A jak z tobą, Brady?

- Ja? Nie przystępowałam jeszcze do testu. Zresztą, nie wiem, czy to ma sens.

Nie idę do college'u.

- Dlaczego nie?

- Nie stać mnie.

- Zawsze możesz ubiegać się o stypendium albo o pomoc finansową. Nie wolno ci rezygnować z dalszej nauki tylko z powodu pieniędzy.

- No tak... - Brady wzruszył ramionami. - Ale ty nie widziałaś moich stopni. Zresztą nieważne, mnie po prostu college zwisa. Nie mogę się doczekać, kiedy przestanę chodzić do szkoły.

- Aha. A ja myślę, że nie powinieneś się poddawać - powiedziała Clarice zdecydowanym tonem. Brady znów wbił obcas w ziemię. Gdyby ona wiedziała, jakie on ma życie, darowałyby sobie te gadki.

- Lepiej wezmę się już do roboty - powiedział, chwytając za kilof.

- To ja lecę. Mam też coś do zrobienia. Uśmiechnęła się na pożegnanie. Po prostu miło, w jej oczach nie było cienia złości. Odeszła, a on pomyślał, że chyba tak to już jest. Niektórzy ludzie to urodzeni zwycięzcy. Inni, choćby nie wiadomo jak się starali, i tak przegrywają.

Zanim podniósł kilof, spojrzął jeszcze raz na koguta. Czarne oczka skierowane były prosto na niego.

- Dalej się gapisz, co? Myślisz, że jesteś moim totemem. Ech, bracie! Zapomnij o tym!

Nagle kogut potrząsnął piórami, rozpostarł skrzydła i sfrunął na ziemię. Ruszył wprost na Brady'ego. Zaskoczony Brady cofnął się gwałtownie.

- W porządku, w porządku! - zawołał, podnosząc ręce, żeby odzyskać równowagę. - Nie musisz się od razu wkurzać!

Ptak zatrzymał się kilka kroków przed nim.

- Wyluzuj, chłopie - rzucił Brady pojednawczym tonem. - Masz tam swoje ziarno, podziób sobie, a ja biore się do roboty, zgoda?

Podniósł kilof i zaczął kopać. Kogut postął jeszcze przez chwilę, potem wrócił pod drzewo i zaczął dziobać ziarno.

- Głupia kura... - mruknął Brady. Ale prawdę mówiąc, zaczynał lubić tego koguta. W końcu mieli coś wspólnego. Obaj wiedzieli, jak to jest być outsiderem.

***Kanie:** peine wdzięku akrobatki Smukłe, średniej wielkości ptaki o doskonałych proporcjach. Mają długie skrzydła i ogony oraz wyjątkowo wdzięczny lot. Manewry powietrzne kani, kiedy latając nad otwartą przestrzenią, łapie owady, to prawdziwy popis akrobacji. Kanie mają charakterystyczne upierzenie, sylwetkę i styl latania, zwłaszcza kania amerykańska, mimo to z dużej odległości trudno odróżnić je od innych ptaków. Do kani zaliczamy amerykańskiego jaskółaka, cykodojada i kanię czarną...*

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

W środę wczesnym rankiem Ella razem z Harrisem pomaszerowała do kliniki. Po raz pierwszy jako członek personelu medycznego. Przedtem przeszła krótkie szkolenie. Dwóch ochotników, Lijah i Maggie, pilnowało na zmianę Marion. Harris, kiedy tylko miał wolną chwilę, bawił się w nauczyciela, a Ella zakuwała jak studentka z college'u. Uczyla się anatomii ptaków, terminologii fachowej i skrótów, poza tym zdobywała wiedzę na temat tego, czego potrzebuje okaleczony ptak, a czego ptak rezydent.

Mimo solidnego przygotowania, kiedy wkraczała do kliniki, czuła się zielona jak nowy wolontariusz. Zaraz za progiem poczuła dziwny zapach. Ostry i bardzo nieprzyjemny.

- Co to za zapach?

- Jaki zapach?

- Po prostu zapach. Nie czujesz?

- Ach, ten. Obdzieramy ze skóry i patroszemy myszy dla ptaków.

Prawdopodobnie to one tak... pachną.

- Prawdopodobnie.

Uśmiechnął się i zamknął drzwi, odgradzając ich od deszczu, wiatru i niestety ostatniego łyka świeżego powietrza.

- Przyzwyczaisz się. Zdenerwowana?

- Nie. Przerazona.

- Czym?

- Och, wszystkim! Tym, że znowu będę pielęgniarką. Mało tego. Pielęgniarką ptaków drapieżnych. Przeczytałam o nich wszystko, co było w tych książkach, które mi dałeś. Poza tym Maggie przez ostatnich kilka dni poświęciła mi naprawdę dużo czasu. Dzięki temu potrafię teraz odróżnić myszaka od cykodojada. A to już sukces. Czy wiesz, że do tej pory wszystkie ptaki, większe od wróbla, były dla mnie jastrzębiami?

- Nie przejmuj się. Większość ludzi tak myśli.

- Ale co innego patrzeć na ptaka wysoko na niebie, a co innego wejść do woliery i złapać go za nogi. Boję się!

- Dasz sobie radę. Ktoś, kto potrafi poskromić Marion, kiedy nadchodzi pora zastrzyku, nie powinien mieć problemu z dziobami i szponami. Powoli przyzwyczaisz się do wszystkiego. Teraz zdejmij kurtkę i chodź. Oprowadzę cię po klinice. Personel, jak już wiesz, mamy nieliczny, dlatego zawsze panuje tu lekki bałagan.

Harris pokazał Elli w sumie pięć pomieszczeń. Najważniejszy był pokój zabiegowy, do którego przylegał inny, mniejszy, pełniący funkcję oddziału intensywnej terapii. Po drugiej stronie wąskiego korytarza był drugi pokój zabiegowy, mniejszy, tam też w przeszklonej szafce przechowywano środki usypiające. W jednym z pokoi mieściło się biuro. Tu pod ścianami stały regały z książkami, oprócz książek można było zawsze znaleźć sobie cukierka albo precla do przegryzienia. Pracownia rentgenologiczna była wielkości szafy, a na końcu korytarza znajdowała się kuchnia, gdzie przygotowywano posiłki dla ptaków oraz minilaboratorium. Okien było dużo i duże, ściany białe, podłoga z drewna w kolorze miodu. W sumie Ella uznała swoje nowe miejsce pracy za dość sympatyczne.

Miejsce, w którym ona, Ella Majors ma wielkie pole do popisu. Oczywiście. Jak to Harris powiedział? Lekki bałagan?! Oni chyba w ogóle nie mają pojęcia, co to jest organizacja pracy i walka z zakażeniem szpitalnym. Najlepszy dowód to ta



kuchnia, gdzie przygotowuje się posiłki dla ptaków. Blaty, zlewy i całe najbliższe otoczenie ma kontakt z pożywieniem, krwią, żywą tkanką i odchodami. Instrumenty do przygotowywania posiłków moczą w zlewie, w wodzie z mydłem, razem z instrumentami do celów medycznych. Podczas przygotowywania posiłków karty pacjentów kładą na blacie, potem te karty przenoszą korytarzem do strefy zabiegowej. Jednym słowem, miejsce gdzie ratowano ptakom życie, duma Harrisa, dla pielęgniarki Majors było przede wszystkim niebezpiecznym siedliskiem bakterii.

- Tak to wszystko mniej więcej wygląda - powiedział Harris, kiedy zakończyli obchód. - Wiem, że jak na jeden raz to bardzo dużo, ale gdy zaczniesz pracować, bardzo szybko się ze wszystkim oswoisz. Masz jakieś pytania?

- O, tak! - odparła Ella i zaczęła podwijać rękawy. - Gdzie jest chlorek, mydło, papierowe ręczniki, czysta gąbka i szczotka?

Minęło kilka dni. Zapadał zmierzch. Ella, oparta o blat w kuchni w klinice, pomyślała, że czas najwyższy wracać do domu. Zwolnić Harrisa z dyżuru przy dziecku, a samej zająć się przygotowaniem obiadu. Ta myśl leniwie krążyła jej po głowie, spojrzenie natomiast, pełne satysfakcji, krążyło po otoczeniu. Lśniącym i pachnącym. Wszystko na swoim miejscu, co do ostatniego wacika.

Drzwi stuknęły, przerywając chwilę zadumy. Do kliniki wszedł Harris, razem z porywem wilgotnego wiatru.

- Jeszcze tu jesteś? Niepokoiliśmy się o ciebie.

- Już tak późno? Nie mam pojęcia, która godzina. Zdjęłam zegarek, żeby nie zamoczyć.

- Tak. Już późno.

Skórzana kurtka Harrisa dosłownie ociekała wodą. Pachniał deszczem. Kiedy ściągnął kaptur, kilka kropeł zawisło na jego długich rękach.

A w oczach Harrisa był po prostu zachwyt.

- Wspaniała robota. Kiedy zabierałaś się za te porządki, przyznam, że trochę się zaniepokoiłem. Teraz widzę, że niepotrzebnie. Batalia z zarazkami wygrana, czy tak?

Ella zarumieniła się, zadowolona z pochwały.

- Najważniejsze, że ptaki znajdują się w bezpieczniejszych warunkach, prawda? Bo to jest przecież priorytetem.

- Jasne. A jeśli już o ptakach mowa... przyszedłem zbadać sowę. Może chcesz popróbować swoich sił i na tym polu?

- Dziś? Teraz?

- Tak. Nie może być lepszej pory. Jest cisza i spokój.

Serce Elli zdecydowanie przyspieszyło.

- Ale ja... ja jestem trochę zmęczona...

- Prędzej czy później i tak będziesz musiała się tego nauczyć. Więc dlaczego nie teraz?

I tak, przemawiając jej do rozsądku, zaprowadził Ellę do pokoju intensywnej opieki. Podszedł do półki i ściągnął ręcznik z jednej ze skrzynek.

- Sowa numer 2036.

Spoza metalowych prętów spojrzała na nią para czarnych uduchowionych oczu. Lewe skrzydło było zabandażowane, tak samo jedna z nóg. Ale ptak i tak stał prosto, cicho, jak ranny żołnierz w brunatno-żółto-popielatym mundurze.

- Śliczna.

- Tak. Mam prawdziwą słabość do puszczyków kreskowanych. Południowe gatunki są łagodniejsze niż ich kuzyni z północy. Co nie znaczy, że nie należy być ostrożnym. Wszystkie sowy potrafią dać porządnie w kość, zwłaszcza puszczyk wirginijski. A nasz pacjent to stary, zahartowany twardym życiem ptak. Nałóż to.

Podał jej parę grubych czarnych rękawic z niewyprawionej skóry, długich aż do łokcia.

- Pamiętaj, zawsze nakładaj rękawice ochronne. Nogi i szpony ptaka drapieżnego to jego najlepsza broń.

Ella nerwowo oblizała wargi.

- Nie wiem, czy dam radę. A jeśli zrobię jej krzywdę?

- To się zdarza, nie przejmuj się. Kiedyś musisz zacząć. Ten puszczyk jest w kiepskiej kondycji, nie będzie długo się opierać. Zaplątał się w drut kolczasty. Znalazła go jakaś pani, na szczęście na tyle rozsądna, że nie próbowała sama go wyplątać. Tylko - dosłownie - wycięła puszczyka razem z tym drutem i przywiozła do nas. Biedak ma poszarpane skrzydła i głęboką ranę na nodze. Zobaczymy, co da się

zrobić. No, Ello, zaczynamy. Staął za nią, bardzo blisko i otoczył ją delikatnie ramionami.

- Odpręż się - powiedział. - Drzysz jak liść na wietrze. Nie ma się czego bać.

Drżała, owszem. Z dwóch powodów. Bo nigdy w życiu nie dotykała sowy. Bo dotykał jej Harris. Nie wiedziała, od jak dawna nie dotykał jej żaden mężczyzna, nawet tak niewinnie, jak on teraz. Jej skóra była jak wyschnięta ziemia, na którą spadły pierwsze krople deszczu. Chłoneła te krople, budziła się, ożywała.

- Podejź bliżej, żeby zablokować mu drogę ucieczki — powiedział, kierując jej rękoma. - Ręce trzymaj tak... Zawsze w pogotowiu. Tak jest dobrze. Podsuwasz ręce powoli, żeby nie wystraszyć ptaka. Lepiej żeby nie łopotał skrzydłami, może uszkodzić sobie pióra. Najpierw chwytasz go za nogi. Kiedy to zrobisz, drugą ręką zbierasz skrzydła i ostrożnie przyciskasz do korpusu.

Cofnął ręce, ale nadal stał tuż obok.

- Gotowa? Próbujemy?

Ella skinęła głową. Zrobiła głęboki wdech i spojrzała w czarne oczy sowy.

Skoncentrować się. To najważniejsze. Pamiętała do dziś, co się z nią działo, kiedy po raz pierwszy miała zrobić dziecku zastrzyk. Ręce jej drżały, tak jak teraz. Była pewna, że zrobi dziecku krzywdę.

Naturalnie poszło gładko, chociaż potem drżała chyba jeszcze bardziej niż tamto dziecko.

Teraz też się uda. Trzeba tylko po prostu uwierzyć w siebie.

Powoli otworzyła drzwiczki. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały, ale puszczyk ani drgnął. Wpatrywał się tylko czujnie szeroko otwartymi oczami. Ella jednak, kiedy wsuwała ręce do skrzynki, wyczuwała, jak wszystkie mięśnie stworzenia naprężają się ze zdenerwowania. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała sobie w duchu, konsekwentnie zbliżając ręce do ptaka.

Nagle puszczyk szarpnął się w tył. Zdrowe skrzydło załopotało, z pasją bijąc o plastikową ścianę. Nogi sowy wysunęły się w przód, dziób zaczął z pasją dziobać rękawicę.

Serce Elli biło jak oszalałe, ale palce mocno zacisnęły się na nogach ptaka. Druga ręka przytrzymała skrzydła.

- Świetnie! Masz go - usłyszała z tyłu głos Harrisa. - Teraz wyjmuj. Powolutku. Trzymaj mocno nogi. Świetnie. Moje gratulacje.

Ella, zarumieniona z zadowolenia, wydała z siebie głośne westchnienie ulgi.

- Nie wierzę - powiedziała zadyszczanym z wysiłku i emocji głosem. - Trzymam prawdziwą sowę! Ile to razy w Vermoncie chodziłam po lesie godzinami, żeby ją zobaczyć! Czasami mignęła gdzieś między gałęziami, ale nigdy jeszcze nie widziałam jej z bliska. Po raz pierwszy dostałam tego zaszczytu. Szczerze mówiąc, myślałam, że to wyjmowanie ze skrzynki jest o wiele trudniejsze.

Puszczyk, jakby urażony jej lekceważącym stwierdzeniem, odwrócił błyskawicznie głowę i dziubnął Ellę w pierś. Ella krzyknęła cicho, ale nie puściła ptaka. Odruchowo tylko wyciągnęła rękę, żeby zakrzywiony dziób znalazł się od niej jak najdalej.

Na szczęście, na T-shircie nie było śladów krwi.

- Bardzo boli? - spytał Harris, narzucając na głowę puszczyka ręcznik.

- A jak myślisz?

- Jak cholera. Wszyscy przez to przechodzimy. To taki chrzest bojowy. Witaj w klubie!

Minęło kilka tygodni. Harris siedział na podłodze i grał z Marion w grę planszową. Była dopiero dziesiąta rano, a oni zdążyli już kilkanaście razy przebrać Wytworną Lulu, pobawić się w domku dla lalek i zagrać w karty. Teraz grali w grę planszową, po raz trzeci w tę samą i Harris czuł, że jest bliski obłędu.

Marion natomiast była w cudownym nastroju. Buzia jej się nie zamykała, Harris tylko pomrukiwał „aha” albo „co ty nie powiesz”. Myślami był daleko, to znaczy, nie tak znowu daleko, bo w klinice. Gdzie była teraz Ella. Poprzedniego dnia przywieziono dwie sowy, puszczyka kreskowanego i sowę uszatą. Oba ptaki z urazami głowy. Lewe oko sowy było w bardzo złym stanie, wzroku w tym oku najprawdopodobniej nie da się już uratować. Poza tym jakiś inny samarytanin przywiózł rybołowa, aż z Beaufort. Rybołowy niedawno przyleciały do Lowcountry i zaczynały zakładać gniazda, a tego biedaka już spotkało takie nieszczęście. Klatka piersiowa była nafaszerowana haczykami wędkarskimi. Był w bardzo złym stanie. Czy Ella da sobie radę? Gdyby Harris mógł choć na kilka minut wymknąć się do kliniki...

Niestety. Już kilkakrotnie miał z Ellą na ten temat poważną rozmowę. Na zakończenie każdej z nich dowiadywał się po raz kolejny, że kiedy Ella jest w klinice, jego obowiązki służbowe polegają wyłącznie na zajmowaniu się dzieckiem.

Ella w swojej nowej pracy czuła się jak ryba w wodzie. Co prawda podczas wyjmowania ptaka ze skrzyni nie czuła się jeszcze pewnie, dlatego zawsze ktoś jej przy tym asystował. Ale kiedy ptak znalazł się już na stole, Ella sprawnie udzielała mu pomocy medycznej.

Poza tym z kliniką zrobiła dokładnie to samo, co z jego domem. Najpierw wyróciła do góry nogami, po czym doprowadziła do stanu idealnego porządku. Harris na początku był trochę rozczarowany, że Ella po wkroczeniu do kliniki zobaczyła przede wszystkim brud. Przyzwyczyił się, że ludzie, którzy tu pracują, są po prostu pasjonatami.

Ella traktowała ptaki dość powściągliwie, co innego wzbudzało w niej wielkie emocje. Walka z zakażeniem szpitalnym, dezynfekcja, organizacja pracy. Jednym ze środków do celu były napisy, które pojawiły się w różnych miejscach. Myj ręce! Pożywienie trzymaj z daleka od stołu operacyjnego! Instrumenty medyczne i przyrządy do przygotowywania posiłku dla ptaków przechowujemy osobno!

Wolontariusze podśmiewali się po cichu z tych napisów, jednocześnie jednak wyczuwało się, że Ella swoimi posunięciami budzi szacunek.

A teraz... teraz po prostu jej zazdrościł. Ona była w klinice, a on siedział na podłodze, rzucał kostką i przesuwiał po planszy niebieski pionek.

- Tatusiu! Twoja kolej!

- Och, rzeczywiście. Przepraszam. Już rzucam. Rzucił kostką. Sześć. Spojrzał na planszę pustym wzrokiem.

- A gdzież to jest mój pionek?

Marion naburmuszyła się i odsunęła planszę.

- Nie chce mi się już grać.

- Wcale nie musimy, skarbie. Co chcesz teraz robić?

- Oglądać telewizję.

- Nic z tego. Może wybierzesz jakąś inną grę?

Dziewczynka wzruszyła ramionami i zaczęła bardzo intensywnie wpatrywać się w podłogę.

- Marion, co się dzieje? Źle się czujesz? Może powinniśmy zrobić test?

- Nie! - krzyknęła ze złością. - Ty nie będziesz mi robił testu!

Harris czuł, jak wszystko w nim zamiera. Zanosił się na napad złości, co nie zdarzyło się już od wielu tygodni.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Chodź. Zrobimy szybko test.

- Nie!

Kopnęła grę. Plansza, pionki, wszystko poleciało na podłogę.

Był przekonany, że poziom cukru we krwi opada.

- Marion! Nie ruszaj się stąd!

Pognał do łazienki. Drżącymi rękami pozbierał z półki wszystko, co potrzebne było do testu, i biegiem wrócił do pokoju.

A tam... pusto.

- Marion!

Sprawdził w kuchni i w łazience, tak dla porządku, bo czuł, że Marion wybiegła na dwór. Wpadł przez drzwi na tyłach domu.

- Marion!

Obiegł szybko dom, potem pognał przez trawnik do kliniki. Wpadł tam jak wichur, łamiąc też zasadę, że w klinice nie wolno podnosić głosu.

- Czy Marion jest tutaj?

Ella wybiegła z pokoju zabiegowego, ubrana w ochronny fartuch radiologa.

- Co? Co się stało? Nie ma jej?

- Wybiegła z domu!

- Kiedy?

- Dosłownie przed chwilą! Ella odetchnęła.

- Nie mogła pobiec daleko. Odniosę sowę do skrzynki i pomogę ci szukać. Na pewno jest gdzieś w pobliżu.

Harris odwrócił się na pięcie i wybiegł na dwór, do wolierek rehabilitacyjnych. Został tam tylko Clarice i Brady'ego, zajętych szorowaniem woliery.

Z kliniki wybiegła Ella..

- Gdzie już szukałeś?

- Przeszukałem dom, klinikę i woliery rehabilitacyjne.

- A zaglądałeś do ptaków rezydentów? Marion lubi wrony.

- Fakt. Że też o tym nie pomyślałem! Pognali do ptaszarni. Kiedy obiegli kępę zarośli,

Harris poczuł, że kamień spada mu z serca. Dostrzegł w woliery dla wron małą figurkę, a obok wysoką i szczupłą postać.

- Chwała Bogu! - wyrzuciła z siebie zadyszczonym głosem Ella.

Marion wyglądała absolutnie normalnie. Pochylona do przodu, przyglądała się dwóm wronom, słuchając jednocześnie, co mówi Lijah. Lijah mówił i uśmiechał się, widać było, że mała przerwa w pracy sprawia mu wielką przyjemność.

- Wszystko w porządku - powiedziała Ella. - Jest zachwycona rozmową z Lijahem.

- No tak... Szkoda, że w moim towarzystwie ma całkiem inny nastrój.

Po twarzy Elli przemknął uśmiech.

- A co się właściwie stało?

- Grailiśmy w grę. W pewnej chwili Marion kopnęła planszę i powiedziała, że nie chce już grać. Pomyślałem, że to reakcja na spadek insuliny. Poszedłem po glukometr, kiedy wróciłem, jej już nie było. Uciekła.

- Powiedziałeś jej, że będziesz robić test?

- Tak.

- Rozumiem. Wiesz co? W takim razie przejdźmy się trochę.

Nie protestował i oboje ruszyli wolnym krokiem po prostu przed siebie. Droga wysypaną żwirem. Po obu stronach drogi wiśnie i magnolie pyszniły się wiosennymi kwiatami. Mokradła zieleniły się, ptaki śpiewające uwijały się wśród drzew. Wiosna - choć jeszcze nieoficjalnie - zawitała już do Lowcountry. Ale Harris, zwykle pogodny i wpatrzony w niebo, miał wzrok wbity w ziemię.

- Nie potrafię zajmować się Marion - stwierdził po dłuższej chwili.

- Robisz to dopiero od kilku tygodni. Daj sobie więcej czasu.

- Marion nie lubi być ze mną. Dziś graliśmy w tę grę, niby wszystko było dobrze, a potem ona nagle kopie planszę i mówi, że już jej się znudziło.

- A ty lubisz te gry?

- Ja?! Chyba nie spodziewasz się, że facet będzie przepadał za jakimiś głupimi grami. O lalkach nie wspominając!

- No to już wiemy, na czym polega problem. Grałeś, bo chciałeś zrobić Marion przyjemność. Ona prawdopodobnie też nie miała na to ochoty, ale zmusiła się, żeby zrobić przyjemność tobie. W rezultacie oboje mieliście dość. A wspólne chwile powinny być przyjemnością dla obu stron, prawda? Dlaczego nie zabierzesz jej na spacer? Przecież uwielbiasz być na dworze, pomyśl też o tym, ile będziesz mógł jej przy okazji przekazać. Ty, który tak doskonale znasz przyrodę. Nie zrażaj się jednym niepowodzeniem. Warto zapomnieć o pracy, o obowiązkach i po prostu pobyć z dzieckiem. Nie tylko własnym...

Ella zamilkła na moment. Wyraźnie posmutniała.

- Tak. Nie tylko własnym. Zawsze powtarzałam moim koleżankom, że w relacjach z pacjentami trzeba narzucić sobie bezpieczny dystans. Zamiast rozmawiać z nimi, lepiej zająć się pracą, której w szpitalu nigdy nie brakuje. Ale teraz myślę inaczej. Wiesz... był taki chłopczyk, Bobby D'Angelo...

- I cóż ten Bobby takiego zrobił?

Ella milczała. Harris dopiero po chwili zorientował się, że idzie sam. Obejrzał się. Ella stała nieruchomo, zapatrzona na drzewa.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić, nie mów.

Nie miała na to specjalnej ochoty, tym bardziej że Harris, kiedy spytała go o Fannie, nabrał wody w usta. Z drugiej jednak strony takie szczere wyznanie z jej strony mogło być poważnym krokiem do przodu w budowaniu wzajemnego zaufania.

Opowiedziała mu wszystko. O Bobbym, jego chorobie, o jego śmierci. O tym, że z tego właśnie powodu zrezygnowała z pracy pielęgniarki i przebyła długą drogę z zimnego Vermontu do miasteczka Awendaw w Karolinie Południowej. Harris nie odzywał się, tylko w pewnej chwili objął ją ramieniem. Ten gest wydał jej się jak najbardziej naturalny. Dodawał otuchy.



Kiedy skończyła, szli dalej w całkowitym milczeniu. Słyszeć było tylko chrzęst żwiru i gdzieś z oddali przejmujący krzyk jastrzębia.

W końcu, po długiej chwili, odezwał się Harris.

- Kiedy przeżyje się taki ból, trudno potem znów do kogoś się zbliżyć.

- Tak... - odpowiedziała cicho, zastanawiając się, czy Harris podświadomie nie robi tu odniesienia do swoich relacji z Fannie. - Przyjechałam tu z twardym postanowieniem, że nigdy więcej nie dopuszczę do głębszych emocji wobec żadnego dziecka. I co? Twoja Marion zdążyła już wmaszerować do mojego serca. Chwała Bogu! Po to w końcu jest to serce. Żeby człowiek umiał kochać, przebaczać, współczuć i tak dalej, i tak dalej...

Twarz Elli pojaśniała w uśmiechu. Harris patrzył, zdumiony, nie wierząc własnym oczom, do jakiego stopnia uroczy uśmiech zmienił twarz tej na pozór nieatrakcyjnej pielęgniarki.

Nieatrakcyjnej? On chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział takiej pięknej kobiety.

RS

*Sępy: komitet oczyszczający. Sępy to wielkie czarne ptaki z nieopierzonymi głowami. Pod względem techniki lotu i sposobu polowania mają wiele wspólnego z ptakami drapieżnymi, jednak w ostatnich klasyfikacjach umiejscawia się je bliżej bocianów. Sępy są ptakami stadnymi. Razem wysiadują na gałęziach, razem pożywiają się padliną. Mają wielkie, szerokie skrzydła, które mogą unieść ciężar większy niż skrzydła innych drapieżców. Dlatego wydaje się, że sęp unosi się w powietrzu bez żadnego wysiłku.*

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

- Dziś przychodzą do nas dwie sieroty. Znowu.

Ella spojrzała znad karty na Maggie i skrzywiła się. Wiedziała, że w ośrodku tak właśnie reaguje się na tę informację. W przypadku osieroconych drapieżców zawsze istnieje realne zagrożenie, że pisklęta bardzo przywiążą się do ludzi i nie będzie już można wypuścić ich na wolność. Dlatego wolontariusze, karmiący sieroty, owijali głowy wielkimi czarnymi chustami, zostawiając tylko miejsce na oczy. Żeby ptaki nie kojarzyły karmienia z ludzką twarzą. A wykarmienie rosnącego w tempie piorunującym drapieżcy było dość wyczerpującym zajęciem. Do wiecznie głodnych ptasich niemowlaków chodziło się kilka razy dziennie.

Niemniej jednak widok każdej nowej sierotki wzruszał Ellę. Chociaż tym razem, kiedy zajrzała do pudła i zobaczyła w środku dwa gapiowate brzydale, przede wszystkim zaczęła się mocno zastanawiać.

- Chwileczkę. Czy to przypadkiem nie sępy? Przecież sępy nie są drapieżcami.

- Zasadniczo nie. Ale też je przyjmujemy.

Maggie podeszła bliżej, w marszu wciągając cienkie rękawiczki.

- Och, Boże! Przecież to małeństwa. Mają najwyżej trzy tygodnie!

- Och, bidulki! - zawtórowała jej Ella, pochylając się nad pudłem. - A co to się stało z waszą mamusią?

- Smutna historia. Sępy budują gniazda na ziemi, czasami w starych, opuszczonych domach. Rodzice tych maleństw zostali zaatakowani przez psa.

Nachyliła się i ostrożnie wyjęła z pudła jedno z piskląt. Mały sęp natychmiast zaczął kulić się i syczeć. Ella odsunęła się na bok, żeby Maggie mogła swobodnie przejść z maleństwem do stołu. Kości pisklęcia i pióra są bardzo miękkie, łatwo je uszkodzić, dlatego to Maggie, bardziej doświadczona, zajęła się oględzinami ptaków. Ella asystowała. Zważyły je, sprawdziły oczy, pióra, ukrwienie. Na szczęście obaj malcy byli zdrowi i wyjątkowo silni jak na swój wiek.

Potem zabrały się za karmienie. Maggie trzymała pisklę, a Ella, w czarnej chuście, brała kawałeczek mięsa pęsetą i delikatnie popukiwała mięsem w dziób ptaka. Z jednej strony, potem z drugiej. Pisklę otwierało dziób i jadło. Z wielkim apetytem.

Po karmieniu oba maluchy zostały umieszczone w skrzynce z podgrzewaną podłogą.

- Spójrz na nich - powiedziała Ella. - Te długie nożyska, duże dzioby, a cały dół upierzony. Wyglądają jak tancerki w boa z piór.

- Albo dwie drag queen.

Zaśmiały się. Ella zamknęła skrzynkę. Obie wiedziały już, że te dwa identyczne straszdełka na pewno dostaną imiona.

Kiedy Ella opiekowała się sierotami, Harris zajmował się swoją córeczką. Był to pierwszy dzień wiosny, ulubionej pory roku Harrisa. Wszystko dookoła budziło się z zimowego snu. Dni były dłuższe i cieplejsze, karolińskie jaśminy obsypane cudownie pachnącymi żółtymi kwiatami. Harris wiedział, że za kilka tygodni słońce wywabi kwiaty derenia, azalie, glicynie i mnóstwo innych, dzięki czemu spacerzy ojca z córką będą jak wyprawa do krainy baśni.

Trzymając się z córeczką za ręce, wędrowali przez gęsty sosnowy las. Nie miał pojęcia, że jego dziecko uwielbia wspinać się po drzewach.

Dowiedział się o tym, gdy Marion w pewnym momencie podbiegła do rozłożystego dębu i jak małpka zaczęła śmigać po grubych konarach. Rozsadzała ją energia. Kiedy usłyszała pukanie dzięcioła, rzuciła się z piskiem do drzewa, na którym

urzędował ptak i zaczęła wdrapywać się na dolne gałęzie. Dziękił oczywiście odfrunął. Dziewczynka zeskoczyła na ziemię. Bardzo rozczarowana, dlatego Harris, kiedy zauważył w trawie królika, postanowił uprzedzić bieg wypadków.

Przykucnął i dał Marion znak ręką, żeby podeszła. Kiedy mocno drząc z emocji, podeszła do niego na paluszkach, położył palec na ustach, potem pokazał królika.

Królik ich zauważył. Zrobił słupka i przyglądał się bardzo czujnie.

- Cii... - szepnął Harris. - Zauważył nas. Zaraz się schowa.

- Gdzie, tatusiu?

- Na pewno tam, pod dereniem. Faktycznie. Królik pognał w podskokach pod krzak derenia, za nim Marion z rozpostartymi ramionami.

- Proszę, proszę, poczekaj! Nic ci nie zrobię!

- Marion! Wracaj!

Wróciła. Zadyszana i bardzo rozzalona.

- Tatusiu, powiedz mu, żeby nie uciekał! Harris z trudem stłumił śmiech.

- Niestety, już go, skarbie, nie dogonię.

- Ale one w ogóle nie chcą się ze mną bawić. Dlaczego?

- Bo ty je gonisz. Boją się, że chcesz je zjeść.

- Muszę biec, bo one nie chcą stać!

- One są dzikie, Marion. Zawsze będą uciekać.

- Ale dlaczego nie chcą się ze mną bawić? Ja nie mam nikogo, kto by się ze mną bawił!

- Masz mnie, skarbie.

Marion wydeła wargi i opuściła głowę. Harris westchnął i pieszczotliwie odgarnął jej włosy z czoła.

- Ella też tak robi - oświadczyła Marion.

- Tak? A lubisz, jak ona to robi? Marion pokiwała główką.

- Lubisz Elle?

Marion znów pokiwała główką, bardzo energicznie, po czym spytała:

- A czy ty ją lubisz, tatusiu?

- Oczywiście.

- Ale czy ty ją lubisz tak bardzo, bardzo?

- Powiedziałem, że tak.

- Ale ja pytam, czy ją kochasz!

- Marion! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem. Ale myślę, że ona ciebie kocha. Ona często na ciebie tak dziwnie patrzy.

- A jak?

Marion wytrzeszczyła niebieskie oczka i zatrzepotała rzęsami.

- Marion!

Harris roześmiał się i żartobliwie odepchnął córeczkę.

- Ona wcale tak nie robi.

- A właśnie że tak!

Dziwne, ale Harris wcale się tym nie zmartwił. Przeciwnie. Na szczęście Marion nie zauważyła, że on ostatnio też bardzo często przyglądał się Elli. Na pewno też jakoś dziwnie...

- Powiedz, Marion, a gdyby okazało się, że Ella mnie lubi. Bardzo, bardzo.

Albo ja ją. Przeszkadzałoby ci to?

- Nie! Powinieneś się z nią umówić, tatusiu.

- Umówić się? Dziecko drogie, czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy? Masz dopiero pięć lat!

- Pięć i pół, tatusiu.

- Och, przepraszam panią!

- A poza tym ja wiem, jak to jest. Widziałam w telewizji. Jak duży chłopiec lubi jakąś dużą dziewczynkę, to oni się umawiają. Ona ubiera się ładnie. On też. I idą tam, gdzie jest przyjemnie.

- Ella ma rację. Za dużo się naoglądałaś tej telewizji.

- Tatusiu! Przecież to pokazują nie tylko w telewizji! Kiedy Linda przychodziła mnie pilnować, ciągle mi opowiadała o takim jednym Davidzie. Że on ją lubi. I ona też go lubi. I ciągle się umawiają. Ty też powinieneś się umówić.

- A ja myślę, że powinniśmy wracać już do domu.

Poszli przez las, w kierunku małego stawu. Z daleka widzieli już dach chaty, w której mieszkał teraz Lijah. Po drugiej stronie za ścianą gigantycznych sosen długoigielnych stał ich dom. Coraz ładniejszy. Ella na ganku powiesiła doniczki z paprotkami, koło drzwi wejściowych ustawiła wielkie donice z geranium i bluszczem. Wszędzie dookoła porządnie wygrabione, krzewy przycięte, a przed domem wysypana czarna, żyzna ziemia. Tam, gdzie miał powstać ogród kwiatowy Elli.

Wszystko to razem tworzyło bardzo piękny obrazek, tym miłszy, że w środku, w tym domu czekała na nich sama Ella.

- Tatusiu, zobacz! - zawołała Marion, kiedy zbliżali się do stawu.

A było na co popatrzeć. Wśród wysokich pałek tataraku wygrzewał się na słońcu żółw. Naprawdę bardzo piękny okaz.

- To żółw wodny, Marion.

Miał zamiar jej powiedzieć, że te żółwie z żółtym brzuchem z przybrzeżnych wysp Karoliny Południowej są większe od pozostałych. Samica składa około dziesięciu jaj i...

Marion była już w drodze. Pędziła do żółwia.

- Marion, nie biegnij! Przestraszysz go! Oczywiście, była głucha na jego ostrzeżenia.

Dopadła do stawu dokładnie w chwili, gdy usłyszała już tylko cichutkie „plump” i woda zamknęła się nad zwierzątkiem.

- Tatusiu!!!

Harris rozłożył bezradnie ręce. Żadne z nich nie zauważyło, że przed chatą stoi Lijah, pyka sobie z fajeczki i popatruje na nich z uśmiechem.

- Lijah - Marion spojrzała na starego człowieka bardzo nieufnie. - Jesteś pewien, że wrony potrafią mówić?

- Nie od razu. Ale można je nauczyć.

Rankami Marion najczęściej można było zastać w wolierze dla wron. Przyglądała się ptakom i coś tam do nich pogadywała. Jej ulubieńcem była Mała Wrona, którą Marion знаła od pisklęcia. Lijah podejrzewał, że dla Marion Mała Wrona była po prostu dzieckiem, z którym Marion miała wielką ochotę się pobawić.

- Mnóstwo ptaków potrafi mówić, panienko. Papugi, szpaki azjatyckie, nawet papużki faliste. A wrony to wyjątkowo mądre ptaki. Łączą się w stada. Mają swoich wartowników. Taki wartownik siedzi wysoko na gałęzi i lustruje okolicę. Kiedy zauważy coś niepokojącego, krzyczy i ostrzega wszystkie wronie mamy i dzieci.

Lijah przyłożył zwinięte palce do ust i krzyknął:

- Kraaa, kraaa...

Dwie wrony natychmiast nastroszyły pióra i zaczęły przeskakiwać z jednej żerdzi na drugą. Marion zachichotała, zasłaniając usta rączką.

- Widzisz? Dla nich to alarm - powiedział

Lijah, uśmiechając się chytrze. - Wrony to wspaniałe ptaki. Czasami, kiedy migrują na południe, gromadzą się w stada. Jedno takie stado to czasami tysiąc ptaków, a nawet więcej. Kiedy taka chmara wzbije się wysoko, wysoko... Naprawdę jest na co popatrzeć.

- Ale jak nauczyć je mówić?!

- To wcale nie jest takie trudne, ale wymaga dużej cierpliwości. Potrafisz być cierpliwa?

- Oczywiście!

- W takim razie zrobimy tak. Codziennie rano przyjdiesz odwiedzić Małą Wronę. To młody ptak, pełen temperamentu, na pewno będzie miał ochotę się pouczyć. Tylko pamiętaj, nie wolno się spieszyć. Będziesz tu przychodziła, siedziała spokojnie i patrzyła na nią. A kiedy zauważysz, że ona też zaczyna zwracać na ciebie uwagę, wtedy podejdziesz do niej, powolutku, i powiesz jej „cześć!”.

Marion natychmiast przystąpiła do działania. Podbiegła do Małej Wrony i zawołała:

- Cześć, wrono!

Przestraszony ptak załopotał skrzydłami i odleciał na drugą żerdź, na której siedziała Duża Wrona. Obie wrony, podskakując niespokojnie, spoglądały teraz na Marion ze złością.

Marion, rozzalona, z ustami wykrzywionymi w podkówkę, wróciła pędem do Lijaha.

- One nigdy mnie nie polubią! Nigdy!

- One przede wszystkim nie lubią, kiedy je płoszysz, Marion.

- Ale ja nie chciałam!

- Wiem, panienko, ale to niczego nie zmienia. Najpierw musisz tylko patrzeć i słuchać, rozumiesz? Widziałaś kiedyś na łące królika?

- Tatuś mi pokazał.

- No to już wiesz, jak to jest. Tatuś królika uczy synka, że jeśli chce mieć towarzystwo, wcale nie musi cały czas skakać. Lepiej podejść cicho, na paluszkach, wtedy nikt się nie wystraszy. Podejść, przykucnąć i posiedzieć cichutko. Tak robią króliki, nawet ich wąsy są wtedy nieruchome.

- Ale co to za zabawa, skoro tylko siedzi?

- One to lubią. Chcesz spróbować? No to siadamy.

Usiadł pierwszy, na drobnym żwirze, którym wysypana była woliera i oparł głowę o ścianę, Marion usiadła obok, ze skrzyżowanymi nóżkami, jak mała Indianka. Wytrzymała tak kilka minut.

- Jak długo będziemy tak siedzieć?

Lijah spojrział jej prosto w oczy i potrząsnął głową. Marion skrzywiła się, ale pojęła przesłanie. Dalej więc siedzieli nieruchomo, a obie wrony przekrzywiły głowy i popatrywały na nich z wielką ciekawością. Marion czuła, że robi jej się zimno. Miała też ogromną ochotę podrapać się po nosie. Jednak Lijah siedział nieruchomo jak głaz. Dlatego ona, cały czas myśląc o króliku, próbowała też tak siedzieć. Nieruchomo.

W pewnym momencie obie wrony przeskoczyły na bliższą żerdź, żeby widzieć ich lepiej. Marion popatrzyła wyczekująco na Lijaha, ale stary człowiek nawet nie mrugnął okiem. Dalej więc tak trwali i wreszcie, ku radości dziewczynki, Mała Wrona zeskoczyła na żwir i zaczęła sobie chodzić. Dookoła nich. Zataczała kółka coraz mniejsze i mniejsze, cały czas przyglądając im się swoimi błyszczącymi czarnymi oczami.

Kiedy Mała Wrona zatrzymała się tuż przed Marion, dziewczynka wiedziała, że to już.

- Cześć, wrono - powiedziała słodkim głosem.

Mała Wrona przechyliła głowę, ale nie uciekła. I wtedy Duża Wrona sfrunęła z żerdzi i usiadła Lijahowi na ramieniu.



Marion spojrzała na Lijaha, Lijah spojrzał na Marion. Oboje uśmiechnęli się szeroko, od ucha do ucha. I mała Marion zrozumiała, że tatuś królika miał rację. Kiedy się siedzi nieruchomo, też można się świetnie bawić.

A wrony bawiły się razem z nimi!

Tego wieczoru po kolacji Harris wyszedł z domu, żeby zrobić wieczorny obchód. Było już całkiem ciemno. Po rozgwieżdżonym niebie płynęły chmury, niosąc ze sobą zapach deszczu.

Słodki zapach, nastrajający człowieka nieco melancholijnie. W takiej chwili chce się mieć przy sobie bratnią duszę. Na przykład Harris bardzo chętnie pospacerowałby teraz z Ellą.

Z otwartego okna w kuchni zaczęły dobiegać bardzo sympatyczne dźwięki. Odwrócił się. Ella i Marion. Stały obie przy zlewie i zanosły się od śmiechu.

Harris też się uśmiechnął. Ostatnio uśmiechał się bardzo często. Rano, kiedy budził go zapach kawy. Wczesnym popołudniem, kiedy wpadał do domu na lunch, a Ella i Marion pracowały w ogródku. Albo siedziały na tarasie na tyłach domu, pochłonięte twórczością artystyczną. Malowały. Uśmiechał się też wieczorem, kiedy Ella i Marion po prostu krzątały się, wykonując proste domowe czynności. Zmywanie, składanie prania.

Zwykle rodzinne życie, coś, czego nigdy przedtem nie doświadczył.

Ella i Marion były nierozłączne. I zawsze, niezależnie od tego, czy się śmiały, czy też Ella umiejętnie poskramiała wybuch złości u dziecka, zawsze wyczuwało się między nimi silną więź. Taką, która łączy matkę z dzieckiem. Harris nigdy tego nie wyczuwał w relacjach Marion z Fannie.

Dlaczego Fannie była inna? Dlaczego odeszła od swojego dziecka? A może to on sprowokował ją do odejścia?

Ella jest inna. Przed jej przyjazdem martwił się, że będzie w jego życiu intruzem, a tymczasem ona wrosła już w ten dom. Wspaniały człowiek, pełen sił witalnych, którymi bardzo chętnie dzieli się z innymi. Ella była jak terrier. Nieduża, ale pełna determinacji. Całe życie Harrisa Hendersona wywróciła do góry nogami, chociaż on chciał tylko pomocy w opiece nad Marion i prowadzeniu domu. Z tych podstawowych obowiązków wywiązywała się wspaniale. Mało tego, zrobiła o wiele

więcej. Wniosła do domu radość. Marion była teraz radosna. On też zrobił się niezwykle pogodny.

Chyba wpadł. Na pewno coś do Elli czuł. Nawet jego pięcioletnia córeczka wyczuwała pismo nosem. Źle sypiał po nocach. Rzucił się na łóżku albo z rękoma pod głową gapił się w sufit. Słuchał wiosennych pieśni miłosnych ptaków i zastanawiał się, czy Ella też ich słucha. Czyli niewiele się różnił od tych ogłupiałych ptasich samców za oknem.

Westchnął i znów ruszył przed siebie mocnym krokiem, wbijając obcasy w miękką ziemię.

Co teraz będzie? Takiej komplikacji nie przewidział. Przecież wcale nie szukał miłości.

Niestety, ona sama go znalazła.

Harris, kończąc obchód, usłyszał nagle nietypowe dźwięki dobiegające z woliery rehabilitacyjnych. Cichy baryton nucający świętą pieśń Gullahów. Gdy Harris podszedł do woliery, zobaczył Lijaha. Stary człowiek siedział na żwirze, Santee siedziała dosłownie parę centymetrów dalej. Z opuszczoną głową i nastroszonymi piórami.

Wypoczywała. Ale kiedy Harris podszedł bliżej, dziób uniósł się gwałtownie, jasnożółte oczy spojrzały gniewnie.

Harris szybko odwrócił wzrok.

- Wiesz co, gdybym komuś opowiedział, co tu widzę, nikt by nie uwierzył. To już zakrawa na jakieś czary.

Lijah, rozbawiony jego uwagą, zaśmiał się cicho.

- Nie uprawiam czarów. Kiedyś tak. Kiedy moja żona zachorowała, byłem gotowy zrobić wszystko. Żułem korzonki i tak dalej. Ale to wszystko na nic... Widocznie tak miało być. Z moją Santee nie łączą mnie żadne czary. Jesteśmy po prostu parą dobrych przyjaciół. Martwię się o nią. Coś jest nie w porządku. Mógłbyś ją jutro zbadać?

- Oczywiście. Przynies ją z samego rana.

Harris spojrzał na orlicę. Jego zdaniem wyglądała dobrze, ale przypomniał sobie, co mówiła Maggie. Santee od kilku dni zostawiała więcej resztek niż zwykle. A

poza tym jeśli Lijah zauważył, że z orlicą jest coś nie tak, nie ma się nad czym zastanawiać. Lijah nie może się mylić.

- Ten ptak jest bardzo do ciebie przywiązany. Zdziwiający. Poza tym widzę, że nie tylko Santee, ale i reszta ptaków gamie się do ciebie.

- Znają mnie, tak jak ja je znam. Każdy ptak ma swoją osobowość, tak samo jak ludzie. Weź na przykład Chance'a, tego orła przedniego. Zbir. Nigdy nie wolno stawać do niego plecami. A Cinnamon? Panna stroi fochy, ale jak chce, potrafi być słodka jak miód. A ta druga, Risk, sokolica, zdolna bestia i bardzo lubi się popisywać...

Harris słuchał zafascynowany. Z każdą opinią Lijaha zgadzał się w stu procentach.

- One cały czas pokazują nam, jakie są. Trzeba tylko dokładnie im się przyjrzeć - ciągnął stary człowiek. - Przyglądają się bez przerwy. Jastrząb tym swoim genialnym wzrokiem dostrzeże od razu, w jakim jesteś nastroju. Jeszcze zanim otworzysz woliere. Odczyta to z twoich ruchów. My też możemy wiele w nich dostrzec, trzeba tylko umieć patrzeć.

- Powiedz mi jeszcze jedno. Kiedy na mojej rękawicy nie ma kasków, ptaki czasami nie wracają. Do ciebie zawsze wracają, nawet jeśli nie masz dla nich jedzenia. Czy to kwestia przyzwyczajenia? Dogładasz ich, spędzasz z nimi bardzo dużo czasu. W każdym razie do ciebie nie przylatują po nagrodę.

- Hm... Po prostu tak jest. Proszę ptaka, żeby do mnie przyleciał, i on przylatuje. Po co łamać sobie nad tym głowę?

Harris przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął.

- A nauczysz mnie tego?

- Synu, a czego ja mogę ciebie nauczyć?

- Porozumiewać się z ptakami.

- Porozumiewać się? Jeśli o to chodzi, powiem ci przede wszystkim jedno.

Ludzie wyobrażają sobie, że można nauczyć się porozumiewać z ptakami tak jak z innym ludźmi albo psami, czy kotami. A to nieprawda. Z ptakami jest inaczej.

Wszystko zależy od tego, jaki ty jesteś, co masz w sobie, w środku. Jaki jesteś wobec tego, co ciebie otacza. Wszystkiego, nawet burzy czy deszczu.

- Bardzo chciałbym się tego nauczyć.

- Dobrze, synu. Ale nie dziś, nie dziś... Lijah westchnął ciężko i wstał, jak to on, sztywno, trochę niezdarnie, kładąc sobie rękę na krzyżu. Zaskoczona orlica rozpostarła skrzydła i wydała z siebie gardłowy dźwięk.

- Cicho, Santee, bo obudzisz wszystkich - zagderał Lijah. - Śpij, śpij. Dobranoc, mała.

Wyszli z woliery, Harris starannie zamknął drzwi.

- Wybacz, ale jestem już bardzo zmęczony. Tęsknię za ciepłym łóżkiem. Santee i ja zjawimy się u ciebie z samego rana. A potem, jeśli chcesz, pogadamy.

- Bardzo chcę. Dziękuję.

- Jeszcze nie ma za co dziękować. Aha, jeszcze jedna sprawa. Chodzi o tego chłopaka, Brady'ego. On nadaje się do ptaków. Powinien robić tu coś więcej.

- Zapomniałeś, co zrobił jednemu ptakowi?

- Wiem dokładnie, co wydarzyło się tamtego ranka. Poza tym przyglądam się temu chłopakowi uważnie. On zdrowieje, rozumiesz? Jak moja Santee. A jeśli ptaki mu ufają... Mnie to wystarczy.

- A co wyście się tak uparli? Ella też suszy mi głowę, żebym pozwolił mu karmić ptaki razem z Clarice.

- Nie chcę się wtrącać do twojej pracy, ale wydaje mi się, że z tego chłopaka może być wiele pożytku. Więcej niż myślisz. Zastanów się nad tym. Dobranoc, synu!

***Sluch.** Podczas polowania większość drapieżców wykorzystuje przede wszystkim swój znakomity wzrok, ptaki te jednak posiadają równie znakomity sluch.*

*Północne błotniaki fruną tuż nad ziemią, z przechylonymi głowami, wykorzystując w ten sposób i wzrok, i sluch. Krogulce czarnołbiste podczas polowania na przepiórki podążają za ich okrzykami. Sowa słyszy dźwięki o dziesięciokrotnie mniejszym natężeniu niż dźwięki wylapywane przez ucho człowieka. Dzięki temu potrafi zlokalizować zdobycz w nieprzeniknionych ciemnościach.*

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Brady siedział koło bramy ośrodka. Jadł kanapkę i czekał na matkę. Wolał czekać tutaj. Nie chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że matka nadal go wozi. Przede wszystkim wolał ukryć to przed Clarice. Gdyby się o tym dowiedziała, umarłby ze wstydu. Na szczęście matka zaczynała mieć dość tego jeżdżenia tam i z powrotem. Brady był pewien, że to tylko kwestia czasu i starzy znów pozwolą mu usiąść za kółkiem.

Kawałek dalej urzędował biały kogut. Dziobał ziarno, które sypnął mu Brady. W każdą sobotę i środę Brady i kogut jedli razem lunch. Kogut, tak jak Brady, nie był specjalnie rozmowny. Co Brady'emu bardzo się podobało. Lubił towarzystwo ptaków. Pracować przy nich. Mówią, że to trudna i wyczerpująca praca. Bez przesady. On załapał błyskawicznie. Kiedy wchodził do woliery, jego zmysły były bardzo wyostrzone. Siłą rzeczy mówił ciszej. Poza tym, wiadomo: ruszać się powoli i nigdy nie patrzeć prosto na ptaka.

Starzał się. Na pewno też i ze względu na Clarice. Kiedy Ella zapytała, czy nie zechciałby pomagać Clarice podczas karmienia, nie wierzył własnemu szczęściu. Oczywiście, że z miejsca się zgodził. Potem domyślił się, że Lijah i Clarice musieli

wstawić się za nim, bo inaczej ten cholernie upierdliwy Harris nigdy by na to nie pozwolił. No i wstawiła się Ella. Świetna babka. Odkąd zaczęła pracować w klinice, zmieniło się tu wiele. Teraz było o wiele czystiej, wszystko o wiele lepiej zorganizowane. Nawet taki laik jak Brady to zauważył. A poza tym przy Elli wszyscy uśmiechali się o wiele częściej. Byli miłsi dla Brady'ego. Nawet Harris.

Brady też się uśmiechnął i ugryzł kanapkę z kielbasą. Czasami człowiekowi się poszczęści, to fakt.

Clarice Gaillard też była świetna. Nie tylko ładna. Piekielnie inteligentna, chociaż wcale się nie mądrzyła. To Clarice uczyła go, jak łapać ptaka. Na początku był bardzo zdenerwowany. Nawet takie maluchy jak sowy uszate były bardzo szybkie i próbowały uciec. A duże ptaki? Ich szpony w każdej chwili mogły zrobić z twojej twarzy siekaninę. Tymczasem Clarice chwyciła te szpony szybko i precyzyjnie. Co było wielkim wyzwaniem dla męskości Brady'ego. Skoro dziewczyna to potrafi, nie wolno mu stchórzyć. I już za pierwszym razem poszło całkiem nieźle. Clarice potem się uśmiechnęła, ciepło, z wielką aprobatą. Brady jak dotychczas rzadko spotykał się z taką reakcją wobec swojej osoby. Dlatego bardzo go to zdopingowało. Po niedługim czasie potrafił już łapać ptaki tak samo dobrze jak ona. A wszystko polegało na tym, żeby nie myśleć o sobie, tylko o ptaku. Jak bardzo jest zdenerwowany.

Usłyszał chrzęst żwiru. Na pewno matka. Wstał i odszedł od bramy. Kogut też się wycofał, pod drzewa. Wkrótce zza zakrętu wyjechał samochód.

Biały ford sedan. A niech to...

- Hej, Brady! - Z samochodu wyjrzała Clarice. - Co ty tu jeszcze robisz?

- Czekam na transport - wymamrotał, czując, że najchętniej zapadłby się teraz pod ziemię.

- Jesteś pewien, że twoja mama przyjedzie?

- Oczywiście. Będzie tu lada moment. Poczekam. I tak jem lunch.

- A ja jeszcze nie jadłam. Może dotrzymam ci towarzystwa?

Zaskoczyła go. W pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

- Towarzystwo już mam - mruknął. - Ale... No, jasne. Fajnie będzie.

Clarice zmrużyła oczy i przesłoniła je ręką. Niby od słońca, Brady jednak odnosił wrażenie, że po prostu chciała ukryć uśmiech.

- Jesteś pewien? Nie chciałabym przeszkadzać wam w rozmowie.

- Nie ma sprawy. Wszystkie problemy, przewidziane na dzisiaj, zdążyliśmy już rozwiązać.

Clarice zaśmiała się. Jej śmiech zabrzmiał w uszach Brady'ego jak dźwięk dzwoneczków. Bardzo mu się podobał.

- W takim razie otwieraj bramę, Brady.

Wjechała do środka i zaparkowała samochód na poboczu. Brady zastanawiał się, gdzie usiądą i czy on w ogóle ma ją czym poczęstować. Zajrzał do swojej papierowej torby. Kanapka z kiełbasą, zjedzona do połowy, pusta torebka po chipsach i dwa kruche ciasteczka w fatalnym stanie. Nic więcej.

Podniósł głowę. Clarice stała już obok niego. Uśmiechała się i rozglądała dookoła pięknymi błyszczącymi oczami. Patrzyła na wszystko, tylko nie na niego i Brady pomyślał, że może ona też jest trochę zdenerwowana. Jak on.

- Gdzie usiądziemy? - spytała.

- Może tam? Pod tamtym drzewem jest duży kamień.

Clarice siadła na kamieniu, on, dżentelmen, na ziemi, przeklinając w duchu deszcze, które ostatnio nawiedziły te okolice. Problem poczęstunku sam się rozwiązał. Clarice wyciągnęła z plastikowej torebki kiść winogron i zaczęła jeść, zgniatając jedno winogrono po drugim pełnymi wargami.

- Czyli co? Ty i kogut zaprzyjaźniliście się? - spytała po chwili.

- Jasne. Lubimy sobie czasami tak razem posiedzieć, ja i stary Buh Rooster. Tak nazywa go Lijah. Czasami mówi na niego Chanticleer, to podobno kogut z jakiejś bajki. Lijah często mi opowiada różne historie. Bardzo ciekawe...

- Nic dziwnego. Przecież on jest griotem.

- Kim?!

- Griot opowiada nam o naszej przeszłości, przeszłości ludu Gullah, potomków niewolników. Kiedyś takich ludzi nazywano bajarzami albo bardami. A w Afryce właśnie griotami. To, co on wie, nie jest zapisane w książkach. Ma wszystko w głowie. Nasza historia przekazywana jest z ust do ust.

- Ty też jesteś z ludu Gullah, a wcale nie mówisz jak on.

- Tym językiem posługują się już tylko bardzo starzy ludzie. Kiedy umrą, umrze z nimi i nasz język. Smutne, prawda? Czasami martwię się, że wszystko umrze. Kuchnia Gullah, sztuka, medycyna. Tak jak znikły farmy i chaty rybackie na wyspach przybrzeżnych. Buldożery zrównały je z ziemią, teraz na ich miejscu stoją piękne, nowe domy i hotele. Wszędzie nowe drogi. Nasze wyspy zmieniają się, ale my walczymy, żeby stara kultura nie umarła. Jesteśmy ludem Gullah. Mamy swoją królową i radę starszych. Staramy się zachować nasz język i tradycje. Dlatego każdy griot, taki jak Lijah, jest po prostu bezcenny.

- Jeśli on jest dla was taki ważny, to dlaczego mieszka w tej chacie?

- Bo sam chciał! Moja mama, kiedy się o tym dowiedziała, dostała hysterii. Lijah ma swój dom w St. Helena, a tu, w tych stronach, jest mnóstwo rodzin, które marzą o tym, żeby się u nich zatrzymał. Ale Lijah, wiadomo, najbardziej ceni sobie niezależność. Wolny jak ptak, po prostu. Kiedyś był inny. Zmienił się po tych wszystkich nieszczęściach.

- Jakich? Powiedz!

- Powiem ci, w końcu to żadna tajemnica. Najpierw stracił dwóch synów. Dawno temu, jeszcze w latach sześćdziesiątych. Chłopcy łowili ryby. Wypłynęli daleko w morze. Nagle nadciągnął szkwał. Wywróciło łódź i obaj utonęli.

- A niech to...

- Po tej tragedii Lijah bardzo długo nie opowiadał swoich historii. Zamilkł. A jego żona podobno rozchorowała się ze zmartwienia, miała coś z głową. Lijah opiekował się nią. Bardzo ją kochał. Kiedy umarła, jakieś piętnaście lat temu, odłożył swoje narzędzia. On budował wspaniałe łodzie.

Nie uznawał żadnych projektów, wszystko miał w głowie. Ludzie zjeżdżali się do niego z daleka. Każdy chciał mieć łódź od Elijaha. Mój tata ma taką i mówi, że lepszej nie znajdziesz. Po śmierci żony Lijah znów zamilkł, ale po jakimś czasie zaczął opowiadać swoje historie. Może wtedy czuje jakąś więź ze zmarłymi? A może odwrotnie, kiedy opowiada, zapomina o swoich nieszczęściach?

Clarice westchnęła i wsunęła między wargi kolejne winogrono.

- Teraz przyszedł tu za orlicą. Słyszałam, jak mówił, że to ona go sobie wybrała.



- Może jest jego totemem!

- Może tak. A może potrzebuje kogoś bliskiego. Najważniejsze, że odzyskał spokój.

- Fakt. Lijah to świetny gość - stwierdził z całym przekonaniem Brady. Clarice zjadła ostatnie winogrono i zebrała swoje rzeczy.

- Pojadę już. Na jutro mam bardzo dużo zadane. - Spojrzała na drogę, potem na swój zegarek. - Brady, może podrzucić cię do domu? Zaraz znowu się rozpada, jestem pewna.

Brady milczał chwilę. Z jednej strony bardzo chciał pogadać jeszcze z Clarice. Z drugiej jednak... Co pomyśli Clarice, kiedy zobaczy ich walącą się chałupę?

Duma zwyciężyła.

- Dzięki, ale nie. Poczekam. Jeśli mnie tu nie będzie, matka się zdenerwuje.

Odprowadził Clarice do samochodu, żałując, że sam odbiera sobie szansę na rozmowę z Clarice. Nie chodziło o żadną randkę. A gdzie tam. Przecież Brady umawiał się już z Jenny, a Clarice była kumplem. Lubił ją, bo zmuszała go, żeby pomyślał o czymś całkiem innym niż dotychczas. Wtedy czuł się jakiś... lepszy.

- Do zobaczenia w sobotę! - powiedziała.

- Tak. Do soboty! Cześć! Uruchomiła silnik.

- O, nie, czekaj! - Wystawiła głowę z samochodu. - W sobotę mnie tu nie będzie. Mam ważny test. Czyli zobaczymy się w następną środę.

Czyli zobaczą się dopiero za tydzień.

- Clarice... Tak sobie myślę... gdybyś znalazła chwilę czasu, może zjedlibyśmy razem lunch albo coś w tym rodzaju...

Clarice, wyraźnie zaskoczona, zmarszczyła czoło.

- Sama nie wiem.

- Po prostu żeby pogadać. Jak kumple.

- No dobrze... - powiedziała bez specjalnego entuzjazmu, postukując palcem w kierownicę. - Może po tym teście? W sobotę. Jesteś tu do drugiej, ja o drugiej na pewno będę już wolna. Spotkajmy się w „Ye Olde Ice Cream Shoppe” o wpół do trzeciej.

Wrzuciła jedynekę. Przed odjazdem spojrzała jeszcze raz na Brady'ego. Jej oczy śmiały się.

- Oczywiście, jak kumple!

Profil jastrzębia, pomyślała Ella, wpatrując się w wysokie czoło i wydatny nos. Nawet w półmroku widziała wczesną opaleniznę Harrisa, rezultat długich godzin spędzonych na wiosennym słońcu. On sam nazywał ją żartobliwie opalenizną farmera, bo kończyła się tam, gdzie zaczynał się rękaw T-shirta.

Stał przed wolierą, w której umieszczono parę osieroconych orląt przywiezionych przez kuriera aż z Florydy. Wszyscy byli nimi bardzo pod-ekscytowani.

- Pomyślałam sobie, że zastanę cię właśnie tutaj, przy tych maluchach.

Harris uśmiechnął się do niej i znów skierował spojrzenie na dwa ciemnobrązowe, skulone stworzenia.

- Są zachwycające. Takie młode ptaki trafiają do nas bardzo rzadko. Ktoś zastrzelił ich rodziców, dlatego ludzie z ośrodka rehabilitacyjnego na Florydzie wyjęli pisklęta z gniazda i odchowali, dopóki nie nauczyły się stać i rozszarpywać pożywienia.

- Co dalej z nimi będzie?

- Przez kilka tygodni posiedzą w specjalnej skrzyni, umieszczonej na wieży, za stawem. Będą tam, dopóki się nie opierzą. Jedna ściana w tej skrzyni jest z metalowych prętów. Dzięki temu orlęta będą mogły na wszystko patrzeć, a jednocześnie będą bezpieczne. Nie dostanie się do nich żaden drapieżnik. Posiedzą tam jak w gnieździe, a kiedy się zadomowią, usuniemy pręty. Będą mogły wypróbować skrzydła i zacząć polować. Muszę ci powiedzieć, że widok orląt, wykonujących swój pierwszy lot, jest po prostu wzruszający.

- Mam nadzieję, że to zobaczę.

- Jasne. Masz moje słowo.

Ella spojrzała w bok, na sąsiednie woliery i uśmiechnęła się.

- Te pieśni miłosne, których nasłuchałam się przez moje okno, okazały się bardzo owocne. Bardzo dużo tego drobiazgu.

- Wiosną zawsze tak jest. Teraz będziemy mieli pełne ręce roboty.

Powiedział „my”... Ella uśmiechnęła się zadowolona i ruszyła na swój własny wieczorny obchód. W szpitalu zawsze tak robiła, na początku dyżuru i pod koniec. Sprawdziała stan swoich pacjentów. Teraz też, z jedną tylko różnicą. Jej pacjentami były ptaki. Los rzeczywiście czasami płata figle.

W pierwszej woliery siedziały dwa małe sępy, na które nie sposób było nie spojrzeć bez uśmiechu. Rosły jak na drożdżach. Były nierozłączne, choć kłóciły się często, jak to dzieci. W ciągu ostatnich kilku tygodni miękki szary puch znikł. Zastąpiły go lśniące czarne lotki i pióra pokrywowe. Ptaki prawie już osiągnęły swój ostateczny wzrost.

Dwa dorosłe sępy siedziały na najwyższej żerdzi, prawdopodobnie, żeby być jak najdalej od smarkaczy, które umieszczono w skrzyni ustawionej na ziemi. Ella zajrzała do środka. Małe sępy spały, przytulone do siebie.

W sąsiedniej woliery panowało wielkie ożywienie. Cały gang sów sadowił się na żerdzi na tyłach woliery.

Ella spojrzała przez ramię na Harrisa.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile jest tu tych puszczyków wirginijskich? Dziewiątka. Rozrabiają, jakby szykowały się na imprezę!

- A ludzie ciągle przynoszą nowe - powiedział Harris, podchodząc do niej. - Znajdują je na ziemi i zaraz lecą z nimi do najbliższego weterynarza. Najczęściej nie przedstawiają się, nie zostawiają numeru swojego telefonu. Potem nie można dojść, z jakich okolic pochodzi ptak. Piskłeta, gdy podrosną, lubią skakać po gnieździe, po pobliskich gałęziach. Czasami któreś z nich spadnie na ziemię. Ale co najmniej dziewięć na dziesięć przyniesionych sówek jest w dobrej kondycji i powinna wrócić do gniazda.

- A jak miewa się Santee?

Harris spochmurniał. Podeszli razem do trzeciej woliery, w której rezydowała Santee, prawdziwa gwiazda wśród pacjentów ośrodka. Kochali ją wszyscy, ona wobec wszystkich zachowywała królewski dystans. Naturalnie jej relacje z Lijahem były całkiem inne. Harris zgodził się, by tylko

Lijah opiekował się Santee. Tylko on ją karmił, sprzątał jej woliere i zanosił ptaka na badania.

Ella spojrzała na Santee oczami pielęgniarki. Niestety, od razu zauważyła, że ptak ustawia się dokładnie pod lampą nagrzewającą. Czyli nie czuł się dobrze.

- Podłapała aspergilozę, poważną infekcję płuc - wyjaśnił Harris. - Drapieżcy zapadają na nią dość często. Podałem jej antybiotyk, lek grzybobójczy. Nawilżyliśmy płuca, teraz siedzi pod lampą. To ważne, przecież przez ostatni tydzień padało. Na noc jednak trzeba lampę wyłączyć. Ze względu na zagrożenie pożarem.

Wyłączył lampę, wyszedł z woliery i spojrzał na Santee jeszcze raz, bardzo zatroskanym wzrokiem.

- Nic więcej nie można już zrobić. Lijah jest bardzo przybity. On pierwszy zorientował się, że z Santee jest coś nie tak.

Harris westchnął i potarł sobie ręką twarz.

- Zmęczony? - spytała Ella miękko.

- Nie da się ukryć. Ale na pewno nie bardziej niż ty. Pracujesz tyle samo godzin co ja, o ile nie więcej. I dlatego tak sobie pomyślałem...

- Co?

- Że nam obojgu należy się trochę wolnego. Jeden dzień. Co o tym myślisz?

Ella uśmiechnęła się.

- A nad tym warto by się zastanowić. Jak dotąd zamiast wolnego, dostałam tylko nowe obowiązki.

Mam nadzieję, że macie tu jakiś związek zawodowy opiekunek do dzieci!

- Nie wiem, ale zamierzam cię udobruchać. Jutro jest trochę spokojniej, poza tym Maggie będzie tu przez cały dzień. Deszcz nie pada... Może wybierzemy się na ryby?

Na ryby?! Ella wyduła wargi. Spodziewała się, że Harris zaprosi ją do kina, a może na kolację! Zaraz jednak zmitygowała się. Znów masz jakieś wygórowane życzenia, Ello. Zapomniałaś, jak się wygłupiłaś w walentynki? Marzy ci się randka, a przecież ty i Harris jesteście parą przyjaciół. Ciesz się z tego, co masz.

- Brzmi całkiem nieźle.

- Świetnie. Zabiorę cię do takiego miejsca, gdzie ma się poczucie, jakby człowiek był oddalony o miliony kilometrów od reszty świata. To najlepszy relaks, jaki można sobie wyobrazić.

***Wzrok.** Używając określenia „sokoli wzrok”,  
porównujemy człowieka z drapieżcą. I słusznie,  
bo ptaki te mają świetny wzrok. Posiadają też zdolność  
widzenia dwuocznego. Ptaki drapieżne potrafią badać  
wzrokiem ziemię lub powierzchnię wody z wysokości setek,  
czasami tysięcy metrów. Swoją cel namierzają z precyzją  
celownika bombowego.*

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Kiedy Harris i Ella oddalali się od ośrodka, podążając drogą wysypaną żwirem, Ella czuła na plecach spojrzenie co najmniej kilku par ciekawskich oczu.

Tego ranka Marion zadała całą serię pytań. Dokąd jadą Ella i tatuś? Dlaczego Marion nie może jechać razem z nimi? Czy umówili się na prawdziwą randkę?

Maggie, która zgodziła się posiedzieć z Marion przez kilka godzin, była podejrzanie cicha. Jej brak entuzjazmu był bardzo wymowny i Ella przysięgła sobie w duchu, że przy najbliższej okazji musi pogadać z Maggie. Koniecznie. Lijah natomiast, kiedy wychodzili z domu, stał przed chatą, pykał z fajeczki, a po jego twarzy błąkał się uśmiech, który Ella odebrała jako znaczący. Tak samo jak uśmieszki i pochrząkiwania wolontariuszy, niby to bardzo zajętych swoją robotą.

- Co ty im naopowiadałeś? - spytała Ella, kiedy wychodzili z terenu ośrodka.

- Powiedziałem tylko, że znikamy na jakiś czas.

- Znikamy! Też coś! Nie mogłeś powiedzieć, że po prostu idziemy na ryby?

- Na ryby, na grzyby... Czy to takie ważne? Niech sobie myślą, co chcą.

Najważniejsze, żebyśmy miło spędzili czas.

Szli dalej. Harris swoim lekkim, długim krokiem. Ella, żeby nie pozostać w tyle, musiała porządnie wyciągać nogi. Na rozstaju dróg skręcili w lewo, na trawiasty szlak prowadzący nad strumień. Ella ciekawie popatrywała na okolicę, zafascynowana urodą Lowcountry, tak inną niż majestat gór Vermontu. Parną, uwodzicielską i pełną

tajemnic, ukrytych w wijących się strumieniach, rzekach, zielonych mokradłach i gęstych lasach o bogatym poszyciu.

W pewnym momencie drzewa przed nimi rozstały się, ukazując błękitne niebo. Powiał łagodny, chłodny wiatr. Ella wciągnęła mocno w płuca świeże, wilgotne powietrze, które jak cudowny eliksir rozchodziło się po jej żyłach.

- Tam jest mój strumień - powiedział Harris, wskazując ręką na srebrzystą wstęgę wśród zielonej trawy spartyny, opływającą stare, sękaty zimozielone dęby.

- Bardzo tu pięknie. Jak dawno kupiłeś tę ziemię?

- Och, jakieś dwanaście, trzynaście lat temu. Pracowałem wtedy na państwowej posiadzie, po sąsiedzku, w lasach Francisa Mariona. Kiedy tę ziemię wystawiono na sprzedaż, przyjechałem tu od razu, żeby obejrzeć. Było to tuż po przejściu huraganu Hugo, ziemia była tania. Podjąłem szybko decyzję i nie żałuję, dziś nie mógłbym sobie na to pozwolić. Huragan uderzył wtedy na Awendaw i Georgetown. Narobił wiele szkód, także w świecie ptaków. W lasach panowała wtedy nienormalna cisza. Niektóre ptaki uciekły przed huraganem. Chwała Panu Bogu, że dał im instynkt. Ale nie wszystkim. Wiele niestety zginęło. Chodź, idziemy na pomost.

Wziął ją za rękę i błotnistą ścieżką poprowadził do strumienia. Do pomostu, który musiał tu być od wieków i jakimś cudem przetrwał huragan.

Ella spojrzała na pomost bardzo sceptycznie.

- Jesteś absolutnie pewien, że on się pod nami nie załamie?

- Wytrzyma. Jest stary i zeżarty przez korniki, to fakt, ale jeszcze wytrzyma jednego faceta i takie chuchro jak ty.

Zdjęli buty i nagle oboje, kiedy spojrzeli na swoje bosa stopy, zaczęli zanosić się od śmiechu.

Jak dwoje dzieciaków. Pośmiali się i pomaszrowali na bosaka po starych, nierównych dechach do samego końca pomostu.

Harris przystanął i mocno wciągnął powietrze.

- Czujesz? Takiego zapachu nigdzie indziej nie uświadczysz. Cudownie czyste, autentyczne błoto. Mój wiosenny tonik. Jeden łyk czyni cuda. Oczywiście, mam na myśli duszę.

Ella też wciągnęła powietrze i zmarszczyła nos.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby do tego przywyknąć.

Kiedy tak stała na końcu pomostu, wpatrzona w mętną wodę, wydała się Harrisowi trochę zagubiona. To był szok zobaczyć zawsze energiczną, kompetentną Ellę Elizabeth Majors zdecydowanie nie w swoim żywiole.

- Łapałaś kiedyś kielba? - spytał, nachylając się, żeby torbę ze sprzętem przesunąć bliżej końca pomostu. - Bardzo dobra ryba, chociaż niektórzy mają ją w pogardzie i używają tylko na przynętę. A zapytaj pierwszego lepszego chłopaka ze wsi, zaraz ci powie, że kiedy ugryziesz kawałek soczystego kielba, to tak jakbyś posmakowała błotnistej strumienia. W sklepie go nie kupisz. Musisz go złapać. Tutejsi ludzie robią tak od bardzo dawna. Mnie nauczył tego ojciec.

Otworzył płócienną torbę i mruknął:

- Niczego więcej mnie nie nauczył. Zauważył, że Ella zerknęła na niego.

- Może w czymś pomóc? - zapytała po chwili.

- Faktycznie, mogłabyś.

Wyjął z torby spławiki, zwiniętą linkę, torebkę z haczykami i drugą plastikową torebkę. W tej torebce było coś, co wyglądało jak namoczony chleb.

- Proszę. Twoim zadaniem jest wrzucić do wody przynętę.

Ella otworzyła torebkę i natychmiast zatkała ręką nos.

- Faj! Co to jest?

- Genialna mieszanka. Głównie chleb plus kilka innych składników, których ci nie zdradzę, a którym żadna ryba nie jest w stanie się oprzeć. Cała sztuka polega na tym, żeby wrzucać po troszeczku. Wtedy zwabisz je do wędki. A jak nażą się od razu, to nie przyjdą, rozumiesz?

- Jasne.

- No to ja przygotowuję wędki.

Nie spodziewał się, ile będzie miał zabawy, obserwując, jak Ella karnie wykonuje swoje zadanie. Krzywiąc się straszliwie, ostrożnie wyciągała dwoma palcami kawałeczki mieszanki i rzucała ją do wody.

Bez słowa skargi. Chociaż po dłuższej chwili zadała pytanie:

- Może już wystarczy? Zlitował się.

- Tak, już wystarczy. Proszę, oto twoja wędka. Znasz się na tym?

Pusty wzrok Elli przemknął po czymś, co dla niej było wyłącznie długim cienkim kijem z linką na końcu.

- Nie, ale podejrzewam, że mam wrzucić ten haczyk na końcu do wody i czekać, aż ryba się na niego nadzieje.

- Tak. Kiedy zobaczysz, że szałwik się porusza, ten korek tam, wtedy ciągnij. Jak najszybciej. Siadamy.

Harris usiadł na końcu pomostu i poklepał miejsce obok. Ella usiadła obok niego. Zrzucili wędki, a potem to już była tylko czysta przyjemność. Nogi trzymali w chłodnej wodzie, słońce, coraz wyżej na niebie, przyjemnie grzało w plecy. Tak przyjemnie, że wkrótce oboje zdjęli kurtki i podwinęli rękawy.

- Piękne miejsce - powiedziała Ella, wystawiając twarz do słońca. - O, popatrz tam! Ile ptaków! Zebrały się koło starego dębu. To ibisy, prawda? Raz... dwa... cała szóstka! Jakie piękne!

- Tu żyje mnóstwo ptaków. Czaple, ibisy. Rybołowy zakładają tu swoje gniazda. Do jednego z takich gniazd wkładałem kilka sierot. O, do tamtego. Widzisz? Tam, wśród gałęzi uschniętego drzewa.

- Tak. Widzę. Duże gniazdo, ale wygląda trochę nieporządnie.

- Bo rybołowy w budowie gniazd są niezwykle kreatywne. Budują, z czego się da. Patyki, trawa, ale też wszystko, co mają pod... dziobem. Plastikowe kubki i pojemniki, kawałki sznurka. Widziałem kiedyś wstążkę, bardzo ładną, raz nawet oponę rowerową. Aha, i lalkę Barbie. Rybołowy lubią świecidełka. Trzeba powiedzieć Marion, żeby pilnowała swojej Wytwornej Lulu, zwłaszcza kiedy Lulu ma na sobie tę suknię obsypaną brokatem.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do żadnej tragedii - mruknęła Ella ze śmiertelnie poważną miną. Po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

- Rybołowy są bardzo przywiązane do swojego gniazda. Wracają do niego co roku. Jak orły. Są też monogamiczne. Wspaniałe, prawda? Przecież nie są związane żadną przysięgą. Tu działa silny instynkt. Stąd pochodzę i tu jestem. Przywiązanie do gniazda warunkuje przywiązanie do towarzysza czy towarzyszki.

- Jakie to romantyczne! Harris chrząknął.

- Z biologiem nie rozmawia się o romantycznych porywach.



- Dobrze, zapamiętam. A teraz powiedz mi, ta ziemia to twoje gniazdo?

- Można tak to ująć. Tylko nie wiem, na jak długo, bo nie wiem, jak długo uda się ciągnąć ten ośrodek. Kto wie, co zdarzy się w przyszłości... Dla rybołowa to też wielka niewiadoma. Bywa, że wraca do swojego gniazda, a tu okazuje się, że zajęła je sowa. Choćby nie wiem jak się wściekał, sowy i tak nie wyrzuci.

- I co wtedy?

- Musi zbudować sobie nowe gniazdo.

- A Fannie mieszkała z tobą tutaj, tak? Nagła zmiana tematu wyraźnie zaskoczyła Harrisa. Ale odpowiedział:

- Tak. Przez jakiś czas.

- Maggie opowiadała mi, że Fannie pomagała ci przy ptakach.

Harris westchnął. Wiedział, że nie uda się uniknąć rozmowy o jego byłej żonie. Prędzej czy później to musiało nastąpić, o ile chciał być wobec Elli w porządku.

- Tak. Pomagała. Poznałem Fannie, kiedy była jeszcze dzieckiem. Jestem starszy od niej o dziesięć lat. Mieszkała niedaleko nas, razem z matką. Matka miała wielu facetów, każdego z nich Fannie nazywała wujkiem. Taki wujek był u nich przez jakiś czas, potem zniknął. Przedtem zwykle okradał matkę Fannie. Kiedy Fannie po raz pierwszy zjawiała się u nas, miała jakieś jedenaście lat... Przyszło to, takie chude, na długich cienkich nogach i spojrzało wielkimi oczami. Szukała pracy, jakiegokolwiek. Skończyło się na tym, że więcej przebywała u nas niż w swoim własnym domu. Kiedy zacząłem pracować w normalnym wymiarze godzin, nająłem ją do opieki nad matką. Matka nie ruszała się już z domu.

Fannie gotowała, raczej średnio, nigdy nie sprzątała, ale dla mojej matki była nadzwyczajna. Czasami coś tam jej czytała, czasami po prostu rozmawiały, śmiały się. Moja matka ją uwielbiała. Miały ze sobą wiele wspólnego. Obie piękne i wesołe... I tak mijały lata. Fannie była ciągle z nami. Potem matka umarła. Fannie dorosła i wydawało mi się całkiem naturalne, że ożenię się właśnie z nią.

Ella miała nadzieję, że na jej twarzy nie widać zaskoczenia. A była zaskoczona, bo właściwie nie poznała powodów, dla których Harris ożenił się z Fannie. Kochał ją czy po prostu było mu jej żal? Naturalnie nie miała odwagi o to zapytać.

- Na co umarła twoja matka?

- Miała cukrzycę.

Ella głośno wciągnęła powietrze.

- I nie powiedziałaś mi o tym? Marion mogła odziedziczyć po niej tę chorobę! Harris skinął głową.

- Zgadza się. A wracając do matki. Była poza tym... alkoholiczką.

- W połączeniu z cukrzycą to właśnie mogło ją zabić!

- Tak naprawdę to zabił ją mój ojciec. Kiedy ją porzucił. Przedtem matka nie brała do ust kropli alkoholu. Nie smakował jej. Ale kiedy ojciec odszedł, nagle zaczęła pić.

- Dlaczego twój ojciec odszedł od was? Musiał być jakiś powód.

- Podejrzewam, że pieniądze, czyli nic oryginalnego. Ojciec był farmerem, hodował pomidory. Przez jakiś czas szło mu bardzo dobrze, ale potem sytuacja na rynku zmieniła się. Ojciec, zamiast przetrzymać gorsze czasy, dał po prostu nogę. Pewnego wieczoru wyszedł sobie. Na zawsze. Nigdy nie dał znaku życia. Żadnego listu, telefonu, nic.

- Bardzo wam współczuję.

- Współczuć należy przede wszystkim mojej matce. Siedziała przy oknie i czekała na niego. Światło na werandzie paliło się całą noc. Dla tego... Ech! - Harris potrząsnął głową. - Żałosne. W końcu do matki dotarło, że on nie wróci. Wtedy znalazła sobie pocieszenie. Żeby związać koniec z końcem, zaczęła po kawałku sprzedawać ziemię. Nie potrzebowaliśmy zbyt wiele, zanim wydaliśmy dolara, oglądaliśmy go wiele razy. Poza tym matka miała przerwy w picciu. To były szczęśliwe dni, kiedy po powrocie do domu zastawałem ją trzeźwą. Dom wysprzątany, pachniało obiadem. Modliłem się wtedy, żeby tak było zawsze. Niestety, kiedy już nabierałem nadziei, matka nagle wpadała w kolejny ciąg. Opiekowałem się nią, jak umiałem. Rano szykowałem jej jakieś jedzenie, po szkole gotowałem obiad.

- Twoja matka zaniedbywała cię. Powinni cię jej zabrać.

- Ona była moją matką. Kochałem ją. Oprócz niej nie miałem nikogo.

Ella zacisnęła usta, czując już znajome, gwałtowne przyspieszenie serca. Zbyt dużo poznała takich właśnie matek. Na ostrym dyżurze. Takich matek, jak matka

Bobby'ego, narkomanka. Podrzuciła dziecko do szpitala i szybko zniknęła, powłócząc nogami...

- Sama miłość to nie wszystko. Potrzeby dziecka są ważniejsze niż potrzeby matki.

- Ale mnie wcale nie było źle! Dawałem sobie radę, a matce trzeba było pomóc. Przecież miała cukrzycę.

- Czyli powoli się zabijała.

- Chyba nie zależało jej na życiu.

- A na tobie?

- Oczywiście, że tak! Ty widzisz w niej tylko to, co złe. A matka była bardzo miłą osobą, łagodną i inteligentną. To nie jej wina, że urodziła się z dwiema okropnymi chorobami, które rządziły jej życiem.

- Bo do tego dopuściła. Nie musiała pić. Mogła spróbować być lepszą matką.

- Ty tego wszystkiego nie widziałaś! Nie widziałaś, jak to było, kiedy on odszedł. Nie widziałaś jej twarzy. Powiedziałem ci. To ją zabiło.

- Oczywiście nie znałam twojej matki, ale poznałam wiele podobnych do niej kobiet. Może ich historie były trochę inne, ale skutek taki sam. Zawsze ucierpiało dziecko. Ty też na tym ucierpiałeś.

Podniosła rękę, chciała położyć dłoń na ramieniu Harrisa, ale zrobił unik.

- Wcale nie było mi tak źle - powiedział ze złością.

A ona usłyszała nagle głos Bobby'ego:

„Proszę, nie gniewaj się na moją mamę”.

Dlatego nie dyskutowała już z Harrisem. Nie dlatego, że to on miał rację. Wcale tak nie uważała, ale nie chciała zrażać go do siebie. Teraz, kiedy po raz pierwszy otworzył się przed nią, opowiedział o takich bolesnych sprawach.

Ponad wodą niósł się cienki, przenikliwy krzyk rybołowa. Oboje spojrzeli w tamtą stronę. Na gałęzi nad gniazdem siedział samiec, w szponach trzymał lśniącą, moką rybę. Z tą swoją czarną opaską na głowie wyglądał jak bandyta. Potężnym dziobem rozszarpał rybę. Samica stała w gnieździe i patrzyła, jak jej towarzysz się posila. W końcu nie wytrzymała. Wydała z siebie gwizd, pełen żalu. Samiec dziobnął jeszcze kilka razy i rzucił jej resztki do gniazda.

- Gość w porządku - powiedział z aprobatą Harris.

Kiedy odprowadzał wzrokiem odlatującego na nowe łowy samca, Ella nie odrywała od niego oczu. On też jest przywiązany do swojego terytorium. Troszczy się o rodzinę.

Czy jest również monogamiczny? Czy rozwiódł się z Fannie?

- A co stało się z Fannie? - spytała, choć zdawała sobie sprawę, że stanowczo powinna odejść od tego tematu. - Słyszałam, że ona... że ona też ma swój nałóg. Czy dlatego wyjechała?

Harris zaśmiał się, krótko i gorzko.

- Ciekawi cię jeszcze jedna historia o uzależnionej kobiecie?

- Jeszcze jedna historia o tym, jak ty opiekowałeś się uzależnioną kobietą. Nic dziwnego, że twoja matka i Fannie tak dobrze się rozumiały. Były jak ptaki z jednego gniazda. Podejrzewam, że Fannie, kiedy opiekowała się twoją matką, pozwalała jej pić.

Harris zbladł.

- Nikt nie mógł jej powstrzymać. Jak chciała pić, to piła.

- A skąd brała alkohol? Mówiłeś, że nie wychodziła z domu.

- Alkoholik zawsze wykazuje się nadzwyczajną pomysłowością. Przekabaci bliskich znajomych, dostawców, wciskając im kilka dodatkowych dolarów. Każdego. Fannie też się złamała, na pewno. Ile to razy wylewałem to świństwo do zlewu. Ale matka zawsze wytrzasnęła skądś nową butelkę.

- Piła dalej, a ty jej na to pozwalałeś.

- Co?!

- W końcu to ty rządziłeś domem. Ona piła, a ty jej w tym nie przeszkadzałeś.

Rozumiesz?

- Rozumiem! Nie jestem idiotą! I dalej uważani, że ty nie wiesz, o czym mówisz!

- Wydaje mi się, że jednak wiem. I dlatego powiem ci coś jeszcze. Marion ma tę samą chorobę, co twoja matka, ale nie jest taka jak ona ani taka jak Fannie. Kiedy obserwuję twój stosunek do dziecka... Wyczuwa się w tobie lęk. Bagaż doświadczeń, prawda? Niepotrzebnie się boisz. Marion to ktoś całkiem inny. To nowy człowiek...

- Wcale się nie boję, że moje dziecko będzie podobne do swojej babki czy matki! Nie o to chodzi...

Twarz Harrisa ściągnięta była nagłym bólem. Zacisnął usta, spojrział w dal, gdzieś ponad strumieniem. Dopiero po chwili odezwał się cichym głosem:

- Boję się, że ona umrze.

- Co ty wygadujesz!

Położyła rękę na jego ramieniu. Tym razem nie poruszył się.

- Cukrzyca młodzieńcza jest groźną chorobą. Nie potrafimy jeszcze wyleczyć z niej całkowicie. Ale, na litość boską, leczyć potrafimy! Owszem, zawsze mogą pojawić się jakieś komplikacje, ale im lepsza opieka, tym większa szansa, że uniknie się poważnych problemów. Marion jest cudownym, pełnym życia dzieckiem...

Nagle pod wodą zasrebrzyło się, jakby tuż pod jej powierzchnią przepływały dziesiątki małych torped.

- Są! - krzyknął Harris. Zerwał się na równe nogi i pognął do torby, po sieć. - Płyną do przynęty!

- A mój spławik drgnął!

Woda marszczyła się od ruchu niezliczonych kielbów. Kilka z nich nawet wyskoczyło z wody. Wszystkie uwijały się wśród kawałków przynęty, znikających w błyskawicznym tempie.

- Cofnij się! - zwołał Harris i jednym zręcznym, płynnym ruchem zarzucił sieć na wodę. - W porządku! Mam kilka!

Zaczął ciągnąć sieć do pomostu. Ella mu pomagała.

- Ile ich jest?

- Mnóstwo. Daj tu wiadro!

W sieci miało się co najmniej dziesięć dorodnych kielbi, niektóre z nich długie prawie na pół metra. Harris wylapywał po jednym i wrzucał do wiadra z wodą.

- Zobacz! - krzyknęła Ella, mknąc z powrotem na koniec pomostu. - Mój spławik naprawdę drgnął!

- Świetnie! Ciągnij, ale niezbyt gwałtownie!

Podniósł głowę i patrzył, jak Ella, zarumieniona z przejęcia, odchyła się z wędką. Jednocześnie z wody wynurzyła się piękna srebrzysta ryba i z głuchym odgłosem wylądowała na pomoście.

- Złowiłam! - wykrzyknęła triumfalnie. - Mój jest największy!

- Oczywiście! - przytaknął Harris, podchodząc z wiadrem. - Oczywiście, że największy! Każdy tak mówi. A im dłużej mówi, tym ryba robi się coraz większa.

Śmiali się oboje. Napiecie, towarzyszące ich poważnej i trudnej rozmowie, znikło. Było jak po burzy. Powietrze wydawało się jeszcze bardziej czyste, bardziej świeże niż przedtem.

Harris wyniósł ryby na brzeg, ponacinał skrzela, żeby się wykrwawiły, potem pokazał Elli, jak sprawia się rybę.

Kiedy skończyli, powkładali ryby do lodówki, opłukali ręce w strumieniu, po czym oboje, rozsiewając wokół siebie upojny zapach ryb i mokradeł, ruszyli w drogę powrotną do domu.

RS

*Sokoły: maszyny do latania. Sokół ma długie, nakrapiane skrzydła i długi ogon, dzięki czemu potrafi wspaniale manewrować w powietrzu. Charakterystyczne dla niego są też czarne bokobrody po bokach głowy. Sokół to najszybsze stworzenie na świecie. Wielkie sokoły, pikując do ofiary, osiągają zawrotną prędkość. Do sokołów zaliczamy sokoła wędrownego, drzemlika i amerykańską pustułkę.*

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Słońce wykonało swoją robotę i osuszyło pola. Wiatr przegonił chmury nad ocean. Było cudne ciepłe popołudnie, które Brady spędzał na przycinaniu żywopłotu. Póki nie zjawiał się przy nim Lijah.

- Chodź ze mną, chłopcze.

Brady skwapliwie odłożył sekator. Wiedział już przecież, że kiedy Lijah chce mu coś pokazać, zawsze jest to coś godnego uwagi. Tym razem Lijah zaprowadził go na wielkie pole, przylegające do ośrodka. Na środku pola stało kilka dużych żerdzi, ustawionych w kształcie litery A. Brady dostrzegł Maggie i Harrisa, natychmiast też rozszyfrował ptaka, usadowionego na ręku Harrisa. Lśniący szary sokół PEFA 14. Palce i dłoń Harrisa oplecione były cienką skórzaną smyczą.

Lijah razem z Bradym stanęli w cieniu pod starym dębem i Lijah, spojrzawszy na chłopca, skinął głową. Jakby mówił: teraz popatrz sobie, synu, bo naprawdę warto. Brady, oczywiście, był bardzo ciekaw, co teraz nastąpi, jednocześnie jednak pełen dystansu, jak zwykle, do wszystkiego, co robił Harris Henderson. Bo Harris ostatnio wyżywał się na nim jeszcze bardziej. Co chwila przydzielał jakąś robotę i zawsze przychodził skontrolować Brady'ego. Po prostu siedział mu na karku.

Teraz szedł z sokołem przez pole. Brady najpierw cicho prychnął. Lekceważąco. Ale potem zapatrzył się. Harris szedł pewnym krokiem, wydawało się, że sokół jest przedłużeniem ręki człowieka.

Podszedł do żerdzi na środku pola, przywiązał linkę do PEFA 14, potem wyciągnął rękę do żerdzi. Sokół szybko przestąpił na żerdź i natychmiast odwrócił się do Harrisa. Człowiek i ptak przez moment patrzyli na siebie. Jakby coś ze sobą ustalali. Potem Harris odwrócił się i odszedł kilka metrów dalej. Zatrzymał się przy stojącej na ziemi płóciennej torbie i odwrócił się do ptaka plecami. Maggie ustawiła się przed PEFA 14, zasłaniając mu całkowicie widok na Harrisa. Sprawdziła, czy jest dostateczny luz między zwojem liny a rzemykami. Sokół przestąpił z nogi na nogę i rozłożył nakrapiane skrzydła. Gotów do lotu.

Harris nie spieszył się. Wyjął z torby wabidło, czyli gumową imitację ptaka-ofiary na lince. Przymocował do wabidła kilka kawałków mięsa, potem sprawdził długość linki, sprawdził też, czy linka łatwo przesuwana mu się przez dłoń i kilkakrotnie zakręcił wabidłem.

- Możesz odejść, Maggie!

Maggie odeszła na bok, a Lijah szepnął:

- No to zaczynamy...

Harris przez chwilę stał nieruchomo przed sokół. W rękę wabidło na lince. Ptak był w pozycji wyjściowej, gotów do latania.

- Ho! - krzyknął głośno Harris. Wyrzucił wabidło w powietrze i zaczął zataczać nim szerokie kręgi. Sokół natychmiast wzbił się w powietrze. Maggie biegła tuż pod nim. Jeszcze sekunda i sokół, z nogami wysuniętymi do przodu, jak kamień spadł na wabidło. Chwycił je w szpony, sfrunął na ziemię i zaczął raczyć się zdobyczą. Harris pozwolił ptakowi zjeść mięso do końca, potem położył rękę na wabidle. Ptak natychmiast przestąpił na jego rękę.

Harris powtarzał ćwiczenie kilkakrotnie, za każdym razem pozwalając sokołowi złapać wabidło w powietrzu.

- I co o tym sądzisz? - spytał Lijah.

Oczy Brady'ego błyszczały. Odpowiedź, oczywiście, była prawie lekceważąca.

- Może być. Wydaje mi się, że to nic trudnego. Lijah chrząknął.

- Myślałem, że ci się spodoba.

- Spodobało mi się. Chyba też bym to potrafił.

- Tak sądzisz?



- Jasne. Macha sobie człowiek tą zabawką, a ptak leci za żarciem. Normalny odruch Pawłowa. Żadna sztuka.

- Tylko zabawa, tak? Jeśli tak uważasz, to znaczy, że nie masz podstawowej wiedzy o ptakach drapieżnych.

Brady wbił ręce do kieszeni. Pracował pod kierunkiem Lijaha od kilku miesięcy. Stary człowiek nauczył go bardzo dużo. Uczył go nazw drapieżców, opowiadał o terytoriach, pożywieniu, charakterze i wielu innych rzeczach. Pogadał z Harrisem, żeby Brady'ego dopuścić do ptaków. A teraz ten sam Lijah potraktował go lekceważąco. Co zabolalo, bardzo.

Harris odniósł sokoła do woliery, Maggie wyniosła następnego ptaka. Też sokoła, ale o wiele większego. Ten ptak nie miał na głowie karnala i rozglądał się po polu, jakby to było jego terytorium.

- Temu to nic nie umknie - powiedział do Lijaha pojednawczym tonem.

- Tak jest z nimi wszystkimi.

- A dlaczego on nie jest uwiązany?

- Bo to Risk. Jest tu już bardzo długo, wie, co robić. Ten poprzedni, PEFA 14, dopiero się uczy. Gdyby nie był na uwiezi, mógłby odfrunąć. - Lijah zaśmiał się. - W końcu one wszystkie potrafią latać!

- A dlaczego tego nie robią?

- Bo wolą zostać. Drapieżcy nie uda ci się wytresować, jak na przykład psa. Psy chcą sprawić ci przyjemność. A drapieżca? Gdzie tam! Jest dumny, niezależny. Nigdy nie nauczysz go posłuszeństwa. Możesz go tylko poprosić. Kiedy pracujesz z drapieżcami, musisz być przede wszystkim pokorny.

- Pokorny?!

- Tak. Człowiekowi niełatwo jest się tego nauczyć. A musi, bo dla ptaka drapieżnego nigdy nie będzie mistrzem. Tylko uczniem. Człowiek musi nauczyć się zachowań jastrzębia, starać się poznać jego duszę. Teraz otwórz, synu, szeroko oczy i patrz uważnie. Harris nie tresuje tego ptaka. On z nim pracuje. Uważa, żeby za bardzo go nie zmęczyć. Obserwuje niebo, żeby nie narazić go na żadne niebezpieczeństwo. Są partnerami, rozumiesz?

Przez długą chwilę stary człowiek nie odrywał od Brady'ego oczu, jakby chciał się upewnić, że chłopak pojął, o co chodzi.

- W porządku - powiedział Brady. - Załapałem.

Harris posadził sokoła na żerdzi. Risk potrząsnęła piórami ogona.

Przymocowany tam dzwoneczek zadźwięczał cicho. Risk znieruchomiała.

Maggie ustawiła się blisko ptaka, Harris odszedł spory kawałek. Tym razem nie wymachiwał wabidłem. Tylko zagwizdał, głośno, czysto. Sokół rozpostarł skrzydła i jak strzała pomknął ku niebu.

Zrobił jedno okążenie, potem drugie. Jakby czekał na znak.

- Ho! - zawołał Harris i wyrzucił wabidło daleko w powietrze.

Sokół jeszcze raz zatoczył koło, w tył i przypikował. Szpony wysunięte do przodu, gotowe pochwycić zdobycz. Jednak w ostatnim ułamku sekundy Harris cofnął wabidło. Risk wzbiła się znów w przestworza. Harris odczekał chwilę i znów wyrzucił wabidło w powietrze. To ćwiczenie powtarzał też kilkakrotnie. Za każdym razem pozwalał sokołowi zbliżyć się do zdobyczy o centymetr, potem szybko cofał wabidło. Czasami wabidło zbliżało się do ziemi, czasami Harris kręcił młynka nad swoją głową. Za każdym razem sokół krążył, potem przygarbiał się i spadał na wabidło. A ono znowu mu uciekało.

To wszystko razem wyglądało jak jakiś niesamowity taniec. Ptaka i człowieka. Popis umiejętności, odwagi i szybkości.

Brady stał nieruchomo, jak sparaliżowany. Tylko patrzył.

Za którymś razem Harris nie cofnął wabidła. Risk chwyciła je w szpony i zniosła na ziemię.

Wtedy Lijah podszedł do Harrisa i zaczął coś mu klarować. W pewnym momencie Harris odwrócił się i dał Brady'emu znak głową. Żeby podszedł. Brady podszedł, jak to on, niespiesznie. Harris zawsze go wnerwiał. Wielki szef. Ale tym razem Brady miał wrażenie, że w spojrzeniu Harrisa jest mniej antypatii niż zwykle.

- Lijah powiedział, że jesteś pod wrażeniem - powiedział Harris.

- Tak. Podobało mi się.

- Chciałbyś się tego nauczyć? Oczy Brady'ego rozbliły.

- Jasne!

- Dobrze wiesz, że brakuje nam wolontariuszy. Maggie potrzebuje pomocy do opieki nad ptakami rezydentami. Trzeba je karmić i czyścić klatki, poza tym ćwiczyć z nimi. Te ptaki potrzebują ruchu.

Brady nie wierzył własnym uszom.

- Czy ja... ja też będę z nimi ćwiczył?

- Z czasem. Najpierw będziesz musiał bardzo dużo się nauczyć. Oczywiście, nadal pracujesz społecznie pod kierunkiem Lijaha. Przy rezydentach pracowałbyś jako wolontariusz.

- Oczywiście. Rozumiem. Nie ma sprawy.

- Poświęcisz na to jeden dzień. Czyli w sumie będziesz zjawiał się w ośrodku przez trzy dni. Czy to jasne?

- Tak. Oczywiście! - Brady stanął prawie na baczność. - Będę przyjeżdżał tu trzy razy. Ja od dawna chciałem być wolontariuszem. Ale myślałem, że pan mi na to nie pozwoli. Harris spojrzał na Lijaha.

- Co do tego faceta chyba miałeś rację.

- A czy ja kiedykolwiek nie miałem racji, szefie? - spytał z uśmiechem stary człowiek.

- A co ci ta ręka tak lata? - spytała Clarice.

Brady poderwał głowę znad kawałka linki przywiązanej do kółka przy szkolnej torbie. Nie musiał patrzeć, robił to już na ślepo. Palce błyskawicznie zawiązywały na lince wymyślny węzeł. Zdawał sobie sprawę, że trochę się popisuje. Ale jeśli Clarice będzie pod wrażeniem, to czysty zysk.

- Ćwiczę węzeł sokolnika - wyjaśnił, dumny już z samego faktu, że ma pełne prawo użyć tego terminu. - Harris powiedział, że trzeba to robić jedną ręką. Bo na lewej dłoni, zaciśniętej w pięść, siedzi przecież ptak. O, tak! - Brady uniósł trochę lewą rękę z butelką po coli. - A teraz uważaj.

Poszperał w torbie i wciągnął rękawicę sokolnika. Z kremowej skóry, sięgała prawie do łokcia. Brady'ego nigdy by nie było stać na kupno takiej rękawicy. A Harris mu ją podarował. Pasowała jak ulał. Kiedy Brady ją założył, poczuł się jak prawdziwy sokolnik.

Palce prawej dłoni Brady'ego znów się poruszyły ze zręcznością magika.

- Nieźle, co? - spytał, demonstrując perfekcyjny węzeł sokolnika.

- Nieźle... - mruknęła Clarice. - Puszysz się jak ten kogut!

Brady roześmiał się.

- Nic dziwnego. Zdażyliśmy się już skumplować. Co nie, stary?

Spojrzał w górę, na koguta, który siedział dokładnie nad tabliczką „Droga zamknięta” przymocowaną do bramy ośrodka. Kogut spojrzał na niego, tak samo beznamiętnie jak zawsze.

- Widzisz? On zgadza się ze mną. Prawdziwy kumpel.

Brady wyciągnął nogi i oparł się na łokciach. On i Clarice siedzieli na grubym kocu rozłożonym pod starą sosną. W ciągu ostatnich miesięcy spędzili tu niejedno popołudnie. A dziś lekcje w szkole Lincolna skończyły się wcześniej. Brady i Clarice postanowili zjeść razem lunch, potem oboje mieli popołudniową zmianę w ośrodku.

Komary cięły, koc od wilgotnej ziemi powoli też zaczynał się robić wilgotny. Ale i tak dla Brady'ego dzień był piękny. Miło jest, kiedy wiosenne słońce świeci ci prosto w twarz, miło słuchać głosu Clarice.

- A więc Maggie i Harris wzięli cię do sekcji ptaków rezydentów? Myślałam, że zostaniesz dłużej przy klinice....

- Nie ma mowy. Jeden z moich przodków musiał być sokolnikiem, bo nieźle mi idzie.

Zerknął na nią spod oka. Wcale się nie śmiała, a matka, kiedy to usłyszała, śmiała się i powiedziała, że zwariował.

- Czuję, jakby u mnie wszystko się zmieniało, wiesz?

Clarice uśmiechnęła się, delikatnie nabierając na łyżeczkę jogurt z truskawkami.

- Sam sobie wszystko zmieniasz, Brady. Przecież widzę. Wydaje się, jakbyś był w ośrodku od zawsze.

- Tylko trzy razy w tygodniu. Gdybym mógł, byłbym częściej.

- Ale nie możesz! W ogóle o tym nie myśl. Musisz się uczyć, Brady. Narobiłam się jak głupia, żeby ci pomóc i jeśli jutro podczas tego testu nie zablęśniesz, odpowiesz mi za to, chłopcze!

- Jesteś prawdziwą marzycielką, Clarice! Dziewczyna zmrużyła oczy, Brady zaśmiał się.

Uwielbiał drażnić się z Clarice.

- W porządku, w porządku - powiedział. - Będzie dobrze. Zadowolona?

- Będę zadowolona, jeśli uda ci się zdobyć na testach ponad tysiąc sto punktów. Jak wczoraj poszedł ci test z historii?

- Osiemdziesiąt dwa punkty.

- Nieźle.

Do tego testu naprawdę zakuwał. Musiał. Gdyby nie wyszedł ponad przeciętną, nie zaliczyłby semestru. A tylko Clarice wiedziała, że Brady zmienił zdanie co do college'u. Poszła z nim do szkolnego pedagoga i Brady dowiedział się, że jeśli poprawi oceny, na pewno znajdą się dla niego jakieś pieniądze.

- Przed testami zjedz porządne śniadanie. Coś z proteinami, stek albo hamburgera. Żebyś miał dużo siły. Do tego cola. Kofeina daje porządnego kopa. To moja recepta na sukces. Pracujesz z tymi planszami, które ci dałam?

Brady jęknął.

- Tak!

- Nie masz prawa jęczeć! Gdybyś w ciągu ostatnich lat przeczytał choć kilka książek, twoje słownictwo byłoby bogatsze. A słownictwo to podstawa, jeśli chcesz zaliczyć angielski. Musisz...

W tym momencie zachrzącił żwir. Zza zakrętu wyjeżdżał stary, zardzewiały pikap.

Brady zaklął cicho.

Pikap zatrzymał się. Brady wiedział doskonale, kto z niego wysiadzie. Jego najlepszy kumpel, Manigault Preston, czyli Manny, oraz Nate.

Pierwszy wyskoczył z samochodu Manny. Podsunał nonszalancko okulary przeciwsłoneczne na czoło i wycedził:

- Proszę, proszę... I kogo my tu widzimy.

Zaraz po nim z samochodu wysiadł rudy kędzierzawy Nate i obaj chłopcy przeszli przez otwartą bramę.

Brady wstał z koca i podszedł do kumpli.

- Cześć! - powitał ich chłodno. - Co tu robicie?

- O to samo chcielibyśmy zapytać ciebie - powiedział Manny. - Miałeś spotkać się z nami w „SeeWee”. Zapomniałeś?

- Nie pierwszy raz - dodał Nate. - Nie masz dla nas czasu, ale teraz przynajmniej wiemy, dlaczego. Może przedstawisz nas swojej dziewczynie? Jenny też bardzo chętnie by ją poznała...

- Wyluzujcie, chłopaki. To moja kumpelka.

- Ależ oczywiście! Kumpelka! A nam mówiłeś, że pracujesz przy ptakach! Hej, hej! - Pomachał ręką do Clarice. - Jestem Manny, a to mój koleś, Nate. Jak się nazywasz, laleczko?

- Nie jestem żadną laleczką - oświadczyła lodowatym głosem Clarice.

- O, proszę! Gadająca lalka! Clarice chwyciła swoją torebkę.

- Pójdę już, Brady.

- Poczekaj! - zawołał Brady, dając jej znak ręką. - A więc, chłopaki! Clarice i ja pracujemy razem w ośrodku dla ptaków drapieżnych. Jesteśmy kumplami. Dotarło? A teraz spadajcie stąd. To nie miejsce dla was.

Uśmiech na twarzy Manny'ego stężał.

- Słyszałeś, Nate? Miejsce nie dla nas! I ty, Brady, mówisz to nam, swoim kumplom?

- Co? Nie podoba się? - rzucił Brady. - Chcesz mi dołożyć? Tylko spróbuj!

Manny zrobił krok w kierunku Clarice, Brady natychmiast zatarasował mu drogę. Manny uniósł brwi, ale Brady nie ruszał się z miejsca. Stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami i patrzył Manny'emu prosto w oczy.

- Jedź już, Clarice - zawołał. - Spotkamy się później.

Clarice, przyciskając do siebie torebkę, zgarnęła z ziemi koc i ich kurtki. Wepchnęła sobie to wszystko pod pachę i podeszła szybko do swojego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie drogi.

Brady słyszał, jak trzasnęły drzwi i Clarice zapaliła silnik. Odetchnął z ulgą i podszedł do bramy.

Za sobą słyszał przyciszone głosy kumpli.

- Ty, Nate! Widzisz tego pieprzonego koguta na bramie?

- Ale numer!

- Nie zwracaj na nich uwagi... - szepnął Brady. Stał przy otwartej bramie, czekając, aż Clarice wyjedzie. Kiedy go mijala, spojrzała na niego zmartwionym wzrokiem. Samochód zniknął za zakrętem. Manny i Nate przekroczyli bramę.

- Ej, Brady, może w końcu powiesz, co to było za przedstawienie?

- O co chodzi?

- Kurde! Przecież wiesz! To zgrywanie się na macho. Rozumiem, że chciałeś zrobić wrażenie na tym kawałku brązowego cukru, ale to nie znaczy, że masz olewać swoich kumpli!

- Ale to znaczy, że macie się od niej odwalić, jasne? To porządna dziewczyna. Idzie do college'u.

- Ej, chłopaki! - zawołał znudzonym głosem Nate, podchodząc do ciężarówki. - Jedziemy czy jak?

- Dokąd jedziecie? - spytał Brady.

- Zapomniałeś? Mieliśmy razem jechać na polowanie. Dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem? Odpada. Dziś po południu pracuję tutaj, a jutro mam testy SAT.

Manny jęknął.

- A na cholerę ci te testy? Brady, nie świruj! Jedź z nami. Mamy ze sobą piwko, trochę mięsa. Spotykamy się całą paczką u Willarda.

Brady z wielką chęcią pojechałby z nimi. Od dawna nie jeździł z kumplami. Ani na ryby, ani na polowanie.

- Dziś nie mogę. Innym razem.

W końcu zaskoczyli. Manny machnął na Nate'a. Wsiedli do zdezelowanej ciężarówki i odjechali. Ciężarówka zniknęła za zakrętem. Brady został sam, z dziwnym uczuciem, jakby z jego życia coś ubyło. Jakby tych dwóch kumpli, którzy odjechali, zniknęło z jego życia na zawsze.

***Gody.** Ptaki drapieżne zalecają się w sposób bardzo wyszukany. Przede wszystkim popisują się w locie. Taniec w przestworzach z efektownym machaniem skrzydłami to demonstracja siły. Samiec przynosi też swojej wybrance pożywienie, dając tym gestem do zrozumienia, że będzie w stanie wyżywić całą rodzinę przez cały długi, trudny okres lęgowy. Podczas zalotów między samcem a samicą nawiązuje się więź. Ptaki łączą się w pary. U niektórych drapieżców, jak orły czy rybołowy, jest to związek na całe życie.*

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Barwy wczesnego poranka przytłumiała delikatna mgła. Harris wyszedł z domu i zbiegł po mokrych od rosy drewnianych schodkach. Szedł na poranny obchód i wcale nie czuł się rześko. Bo taki był ten maj. Przesycony zapachem wiosennych kwiatów, a jednocześnie parny i zwałający z nóg.

Spojrzał w niebo, na szare chmury. Niepokojące, a przecież zapowiadano jasny, bezdeszczowy dzień. Dlatego on i Ella zaplanowali na dziś wyprawę nad rzekę Santee, żeby wypuścić na wolność parkę puszczyków wirginijskich.

Wszedł między woliery rezydentów. Większość ptaków siedziała skulona na żerdziach, czekając na słońce. Nagle Harris usłyszał wyraźnie słodki głosik Marion.

- Cześć, wrono!

Przystanął i rozejrzał się. Głos wyraźnie dobiegał z woliery dla wron. Mała Wrona siedziała na żerdzi bardzo blisko siatki.

- Marion! - zawołał Harris.

Żadnej odpowiedzi. No tak, Marion była u Maggie, miała zostać tam na noc. Po prostu mu się wydawało. Znów zaczął iść. I znów usłyszał słodki głosik.

- Cześć, wrono!



Odwrócił się błyskawicznie. Tym razem był pewien, że nic mu się nie przesłyszało.

I znów zobaczył tylko Małą Wronę.

Wtedy go olśniło. Marion przecież mówiła, że uczy mówić Małą Wronę. On, oczywiście, próbował jej wytłumaczyć, żeby nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei. Ale Marion zdecydowanym głosem - w tym momencie bardzo przypominała Elle - oznajmiła, że skoro Lijah powiedział, że się uda, to tak będzie.

Faktycznie, udało się! Do domu Harris wracał rozpromieniony. Jego nastrój jeszcze się poprawił, kiedy zobaczył na ganku Elle.

- Dzień dobry - powiedziała zaspanym głosem.

- Przyniosłam ci kawę.

Wręczyła mu kubek i spojrzała w niebo.

- Niedobrze. Chyba będzie padać. Nadal chcesz tam jechać?

Harris wypił łyk kawy i zastanowił się przez moment. Termin wyprawy ustalili jakiś czas temu, wybierając dzień, kiedy w klinice jest trochę luzu. Poza tym ówczesne prognozy zapowiadały w tym okresie naprawdę ładną pogodę, dlatego po wypuszczeniu puszczyków na wolność chcieli zrobić sobie wycieczkę. Popłynąć kanoe w dół rzeki Santee. Marion miała zostać u Maggie, osoby, którą oboje darzyli największym zaufaniem. Jednym słowem, wszystko było zapięte na ostatni guzik. I nie wiadomo, kiedy trafi się następna okazja...

- Jedziemy!

Twarz Elli pojaśniała.

- Miałam nadzieję, że to właśnie powiesz. To co, pakujemy się?

Załadowali kanoe na ciężarówkę, sprzęt włożyli do świecącej srebrzystej skrzynki na narzędzia. Puszczyki wsadzono do specjalnych pudeł do transportu i umieszczono je w szoferce. Ella zapakowała lunch, dużo zimnych napojów, balsam do opalania oraz spray odstraszający komary.

Kiedy jechali na północ, ku rzece Santee, chmury na niebie pojawiały się i znikaly. Popijali kawę, słuchali radia. Rozmawiali niewiele. Zdążą się jeszcze nagadać, mają przecież przed sobą cały dzień.

Ella zerknęła na Harrisa i uśmiechnęła się. Harris w czapce bejsbolówce, spod której wymykały się kosmyki brązowych włosów. Postukiwał rytmicznie palcami o kierownicę. Na pewno nucił sobie w duchu jakąś piosenkę. Miło widzieć Harrisa tak zrelaksowanego.

Cudownie. W sumie to nieważne, czy będzie padać, czy nie.

Godzinę później zjechali z autostrady na drogę wijącą się wśród szpaleru drzew o ciemnej korze i sękatych konarach, już w aureoli wiosennej zieleni. Ciemne gałęzie zamykały się nad ich głowami jak zebra wieloryba. Ta droga przywiodła ich nad rzekę Santee. Kiedy samochód zatrzymał się, Ella od razu wyskoczyła z szoferki, podeszła do brzegu i spojrzała na rzekę. Na bezmiar czarnej wody na tle niebieskiego nieba.

- Pięknie tu.

- Tak. Ile razy tu przyjeżdżam, zawsze zachwyca mnie uroda tego miejsca. A po tych deszczach poziom wody w rzece podniósł się. Nie musimy się martwić, że łódź będzie ocierać się o dno.

- Przyznam się, że jestem trochę spięta. W Vermoncie kilka razy pływałam kanoe, ale to było jednak przed laty. Poza tym u nas wody w rzekach są klarowne, nie takie czarne jak tutaj. I nie ma w niej aligatorów.

- Aligatory? Nimi się nie przejmuj. One boją się ludzi. Jeśli już mamy się czegoś bać, to wodnych mokasynów.

- Świetnie! Dziękuję, że mi o tym łaskawie powiedziałaś.

Harris zaśmiał się i objął ją ramieniem.

- Nie martw się. Spędzimy wspaniałe chwile. Tylko ty, ja i rzeka.

Teraz bardzo często pozwalał sobie na takie miłe gesty. Brał ją za rękę albo, tak jak teraz, obejmował ramieniem. Po ich wspólnej wyprawie na ryby czuł się w jej towarzystwie o wiele swobodniejszy. Jakby tamtego dnia przekroczyli jakąś granicę.

- A teraz wypuścimy ptaki - powiedział. - Lepiej zrobić to wcześniej, kiedy jest jeszcze wystarczająco chłodno.

Wyjęli z szoferki pudła z ptakami i zanieśli je do lasu, na polanę, która wydała im się odpowiednia. W tym właśnie lesie puszczyki zostały znalezione. Postawili pudła na miękkim runie z mchu i zbutwiałych liści. Ella nałożyła rękawice i otworzyła

kłapę swego pudła. Młody puszczyk natychmiast zaczął ostrzegawczo kłapać dziobem.

- Wszystko w porządku, mój mały - powiedziała miękko, wsuwając ręce do pudła. - Ojej!

Puszczyk przestał kłapać i zaczął z pasją dziobać jej grubą rękawicę.

- Chłopak ma prawidłową postawę życiową - stwierdził Harris, otwierając drugie pudło. Drugi dziób, oczywiście, też natychmiast zaczął kłapać.

Harris zręcznie wyjął puszczyka z pudła. Teraz stali oboje, Ella i Harris, każde z nich z puszczykiem w ręku. Ella po raz pierwszy wypuszczała ptaka na wolność. Czowała się tym bardzo poruszona, puszczyki - w końcu co im się dziwić - na pewno jeszcze bardziej. Rozglądały się czujnie dookoła tymi swoimi oczami jak żółte lampki. A w lesie cisza jak makiem zasiał. Miejscowe ptaki wyczuły nieproszonych gości.

Harris wyciągnął ręce przed siebie i rozprostował pace.

- Powodzenia, przyjacielu!

Puszczyk rozpostarł szerokie skrzydła, zatrzepotał. Wzbił się w powietrze i cichutko, jak to sowa, pofrunął ku rzece.

Niestety. Puszczyk, którego wypuścił Harris, był starszy. Mieli nadzieję, że oba puszczyki, przynajmniej na początku, będą trzymać się razem.

Ella z niepokojem spojrzała na młodszego, rocznego puszczyka.

- Chyba zdany jesteś już tylko na siebie, mój mały. Trzymaj się dzielnie!

Podobnie jak Harris, uniosła nieco ręce i rozprostowała palce. Puszczyk, choć młodszy i mniej zręczny, zatrzepotał skrzydłami, pragnąc jak najszybciej wyzwolić się z rąk człowieka. Jednak lot nowicjusza nie trwał długo. Pofrunął tylko do najbliższego dębu i usiadł na grubej gałęzi.

- Czy on sobie poradzi? - spytała Ella.

Była zmartwiona. W końcu pomagała odchowac tę sówkę. Na jej oczach puchaty kłębuszek zaczął porastać pięknymi piórami i pokazywać swój prawdziwy charakter. Karmiła ptaka kawałeczkami mięsa, potem pomagała mu przebrnąć przez tak zwaną mysią szkołę, kiedy w wolierze puszczyki uczyły się polować na żywe myszy. Puszczyk szkołę ukończył. Teraz musiał już sam radzić sobie w życiu.

Dwie sójki, usadowione na pobliskich gałęziach, zaczęły głośno skrzeczeć. Puszczyc nie ruszał się. To ośmieliło sójki. Jedna, potem druga, jak małe bombowce, ruszyły na młodą sówkę. Ptak zrobił unik i mocniej przywarł do gałęzi.

- On się po prostu boi!

- Całkiem możliwe. Sójki atakują go, bo wyczuwają w nim drapieżcę. W końcu on żywi się szczurami, myszami, królikami, no i innymi ptakami. Dlatego nikt go tutaj nie będzie witał serdecznie. Ale nie martw się, jeszcze chwila i mały je odpędzi. Posiedzi tu sobie do końca dnia, a o zmierzchu rozejrzy się za jakimś pożywieniem.

- Jesteś pewien?

- Nie na sto procent - przyznał uczciwie. - Nie zapominaj jednak, że natura ma swoje prawa. Musimy się z tym pogodzić. My wykonaliśmy nasze zadanie. Ptak wrócił na łono przyrody. Tak musi być. Przed powrotem do domu sprawdzimy, jak wygląda sytuacja. A teraz nie marnujmy czasu.

Wrócili do ciężarówki. Zdjęli z niej kanoe, ponieśli na brzeg i zepchnęli do czarnej wody. Ella trzymała kanoe, Harris wrócił do samochodu po wiosła i sprzęt. Przyniósł również obfite zapasy żywności.

- A co ty tyle tego nabrałaś? - gderał, upychając w kanoe małą turystyczną lodówkę. - Przecież wypływamy tylko na kilka godzin.

- Zabrałam wszystko, co bierze się na piknik. Między innymi gorącą zupę w termosie.

- Gorącą zupę? Przecież zapowiadali upał!

- Nie zawsze prognozy się sprawdzają. Przez ostatnie dni padało i było raczej chłodno. A poza tym w Vermoncie, kiedy człowiek wybiera się na wycieczkę wiosną albo jesienią, wie, że pogoda w każdej chwili może się zmienić. W każdym razie oprócz zupy, mamy jeszcze kanapki z serem i wędliną, trochę sałaty, parę jabłek i... - spojrzała na niego z uśmiechem - i deser. Ciasteczka czekoladowe. Pomyślałam sobie, że skoro Marion nie ma z nami, możemy trochę pogrzezzyć! Czyli w sumie wcale nie jest tego tak dużo. A ciężkie, bo wzięłam kilka butelek wody. Aha, i butelkę wina.

- Wina?!

- Przecież jesteśmy dorośli. Trochę wina ku pokrzepieniu. Dzięki temu, kiedy z powrotem będziemy płynąć pod prąd, popłyniemy z uśmiechem na ustach. Och, przestań być takim sztywniakiem!

- Ja? Sztywniakiem? Chyba żartujesz. A czy przypadkiem nie jest tak jak z tym kotłem, który Przyganiał garnkowi?

- Co?! Uważasz, że to ja jestem sztywniaczką?

Ella, niby pełna oburzenia, wydeła wargi, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Harris zaproponował:

- To może byśmy zjedli po kanapce?

- O, nie! Najpierw trzeba zapracować.

- Jasne! Nowa Anglia i ten wasz cały etos pracy! Ale trudno, nie będę dyskutował. Nakładaj kapok i wskakuj do łodzi. Pora zapracować na lunch.

Ella szybko nałożyła kapok i usadowiła się na początku wywrotnego kanoe. Harris zepchnął kanoe na wodę i wskoczył do łodzi. Trochę trwało, zanim zsynchronizowali swoje ruchy, tym bardziej że był to powód do śmiechu i żartów. W końcu udało się i popłynęli z prądem wijącej się rzeki. Raz szybciej, raz wolniej, żeby trochę pogadać. Było parno i głośno, zewsząd dobiegał śpiew ptaków. Brzegi porastały kwitnące derenie, wychylające się spoza majestatycznych, wiekowych cyprysów i dębów. Czasami coś plusnęło. Czyli obok przemykał jakiś płaz. Jaszczurka, żaba albo - nie daj Boże - aligator. Ella za każdym razem szybko odwracała głowę, niestety, za każdym razem widziała tylko pomarszczoną taflę wody.

Z tyłu słyszała niski głos Harrisa, który opowiadał jej o dziejach tej krainy. O tym, jak w 1526 roku przybyli tu Hiszpanie na swych potężnych statkach, a przez następne sto lat napływali tu również

Anglicy i Francuzi, tworząc pierwsze przyczółki Europy w Nowym Świecie. W 1729 roku Charleston był już bogatym portem morskim, na czym jedni się wzbogacali, inni pragnęli ich tego bogactwa pozbawić. Jak słynni piraci, Czarnobrody i Cezar. Harris opowiedział Elli o legendarnym Francisie Marionie, także o Christopherze Gasdenie, plantatorze, który umieścił na sztandarze słynne hasło „Nie depcz po mnie”, zagrzewające kolonistów do walki.

Od czasu do czasu Harris na moment przerywał swą opowieść, wołając:

- Popatrz tam!

Ella, oczywiście, natychmiast odwracała głowę, żeby na przykład wzruszyć się widokiem gromadki ślepych jeszcze sarniątek, skulonych pod drzewem. Kiedy zbliżało się południe, podwinęli rękawy, wystawiając ręce na słońce. Balsam do opalania przechodził z rąk do rąk, tak samo jak spray na komary. Niestety, na niebie pojawiało się coraz więcej złowrogich chmur i Ella zaczęła się po cichu zastanawiać, czy nie powinni wracać. Choć jednocześnie, wbrew wszystkiemu, nie traciła nadziei, że pogoda się utrzyma i cudowne chwile w towarzystwie Harrisa będą trwały i trwały...

Niestety, nadzieja rozwiała się jak dym, kiedy na czole poczuła pierwsze krople deszczu. Odbiły się od czoła i z cichusieńkim, lecz rozdzierającym serce „plum” połączyły się z wodą rzeki Santee.

- Ojej - jęknęła, ze zmartwioną miną spoglądając przez ramię na Harrisa.

- Szkoda - powiedział. - Miałem nadzieję, że zanim zacznie padać, zdążymy zjeść w plenerze lunch i spokojnie wrócić do samochodu. Niestety, coś za dużo tych chmur. Myślę, że powinniśmy jak najszybciej płynąć z powrotem.

Niebo wyraźnie czekało uprzejmie, aż dokończy swoją wypowiedź. Po czym zareagowało, serwując prawdziwą południową ulewę. Od razu zaczęło lać jak z cebra.

- Trzeba uciekać na ląd! - zawołał Harris. - Tam, na lewo, schowamy się za tą skałką!

Ella przez ścianę deszczu nie widziała nic, ani na lewo, ani na prawo. Strugi wody spływały jej po twarzy, ręce były jak z gumy. Wiosłowała jednak bohatersko, a Harris, walcząc z prądem rzeki, kierował łódź do brzegu.

- Zalewa nam łódź!

- Wiosłuj, Ello! Damy radę!

Dali. W końcu usłyszała, że dno kanoe szoruje o piach.

Jak dwa szczury rzeczne wygramolili się z łodzi i wciągnęli ją na błotnisty brzeg.

- O, Boże! Przecież tu nie ma gdzie się schować! - wykrzyknęła, przerażona.

- Spokojnie. Wyjmuj sprzęt, a ja coś wymyślę. Na szczęście, mamy brezentową płachtę.

Była wykończona, bliska łoż. Ale robiła, co kazał, zdając sobie sprawę, że najważniejsze teraz mieć coś nad głową. Cokolwiek.

To coś okazało się brezentową płachtą. Harris przerzucił ją przez gałąź sosny, zwisające brzegi przycisnął kamieniami. W ten sposób powstało coś w rodzaju małego namiotu. Wsunął tam szybko sprzęt, Ella przewróciła łódź do góry dnem.

Nagle gdzieś w oddali rozległ się złowrogi pomruk.

- Szybko! - zawołał Harris. - Zostaw to! Chodź tutaj!

Kiedy na klęczkach wchodziła do małego namiotu, pierwsza błyskawica przecięła niebo. Harris siedział na ziemi, na plecy zarzucił sobie cienki kocyk. Na jej widok otworzył ramiona. Drżącymi rękoma ściągnęła z siebie kapok i wsunęła się w jego objęcia.

- Zi...zimno mi - powiedziała, szcękając zębami. - Ten deszcz jest po prostu lodowaty.

- Takie ulewy zwykle nadchodzą nagle i równie nagle się kończą.

Wtem namiocik zalało niebieskie światło błyskawicy. Chwilę potem rozległ się ogłuszający huk pioruna. Ella krzyknęła.

- Och, nie! Burza jest dokładnie nad nami!

- Wszystko będzie dobrze, Ello. Nie ma się czego bać.

- Jesteś pewien? A jak piorun strzeli w drzewo? Może upaść na nas albo się zapalić... nas może też trafić. Mieliśmy pacjenta, który nawet nie został trafiony bezpośrednio, a miał spaloną wątrobę. Do dziś z nim kiepsko, ale i tak jest szczęśliwy, że żyje. Jeśli piorun trafi bezpośrednio, człowiek wygląda jak spalona grzanka.

- Szansa, że człowieka trafi piorun, jest bardzo mała. Nie martw się, przetrzymamy.

- Ale ja tak nienawidzę burzy. Nienawidzę!

- Naprawdę? A ja bardzo lubię burzę. Kiedy byłem dzieckiem, zawsze sobie liczyłem, ile czasu minie od ukazania się błyskawicy do uderzenia pioruna. Wtedy wiadomo, jak daleko jest burza.

- Wiem. Wszyscy to robią. Ja też liczę. Ze strachu.

Znów rozległ się złowrogi pomruk. Ella i Harris spojrzeli sobie w oczy, jakby zawierali milczące porozumienie i oboje zaczęli głośno liczyć.

- Jeden, tysiąc, dwa, tysiąc...

Niebieski zygzak na moment rozświetlił niebo.

- Bardzo blisko - szepnęła Ella. Harris zrobił zabawnie przerażoną minę.

- Moi rodzice zginęli podczas burzy. Twarz Harrisa natychmiast spoważniała.

- Bardzo mi przykro.

- Ten wypadek zdarzył się podczas burzy. Też padało, okropnie, jak teraz.

Miałam zaledwie pięć lat. Byłam u ciotek. Stałam w oknie, patrzyłam na błyskawice i czekałam. Czekałam na nich. Tak się o nich bałam...

Znów zagrzmiało, Ella kurczowo objęła Harrisa.

- Nienawidzę burzy - powiedziała zachrypniętym głosem.

- Nie bój się. Przy mnie na pewno nic ci się nie stanie.

- Och...

Małe dłonie Elli wsunęły się pod jego kurtkę i spoczęły na jego piersi.

- Nikt nigdy mi jeszcze tego nie powiedział - rzekła cicho. - Ani ojciec, kiedy byłam mała. Ani żaden mężczyzna, kiedy dorosłam...

- Bo sprawiasz wrażenie osoby, która sama świetnie daje sobie radę.

- Daję sobie radę, owszem. Ale każdy czasami chce, żeby ktoś inny za niego pomyślał.

Czuła, jak pierś Harrisa pod jej palcami uniosła się jeszcze bardziej. I opadła.

- Czujesz się samotna, Ello Majors?

Samotna? Jej mózg natychmiast sformułował odpowiedź. Tak, Harrisie, czuję się bardzo samotna. Od dawna, ale nigdy jeszcze nie odczuwałam tego tak mocno i boleśnie jak w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Kiedy nocą leżę w swoim łóżku i wiem, że ty leżysz sam w swoim łóżku, po drugiej stronie korytarza. Kiedy wiem, że ciebie kocham. Choć dla ciebie jestem tylko nianią Marion. Koleżanką z pracy. Osobą zaprzyjaźnioną.

Usta Elli poruszyły się, nie wydobyło się z nich jednak żadne słowo. Tylko szloch.

Ella Majors, która nigdy nie płakała, wczepiona w koszulę Harrisa zalewała się łzami.



Ten fakt doprowadzał ją do jeszcze większej rozpacz, ale niestety nie potrafiła się opanować. Płakała. Harris głaskał ją po głowie, odgarniał włosy z czoła, ocierał dłońmi mokre policzki. Cały czas cicho powtarzając jej imię.

W końcu płacz ucichł, oddech Elli wrócił do normy. Ostrożnie uniosła powieki i tuż przed sobą zobaczyła oczy. Oczy Harrisa, tak blisko, że można było utonąć w ich niebieskości.

Na ustach poczuła jego usta.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że jest zgubiona.

Jeden pocałunek, a od razu rozniecił największy płomień. Nie do opanowania.

Burza szalała. Wicher chłostał brezent, namiocik trząsł się i nadymał od porywów wiatru. Nad ich głowami jeden ogłuszający grzmot przewalał się za drugim, zapowiadając kolejną błyskawicę. Każda z nich rozświetlała na moment niebo i dwa nagie ciała, poruszające się zgodnym rytmem.

Ella nie czuła żadnego lęku. Była w ramionach Harrisa. Miała wrażenie, że w gorze świeci słońce, gorące, cudownie pieszcząc jej skórę. A ona została porwana przez prąd jakiejś rzeki. Rzeki czarodziejskiej, która niesie ją ku ciepłu, za którym tak tęskniła.

- Przepraszam. To nie powinno się zdarzyć.

Pierwsze słowa Harrisa, kiedy oboje ochłonęli po wybuchu namiętności.

Usiadł. Burza nadal trwała, ale przynajmniej przestało padać. Deszcz pozostawił po sobie wilgoć, ciężką jak wełniany koc. Ciszę wokół namiotu co jakiś czas przerywał chórek żab i cykanie świerszczy.

Kiedy Harris odsunął się, Ella poczuła pustkę. Zadrżała. Też usiadła, naciągając na siebie cienki koc, żeby ukryć swoją nagość, z którą nagle poczuła się bardzo niezręcznie.

- Konkretnie co? - spytała.

- Przecież nie zabrałem cię tutaj, żeby...

- Wiem.

Siedział nieruchomo, z opuszczoną głową. Ella oblizwała wargi, obrzmiałe od jego pocałunków.

- Ty... żałujesz, że to się zdarzyło?

- Ja? Nie! Ale nie miałem prawa...
- Bo jestem nianią twojego dziecka?
- Nie, Ello. Bo jestem żonaty. Elli na moment zabrakło powietrza.
- Jesteś... żonaty?!
- Myślałem, że wiesz. Rozmawialiśmy przecież o Fannie.
- Rozmawialiśmy?! Wspomniałeś tylko o niej. Byłam pewna, że jesteście rozwiedzeni.
- Nie.
- Nadal ją kochasz?
- Nie wiem. Chociaż w jakimś sensie na pewno tak.
- Ale ona z tobą nie mieszka, prawda? Od wielu lat.
- Tak. Nie. To znaczy... ona pojawia się tutaj. Zwykle niezapowiedziana, kiedy potrzebuje pieniędzy albo chce pozbierać się po kolejnej katastrofie. Zostaje na jakiś czas, wystarczająco długo, żeby obudzić w Marion nadzieję. Potem znów znika.
- Dlaczego się z nią nie rozwiedziesz?
- To pytanie zadaję sobie za każdym razem, kiedy znajduję w kuchni kartkę i czytam, jak bardzo jest jej przykro. - Harris westchnął. - Ona po prostu jest moją żoną.
- Co to za żona, która porzuca swojego męża i dziecko?
- Ello, zrozum... Fannie miała problem z narkotykami jeszcze przed naszym ślubem. Jej dzieciństwo było do niczego, mówiłem ci o tym. Oczywiście starałem się jej pomóc. Przez jakiś czas nie brała. Bardzo się starała. A kiedy zaszła w ciążę, była taka szczęśliwa. Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety niż Fannie w ciąży.
- Czy wtedy...
- Nie. Absolutnie. Wtedy nie brała. Ale kiedy Marion przyszła na świat.... Może to była depresja poporodowa? Nie wiem. Wzięła raz. Zrobiłem jej wtedy straszną awanturę, a kiedy zaczęła regularnie podkradać narkotyki z kliniki, zrozumiałem, że trzeba podjąć stanowcze kroki. Załatwiłem jej miejsce w szpitalu. Na odtrucie. Wtedy uciekła.
- Ale ja nadal nie rozumiem, dlaczego się z nią nie rozwiodłeś!

- Poznałem ją, kiedy była jeszcze dzieckiem. Ona dużo dla mnie zrobiła, dla mnie i dla mojej matki. Poza tym... ona jest moją żoną. Przysięgaliśmy być ze sobą na dobre i na złe.

Ella podciągnęła kolana pod brodę i szczelniej owinęła się kocem. Przetrawiając w duchu słowa Harrisa. Straszne słowa. Bo teraz, kiedy jej przydarzyła się najcudowniejsza rzecz na świecie, on mówi, że to nie powinno się być zdarzyć.

Jak to boli...

- Och - szepnęła, zaciskając z całej siły powieki. - Co z nami będzie?

- Wszystko zależy od ciebie. Nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżała. Wiem też, że nie mam prawa prosić cię, żebyśmy byli ze sobą. Choć tego chcę, bardzo. Ale nigdy nie będę nalegał. Przysięgam.

Nachylił się, zebrał swoje ubranie i wyczołgał się z namiotu. Natychmiast zrobiło się w nim chłodno, wilgotno. Ella chwyciła swoje ubranie. Mokre, pachniało rzeką. Niestety, trzeba było nałożyć je z powrotem.

Kiedy zaciągała suwak w szortach, Harris wetknął głowę do namiotu.

- Szkoda, że nie mamy czasu na rozpalenie ogniska. Moglibyśmy wysuszyć ubranie.

- Nieważne.

- Wypij to - powiedział, podając jej kubek z gorącą zupą. - Musisz się wzmocnić, bo trzeba jak najszybciej wracać do domu. Zanim znów się rozpada. Z tobą wszystko w porządku?

- Zależy, jak to rozumiesz. Jej głos był idealnie obojętny.

- Napadało porządnie. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby poziom wody w rzece był tak wysoki. Wygląda pięknie...

- Wyobrażam sobie.

- Ello...

- Proszę! - Poderwała głowę. - Nic już nie mów, dobrze?

Skinął głową i wycofał się z namiotu.

Zjedli. To, co ona szykowała z taką radością. Wczoraj? Niemożliwe. Miała wrażenie, jakby byli w podróży od wielu dni.

W trakcie jedzenia wymienili tylko kilka uwag na temat drogi powrotnej. Potem zwinęli brezent, spakowali sprzęt i zepchnęli kanoe z powrotem na wodę. Kiedy Ella miała zamiar wsiąść już do łodzi, Harris nagle złapał ją za rękę.

Zaskoczona, odwróciła głowę. Spojrzała bardzo chłodno.

- To, co wydarzyło się dzisiaj między nami, znaczy dla mnie bardzo wiele.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Oczywiście, czekał, że ona też coś teraz powie. Ale ona nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Skinęła tylko głową. Na znak, że przyjmuje to do wiadomości.

Czuła się zagubiona. Jak ten biedny puszczyk, który siedział sam na drzewie. U progu wolności. Z oczami szeroko otwartymi ze strachu przed tym, co będzie.

Szybko cofnęła swoją dłoń i wsiadła do kanoe.

- Zaraz wracam - powiedział Harris i pobiegł zebrać jeszcze jakieś papierki.

Zatrzeć ostatnie ślady.

W Lowcountry panowała przedwieczorna cisza. Słońce chyliło się ku zachodowi, przemalowując czarne wody rzeki na różowo. Ella zanurzyła pióro wiosła w wodzie. Woda zmarszczyła się, zmarszczki rozeszły się dookoła, coraz dalej i dalej, naruszając gładki spokój wody. Pomyślała o swoim życiu z Marion i Harrisem. Pomyślała też, że wszystko, co dotychczas zrobiła i co zrobi, ma swoje konsekwencje.

Modliła się o jakąś wskazówkę, dobrą radę. O przebaczenie.

O siłę, która pomoże jej podjąć słuszną decyzję.

***Lot wiszący.** Forma lotu, wymagająca najwięcej energii, ponieważ jedyną siłą nośną jest tu siła mięśni ptaka. Sokoły, kanie i rybołowy skutecznie wykonują ten rodzaj lotu. Amerykańska pustulka, pod tym względem mistrzyni, ma przydomek „wisząca na wietrze”. Myszak i myszołów królewski podczas polowania ustawione do wiatru fruną w miejscu dzięki nieprzerwanemu trzepotaniu skrzydłami i ogonem.*

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Przez całą drogę powrotną ręka Elli spoczywała na klamce. Kiedy tylko podjechali pod rozświetlony dom, natychmiast wysiadła, pragnąc jak najszybciej uciec od tego mrocznego milczenia, trwającego od chwili, kiedy opuścili ciemną rzekę. Było jej zimno, była mokra, cuchnęła błotem i rzeką. A jej serce było złamane.

Drzwi otwarły się, z domu wybiegła w podskokach Marion. Ella usunęła się na bok, żeby dziecko bez przeszkód mogło podbiec do ojca. Ku jej zaskoczeniu Marion podbiegła do niej. Objęła za nogi szczupłymi rączkami i wykrzyknęła dramatycznie:

- Tak się bałam! Myślałam, że już nigdy nie wrócicie!

W Elli natychmiast ożyły miliony emocji.

Łzy, nad którymi udało jej się zapanować przez wiele godzin, popłynęły szerokim strumieniem.

- Skarbie...

Uklękła i przytuliła do siebie pochlipujące dziecko.

- Nie trzeba było się bać. Po prostu złapał nas deszcz!

- Ale ja proszę! Nigdy już nie wyjeżdżaj! Chcę, żebyś zawsze była ze mną!

Ella ucałowała dziecko w czoło i mocno przytuliła do siebie.

- Przywiozłam ci prezent, Marion.

Otarła łzy i wyciągnęła z torby książkę, którą kupiła w małym sklepiku koło stacji benzynowej.

- Proszę. Bajki Gullahów. O króliku, o wronie. Myślę, że podczas czytania obie będziemy miały wiele radości. Kto wie, czy potem to nie my zaskoczmy Lijaha jakąś piękną opowieścią!

- A poczytamy już dziś wieczorem? - spytała Marion.

Ella, chociaż ledwo żywa, skinęła głową.

- Oczywiście, kochanie.

- Chwileczkę! A ja to kto jestem? - zawołał z uśmiechem Harris, rozkładając szeroko ręce. - Dostawca mięsa?

Marion z radosnym piskiem przypadła mu do kolan. Porwał ją na ręce, a Ella podniosła się z kolan, wzięła torbę i wkroczyła do jasno oświetlonego domu. Prosto w objęcia Maggie.

- Umierałam ze strachu!

- Przepraszam. Komórkę zostawiliśmy w samochodzie. Jak para idiotów.

- Marion, na szczęście, nie orientowała się, że jest już tak późno. Dopiero kiedy słońce zaszło. Z moją Annie bawiły się wspaniale. Przyznam, że trochę mnie to zaskoczyło. Przedtem Marion zawsze miała opory. Najbardziej lubiła być sama.

Ella uśmiechnęła się blado.

- Staram się, żeby Marion była bardziej otwarta.

- Znakomicie się nią zajmujesz... Ello, co się dzieje?

- Och, nic, nic.

- Nic? Przecież widzę...

Była szansa porozmawiać od serca. Niestety, w tym momencie do domu wszedł Harris z Marion. Roześmiani, rozgadani. Ella natychmiast przycisnęła swoją torbę mocno do piersi. Co nie uszło uwadze Maggie. Domyślała się, że wydarzyło się coś istotnego.

W progu ukazał się Lijah, pragnąc powitać rozbitków, z głębi domu wybiegła Annie, córka Maggie. Maggie powiedziała coś zabawnego, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Marion, zachwycona, że wszyscy nareszcie są w domu, biegała od jednej osoby do drugiej, trajkotała, śmiała się. Annie goniła za nią.

Do Elli wszystko docierało przez mgłę. Śmiech i pokrzykiwania dzieci, szmer rozmowy dorosłych. Jedno dotarło. Bardzo uważne spojrzenie Lijaha.

- Jestem wykończona - powiedziała, ruszając do drzwi, prowadzących na korytarz. - Boli mnie wszystko, poza tym na pewno nie pachnę ładnie. Przepraszam, ale koniecznie muszę doprowadzić się do porządku.

Godzinę później Ella leżała wygodnie, wyciągnięta na swoim łóżku. Okno było otwarte. Łagodny wiatr poruszał zasłonami i flirtował z brzegiem skromnej białej koszuli nocnej. Oczy Elli były otwarte. Nie mogła ich zamknąć, ponieważ wtedy pod powiekami natychmiast pojawiał się Harris, a ona zaczynała odtwarzać w pamięci każdą chwilę, jaką spędzili razem w prowizorycznym namiocie. Po wybuchu wielkiej namiętności przez długi czas leżeli, spleceni ze sobą ciasno ramionami. Ta bliskość była tak niewypowiedzianie słodka, sprawiła jej chyba jeszcze więcej przyjemności niż sam akt miłosny...

Uzależnienie. Tak. Na tym to chyba polega. Posmakujesz czegoś, co odurzy cię do takiego stopnia, że nie potrafisz już potem z tego zrezygnować.

Po raz pierwszy w życiu zaczęła rozumieć, dlaczego niektóre kobiety mają romans z żonatym mężczyzną. Ona, Ella, też pokochała żonatego mężczyznę. Czy naprawdę to taka zbrodnia? Przecież Fannie go porzuciła. Nie żyją z sobą. Fannie wyraźnie nie zależy ani na mężu, ani na dziecku.

Czyli tak naprawdę Harris i Fannie wcale nie są małżeństwem.

A mimo to Harris nadal trwa w tym związku. Więzy małżeńskie były dla niego nierozzerwalne. Powiedział, że czuje się z nią związany na dobre i na złe. Czyli... czyli chyba ją kochał. Fannie.

Ella jęknęła z rozpaczy i potarła czoło pięścią. Gdyby nie to, że w sumie postępował bardzo szlachetnie, pomyślałaby - że jest po prostu głupi.

Albo inaczej. Jest jak rybołów i orzeł. Przywiązany do swojego terytorium i monogamiczny. Powiedział jej to wcześniej, na pomoście. Ale do niej, zaślepionej miłością, ta prawda dotarła za późno.

Z drugiej strony, posługując się dalej analogiami z ptakami, prawdą jest też fakt, że towarzyska orła odleciała z jego gniazda. Gniazdo było puste, kiedy zjawiła

się w nim Ella i zaopiekowała się pisklęciem. Jeśli natura pozwala na takie rozwiązanie, to dlaczego Ella ma czuć się winna?

Gdyby mieli romans... Czy coś się zmieni, jeśli Ella przejdzie przez korytarz, żeby znaleźć się w jednym łóżku z Harrisem? Nic. Dalej będzie zajmować się domem i Marion, dalej będzie też pomagać w klinice.

Niczego to nie zmieni. Szkoda tylko, że nie jest do końca o tym przekonana. Bo ten podły głos w jej mózgu szepcze bez przerwy, że właśnie tak, wtedy zmieni się. Wszystko.

Noc była cicha i spokojna, bez ptasich głosów. Ella przekręciła się na lewy bok, potem na prawy. Znow ułożyła się na wznak. Walkę o sen przegrywała z kretesem.

Ciekawe, co robi teraz Harris? Też bije się z myślami czy śpi jak kamień? Mężczyźni zwykle nie przejmują się tym, co ludzie gadają. A ona przecież byłaby kobietą, która rozbiła czyjeś małżeństwo. Co powiedziałyby Maggie? Maggie, która wyraźnie miała bardzo mieszane uczucia, kiedy Harris zabrał Ellę na ryby. Maggie wie przecież, że Harris jest żonaty.

Na pewno wiedzą wszyscy! Wszyscy oprócz niej!

Ella znow jęknęła i zakryła twarz rękoma. Jaka była głupia i ślepa!

Godziny mijały. Księżyc srebrzystą poświatą malował magiczne wzory po całym pokoju. Na pewno było już po północy. Nadeszła godzina duchów, gdzieś z daleka słychać pohukiwanie sowy. Zły znak? Bzdura. Ella Majors nie boi się śmierci ani żadnych duchów. Ellę Majors dręczy pewien żywy człowiek i nie daje jej spać!

Usiadła na łóżku. Zrozpaczona, wykończona bieganiną swoich myśli. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Samotna sowa znow się odezwała. Nie szkodzi, Ella nie jest słabym człowiekiem. Jest silna, zawsze taka była. Stać ją na podjęcie pewnej decyzji.

- Niech się stanie... - mruknęła. Na bosaka wyszła na wąski korytarz i poszła dalej, do pokoju Harrisa. Ta rozmowa musi się odbyć. Harris powinien się wytłumaczyć, dlaczego wcześniej nie powiedział jej, jakie są dokładnie relacje między nim a Fannie. Dlaczego przez ostatnie kilka tygodni bardzo chętnie trzymał Ellę za rękę i obejmował ją ramieniem. Dlaczego doprowadził do tego, że Ella zakochała się w nim. Kiedy doskonale wiedział, że ta miłość zniszczy Ellę.



Ella zapyta i spokojnie wysłucha odpowiedzi. Każdej, nawet dla niej najtrudniejszej. Potem powie mu, że nie może tu zostać. Harris jest żonaty, a ona nie ma zamiaru wiązać się z żonatym mężczyzną.

Zastukała do drzwi dwa razy, pewna, że dopiero po chwili usłyszy zaspany głos.

Ale drzwi otworzyły się natychmiast.

Harris z potarganymi włosami stanął tuż przed nią. We flanelowej piżamie w kratkę. Kurtka od piżamy rozpięta, pierś naga. Na policzkach świeży zarost. Na pewno jeszcze nie spał. Oczy w czerwonych obwódkach wyglądały tak bezbronnie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w słabym świetle księżyca. Serce Elli biło jak szalone, rozsadzało jej głowę, usuwając z niej wszystkie przygotowane pytania.

Po policzkach spłynęły łzy.

- Kochasz mnie?

Przecież to było jedno, jedyne pytanie, na które chciała znać odpowiedź.

- Tak.

Płacz w Elli ucichł.

Czasami decyzje podejmujesz błyskawicznie, innym razem musisz porządnie się przedtem zastanowić. Czasami w ogóle ich nie podejmujesz. Po prostu poddajesz się biegowi rzeczy. Jak liść, rzucony przez wiatr na wodę, który porwał wir. Kręcisz się w kółko, bezbronny, póki nie pojawi się jakaś szansa, że zostaniesz z tego wiru oswobodzony.

Ellę uwolniła miłość.

- Ja też cię kocham.

Następnego ranka o świcie Ella wstała z łóżka Harrisa. Spała zaledwie kilka godzin, a czuła się cudownie. Świeżutka i wypoczęta. Razem wyszli z domu na poranny obchód. Szli objęci, jak kochankowie, ocierając się biodrami. Sama myśl o tym, że mogliby rozstać się choć na chwilę, była dla nich nie do zniesienia.

Po zakończeniu obchodu Harris wziął z woliery Cinnamon. Lśniący jastrząb o kolorze mahoni na Ellę patrzył z wielką rezerwą.

- Harrisie! Ona chyba jest zazdrosna!

- A to ciekawe... - Harris spojrział z rozbawieniem na jastrzębia, usadowionego na jego rękę. - Może wyczuwa wibracje między nami. W końcu jastrzębie strzegą swojego terytorium.

Ja też, pomyślała Ella. Ale tę informację zachowała dla siebie.

Poszli więc na spacer we trójkę. Harris niósł Cinnamon, Ella kubek parującej kawy. W którymś momencie Cinnamon chyba zdecydowała się zaakceptować obecność Elli, bo przestała posyłać jej gniewne spojrzenia. Kiedy doszli do miejsca, gdzie droga rozszerzała się, Harris odwiązał nogi jastrzębia. Pofrunęła kawałek i przysiadła na gałęzi sosny. Harris i Ella wzięli się za ręce i poszli dalej drogą. Jastrząb leciał za nimi. Jak pies na spacerze, z jedną tylko różnicą. On przelatywał z drzewa na drzewo.

- Cinnamon to twoja ulubienica - powiedziała Ella. - Nie wyprzesz się tego.

- Nie, nie wyprę. Ale sama musisz przyznać, że jest urocza. Zawsze miałem słabość do błotniaków.

- Ojej! Nie widzę jej! Nie boisz się, Harrisie, że ucieknie?

- Nie. Zna dobrze regulamin. A dla przypomnienia co pewien czas daję jej kąsek.

Wyjął z płóciennej torby kawałek mięsa. Położył mięso na pięści i gwizdnął. Spośród liści wynurzyła się Cinnamon. Spojrzała na rękawicę i rozpostarłszy pióra w ogonie, z cichym brzękiem dzwoneczka, podleciała do pięści Harrisa. Usiadła i ostrym dziobem zaczęła rozszarpywać mięso.

- Widzisz, Ello? Ona doskonale wie, która ręka ją karmi.

Podniósł rękę, jastrząb znowu odleciał. Harris wziął Ellę pod ramię i poszli dalej, nie rozmawiając o tym, co było, ale o tym, co mają zrobić tego dnia, jutro i podczas kolejnych dni. Uśmiech nie schodził z twarzy Elli. Nie zdawała sobie sprawy, że człowiek aż do tego stopnia może być szczęśliwy.

Kiedy zbliżali się do bramy, Harris przystanął i spojrział w niebo.

- Sępy - powiedział. - Ktoś stracił życie.

Natychmiast gwizdnął na jastrzębia. Cinnamon nie wracała. Harris spochmurniał. Zaczął gwizdać głośniej, bardziej rozkazująco. Wreszcie za którymś razem wśród liści zadźwięczał dzwoneczek. Cinnamon sfrunęła na rękę Harrisa. Harris

dał jej wyjątkowo duży kawałek mięsa, pozwolił spokojnie zjeść i przywiązał rzemyczkami nogi jastrzębia do rękawicy.

Kiedy stanęli przed bramą, oboje natychmiast zauważyli, że nigdzie nie ma białego koguta.

- On czasami lubi się przejść - powiedział Harris, rozglądając się dookoła. - Ale nie podoba mi się to. Wczoraj, kiedy robiłem wieczorny obchód, spotkałem po drodze kilku chłopaków. Przyszli zapolować. Oczywiście, przegoniłem ich.

- Nie wolno tu polować. Przecież to teren prywatny.

- Niestety, dla nich to żadna przeszkoda.

- Chyba nie myślisz, że... Twarz Harrisa stężała.

- Niestety. Nic mnie nie zaskoczy.

Ella spojrzała w niebo. Do dwóch krążących sępów dołączył trzeci.

- Zostań tutaj z Cinnamon - powiedziała. - Ja pójdę się rozejrzeć.

Otworzyła bramę i podeszła do sosny, na której zwykle wysiadywał kogut. Rozgarnęła dolne gałęzie. Kawałek dalej, w błocie, dojrzała białe pióro.

- Och, nie...

Wśród chwastów leżał martwy kogut. Na śnieżnobiałej piersi plama krwi, jasnoczerwona, jak jego dzwonki.

Następnego dnia Brady z autostrady na drogę, prowadzącą do ośrodka, zjechał z fasonem. Silnik ryczał, muzyka też, łokieć Brady'ego nonszalancko wystawiony na zewnątrz. Starzy, zachwyceni, że poprawił stopnie na półrocze, wreszcie odpuścili i pozwolili mu usiąść za kółkiem. A w ciągu ostatnich kilku dni Brady naprawdę latał wysoko. Zaliczył wszystkie przedmioty, był też pewien, że test poszedł mu nieźle. Ale największą satysfakcję miał wtedy, kiedy oficjalnie ogłoszono, że jest członkiem zespołu opiekującego się ptakami rezydentami i wręczono mu T-shirt z logo ośrodka. Ten T-shirt Brady miał na sobie.

Podjechał pod bramę i wyskoczył z samochodu.

Spojrzał w lewo, potem w prawo. Gdzie białas?

Po raz pierwszy nie było go, kiedy Brady przejeżdżał przez bramę ośrodka. Trudno, widocznie sobie gdzieś polazł. Brady przejechał i wysiadł, żeby zamknąć bramę. Cały czas rozglądając się na boki.

- Cześć! - powitał wszystkich, wkraczając na zaplecze. Wszedł i mocno wciągnął powietrze. To pomieszczenie podobało mu się najbardziej. Kochał zapach skóry, kochał widok sokolniczego ekwipunku, porozwieszanego na ścianie. A jedno spojrzenie na kartę natychmiast dawało pojęcie o wadze i stanie zdrowia każdego ptaka rezydenta. Brady czuł się tu jak w domu.

- Czy nikt nie widział tego zwariowanego koguta? - spytał, rzucając na podłogę torbę. - Nie było go przy bramie.

Harris ściągnął brwi i spojrzał przelotnie na Lijaha. Brady zauważył to. Całe zadowolenie natychmiast znikło. Coś nie tak? Zrobił coś złe?

- Co się stało?

- Niestety, mamy złe wiadomości - odezwał się Harris poważnym głosem. - Znaleźliśmy koguta między drzewami, za bramą. Ktoś go zastrzelił.

Brady znieruchomiał.

- Co?! Kiedy?!

- Znaleźliśmy go wczoraj. Przypuszczamy, że zastrzelono go w sobotę wieczorem.

- Ale dlaczego?! Dlaczego go zastrzelono?! Przecież on nikomu nic złego nie zrobił!

- Nie wiem, Brady.

- Ale dlaczego?!

W głosie Brady'ego była rozpacz. A wargi Harrisa zbieleły z wściekłości.

- Dlatego, że im wszystko wolno! W sobotę widziałem, jak kręciło się tu kilku takich. Polowali, oczywiście. Ale za rękę ich nie złapałem.

Brady poderwał głowę.

- Jak wyglądali? W jakim wieku? Harris wzruszył ramionami.

- Twój rówieśnicy. Tak mi się wydaje.

Brady czuł, jak narasta w nim gniew. Gwałtowny, o temperaturze lawy. Z trudem powstrzymał się, żeby nie zacząć teraz wykrzykiwać imion, które cisnęły mu się na usta. Musiał też podrapać się po nosie. Zaskoczony, że natrafił na łzy.

- Przykro mi, Brady - powiedział cicho Harris, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Wszyscy wiemy, jak byłeś przywiązany do tego koguta. My wszyscy zresztą też.

Nigdy się nie dowiemy, kto go tu przyniósł. Może sam tu przyszedł. Nie dowiemy się, dlaczego tu został. To nie jest normalne, że kogut wysiaduje na sośnie.

- A gdzie... gdzie on teraz jest? - spytał Brady zdławionym głosem.

- Pochowałem go - powiedział cicho Lijah. - Pod tą właśnie sosną. Będzie mu tam dobrze.

Do pokoju weszła Clarice. W rękach trzymała doniczkę.

- Przyniosłam jukę. Pomyślałam sobie, że może posadzimy tę jukę koło bramy, tam gdzie został pochowany nasz kogut. Ten kwiat będzie nam go przypominał.

Nikt się nie odezwał. Clarice, speszona, dodała niepewnym głosem.

- Przepraszam. Ja tylko tak sobie pomyślałam.

- Bardzo dobry pomysł, Clarice - powiedział cicho Harris. - Naprawdę. Po prostu wszyscy... wzruszyliśmy się.

- Może posadzę tę jukę? - spytał Lijah.

- Nie! - rzucił porywczo Brady. - Ja!

Razem z Clarice pojechali do bramy. Zabrali ze sobą jukę i szpadel. Był piękny dzień, wiał łagodny wiatr. Brady spojrzał w górę, na błękitne niebo, po którym przesuwały się białe obłoki.

Białe...

Postanowili, że posadzą jukę dokładnie w miejscu, gdzie został pochowany kogut. Brady odgarniał ziemię bardzo ostrożnie. Nie, nie chciał patrzeć na białe pióra, ubrudzone ziemią. Wsadzili jukę do dołka, zasypali dołek i podlali roślinę. Brady oparł się o szpadel i patrzył na jukę. W porównaniu z wysoką sosną wydawała się bardzo mała. Miał nadzieję, że urośnie na słońcu, w tym piachu. Urośnie tuż nad starym kogutem. Będzie kwitła na biało. Jakby on tu ciągle był, przy tej bramie.

- Jak z tobą, Brady? - spytała Clarice cicho. Potrząsnął głową.

- Świrnięty białas... Nie zdawałem sobie sprawy, ile dla mnie znaczył... Teraz mam tylko jedno życzenie. Dołożyć porządnie tym draniom, Manny'emu i Nate'owi.

- Myślisz, że to oni?

- Na sto procent jeszcze nie wiem. Ale dowiem się. Nikomu o tym nie mów.

Sam to załatwię.

- Oczywiście. Nikomu nie powiem. Brady, tylko żebyś nie wpędził się w jakieś kłopoty.

- Trudno. Kłopoty to moja specjalność.

- Lepiej, żebyś teraz ich nie miał. W szkole udało ci się wyjść na prostą. Szkoda to zmarnować. Proszę. Znowu będę musiała martwić się o ciebie.

Brady powoli odwrócił głowę. Uczucie w jego oczach było ewidentne.

Wypuścił szpadel z rąk, szpadel uderzył głucho o ziemię. Brady zaczął powoli zbliżać się do Clarice.

- Brady, stój.

Podniosła obie ręce, piękne, o długich szczupłych palcach i położyła mu na piersi.

- Brady...

- Clarice. Jeśli chodzi o naukę... Ja to wszystko zrobiłem dla ciebie.

- Dla mnie? W takim razie nie powinieneś był tego robić! - krzyknęła, wzburzona. - Nie rozumiesz? Nie pracujesz, żeby zrobić przyjemność mnie, swoim rodzicom albo Harrisowi! Robisz to dla siebie samego!

- Ale ja chciałbym, żebyś wiedziała, co do ciebie czuję...

Clarice gwałtownie potrząsnęła głową.

- Brady, proszę, tylko nie to. Słyszysz?

- Ale przecież... coś nas łączy.

- Oczywiście!

Serce Brady'ego, ożywione nadzieją, zabiło szybciej. Niestety.

- Jesteśmy, Brady, kumplami. Spędziliśmy z sobą mnóstwo czasu. Czasami trudno nam było dojść do porozumienia, ale zapomnijmy o tym. Ja, w każdym razie, w przyszłym tygodniu kończę szkołę i od razu wyjeżdżam do Kalifornii. Mam swoje własne życie, Brady, swoje własne plany. Niestety, nie jesteś w nich uwzględniony.

- Rozumiem.

Brady poczerwieniał. Cofnął się, ręce wsadził do kieszeni.

- W takim razie... nie ma o czym gadać.

- Brady, ale to wcale nie znaczy, że mi na tobie nie zależy.

Brady zacisnął usta. Wtedy Clarice uśmiechnęła się, tak błagalnie, jak zawsze, kiedy chciała, żeby koniecznie ją zrozumiał. Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy pracowali razem. Oboje kochali swoją pracę. Razem przeżyli coś pięknego. To właśnie nas łączy Brady. I przyjaźń.

Brady zrobił głęboki wdech, próbując dojść do ładu ze swoimi emocjami. W głębi duszy zawsze wiedział, że z jego uczuć do Clarice nic nie wyniknie. Przez ostatnie miesiące starał się bardzo zmienić swoje dotychczasowe życie. Clarice zawsze go do tego zachęcała. Wierzyła w niego. W rezultacie on sam zaczął wierzyć, że uda mu się zmienić wokół siebie wszystko...

Poza tym był kogut. Pilnował Brady'ego. Brady lubił sobie myśleć, że ten kogut jest jego totemem, jego duchem opiekuńczym. Oczywiście, nikomu o tym nie mówił. Ale ilekroć ktoś się dziwił, skąd wziął się kogut na tej bramie, miał ochotę powiedzieć, że wiadomo skąd. Przyszedł tutaj, bo ja tu jestem. Przyszedł do mnie.

Teraz wiedział, że był głupi. Mylił się co do wielu rzeczy. Przede wszystkim był życiową ofiarą. Facetem, któremu nic się nie udaje i dawno powinien się z tym pogodzić. Przestać się łudzić, że kiedykolwiek będzie inaczej. Bo choćby nie wiadomo jak się starał, wszystko kończy się tak samo.

Jak teraz. Pogrzebane w ziemi...

- Brady? Powiedz mi, nadal jesteśmy przyjaciółmi?

Spojrzał na Clarice. Jego twarz była bez wyrazu. Wzruszył ramionami i podniósł z ziemi szpadel.

- Jasne!

***Szybowanie.** Kiedy słońce ogrzewa ziemię  
nierównomiernie, wówczas z ziemi podnoszą się  
pęcherzyki ciepłego powietrza, tworząc komin  
powietrzne. Dzięki nim drapieżcy wzbijają się prawie  
bez wysiłku. Kiedy natrafią na komin, rozpościerają  
skrzydła i ogon i dosłownie jadą na wietrze.*

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Maj był pełen kwiatów. Cały teren ośrodka, pokryty sielankową mgiełką łagodnej zieleni i pastelowych barw, w ciągu jednej nocy zmienił się w bujną, duszną dżunglę. Ella zachwycała się swoją pierwszą wiosną w Lowcountry. Ptaszarnia i woliery, dotychczas widoczne między pniami sosen, teraz znikły za gąszczem mirtu i oleandrów, górujących nad nimi magnolii o gigantycznych białych kwiatach i poskręcanych gałązek kwitnącego jaśminu. Wszystkie kobiety pracujące w ośrodku, uśmiechały się teraz o wiele częściej. Zrywały kwiaty, wstawiały do wazonów, słoików i mis. Stawiały je na blatach, stołach, koło swoich łóżek, na każdym skrawku wolnej powierzchni. W tym odwiecznym odruchu wprowadzenia choć odrobiny wiosny pod dach.

Tego ranka Ella, kiedy otworzyła lodówkę w klinice, obok plastikowych pojemników z rybami, myszami i szczurami, znalazła kwiaty gardenii. Roześmiała się i wyjęła śniadanie dla dwóch osieroconych czarnych sępów, które Maggie nazwała Bliźniakami. Bliźniacy mieli dziś swój wielki dzień. Ella i Maggie przenosiły ich do woliery na dworze, oddalonej od kliniki. Ta woliery to ostatni etap przed powrotem na łono dzikiej przyrody.

- One są wyjątkowo spokojne - stwierdziła Ella, kiedy po raz ostatni razem z Maggie zważyły sępy i założyły im na nogi opaski identyfikacyjne.

- Tak. I to właśnie mnie martwi. Powinny dziobać i syczeć. A one w naszym towarzystwie czują się świetnie. Za każdym razem po karmieniu tupią nogami, klaszczą, żeby je przestraszyć. A one nic! Takie głuptasy.



Ella zaśmiała się. Wszyscy wiedzieli, że Maggie uwielbia Bliźniaków.

Oba ptaki ulokowały w pudłach do transportu.

- No to w drogę! - zarządziła Maggie.

- Dokąd je zabieramy?

- Do restauracji.

- Co?!

- Zobaczysz.

Był kolejny słoneczny dzień, jasny i suchy. Maggie i Ella z pudłami poszły drogą do rozstaju i skręciły w ścieżkę wśród krzaków jeżyn, dzikich róż i ostów.

- Uważaj! - krzyknęła ostrzegawczo Maggie. Ella w ostatniej chwili ominęła zygzakiem wielkie mrowisko.

- Zawsze poznasz człowieka z północy - zagderła Maggie. - Patrzy sobie na kwiatki, na drzewka, ale nie pod nogi.

- Harris każe mi zawsze patrzeć w niebo.

- Oczywiście. Może zauważyłaś, że on nosi solidne buty!

Przeszły jeszcze kawałek i Maggie, zerkając na Ellę, spytała:

- A powiedz mi, jak to właściwie jest między wami? Kiedy wróciliście znad rzeki, byłaś zdecydowanie nie w sosie.

Znad rzeki... Elli wydawało się, że było to wieki temu.

- Może trochę, ale już wszystko w porządku.

- To świetnie. Bo ostatnio jakoś za dużo przykrych wydarzeń. Ta historia z kogutem. Clarice nas opuszcza. Cieszę się, że przynajmniej między wami wszystko w porządku.

- Jesteśmy bardzo szczęśliwi, Maggie. Maggie odwróciła głowę i przez moment przyglądała jej się bardzo uważnie.

- Ello, mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, ale....

Ten wstęp, oczywiście, nie wróżył nic dobrego. Ella natychmiast się spięła.

- Bądź ostrożna, Ello.

- A co? Znowu mrowisko?

- Ja nie żartuję. Ella najeżyła się.

- Boisz się o Harrisa? Boisz się, że go skrzywdzę? Ja?

- Nie! Boję się o ciebie. Przecież on jest żonaty! To nie jest normalne małżeństwo, ale ona nadal jest jego żoną.

- Wiem, Maggie. Harris powiedział mi o tym nad rzeką.

Maggie milczała. Poprawiła tylko pudło z ptakiem i szła dalej. Ella za nią, nie odzywając się ani słowem. Ale w duchu tocząc ze sobą walkę. Zadać to pytanie czy nie?

Oczywiście spytała.

- Maggie, jak myślisz? Czy on ją kiedyś zostawi?

Maggie odwróciła się i wyrzuciła z siebie gwałtownie:

- A tego życzyłabym sobie z całego serca!

- Powiedz mi, Maggie, jaka ona właściwie jest?

- Jaka? Hm... pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to na pewno to, że jest ładna.

A po drugie potrafi wspaniale manipulować ludźmi. Wykorzystuje Harrisa, a on tego nie widzi i tylko traci czas, przedłużając tę żalną sytuację, którą nazywa małżeństwem. Powinien wyciąć ją ze swego życia, tak jak wycina się nowotwory. Przecież widzę, jaki jest z tobą szczęśliwy. Jestem pewna, że ciebie kocha. Ale niestety... Fannie tu wróci, Ello. Na pewno. Nie wiadomo, co zrobi wtedy Harris. Czasami bardzo trudno jest złamać swoje zasady. No cóż... pozostaje tylko nadzieja, że jakoś wam się ułoży. Pamiętaj, gdyby coś było nie tak, możesz zawsze na mnie liczyć.

- Dzięki, Maggie.

- Mieszkam niedaleko stąd, wiesz o tym. Wpadajcie do mnie razem z Marion. Mała pobawi się z Annie, a my napijemy się kawy albo zjemy razem lunch.

Doszły do wielkiej polany wśród gęstwiny drzew, niektórych już szarych, uschniętych. Niewielki kawałek ziemi na środku polany był ogrodzony i zadaszony siatką. Jak wybieg dla psa, w środku zresztą stała niebieska psia buda. Wokół ogrodzenia zgromadziły się ptaki. Pięć sępów, czarnych i czerwonogłowych.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Maggie.

- A co te sępy tutaj robią? - spytała Ella.

- Czują pożywienie. Sępy mają znakomicie rozwinięty zmysł powonienia, przede wszystkim czerwonogłowe. One pierwsze znajdują pożywienie, czarne ciągną

za nimi. Teraz ci głodni faceci zwęszyli resztki, które przyniosłam tu wcześniej. Przynosimy je co tydzień. Sępy są bardzo bystre, wiedzą o tym i czekają. Popatrz no dookoła!

Wśród zielonych gałęzi otaczających drzew widać było czarne skrzydła, rozłożone jak latawce. Sześć, a może nawet osiem kolejnych sępów.

- Teraz wiem, dlaczego to miejsce nazywacie restauracją - powiedziała Ella z uśmiechem.

- Tak. I ta restauracja jest świetnym miejscem, żeby nasze maleństwa poznały swoich pobratymców. Wsadzimy Bliźniaków do budy. Posiedzą tam sobie jakiś czas, popatrzą, a kiedy zauważymy, że identyfikują się już z innymi sępami, wypuścimy dzieciaki na wolność.

Ella spojrzała na otaczające drzewa. Sępów przybywało.

- Trochę jednak dziwnie patrzeć, jak one tam się zbierają.

- Wcale nie dziwne. Czekają na otwarcie restauracji. Wstyd, że ludzie przypisują sępom wszystko, co najgorsze. Moja babcia mnie straszyla, że jak człowieka dosięgnie cień sępa, czeka go śmierć. A przynajmniej jakaś ciężka choroba. U większości ludzi sęp wzbudza największą odrazę, bo żywi się padliną. Do ludzi nie dociera, że sępy same nigdy nie zabijają. Zjadając padlinę, robią porządek. Czy wiesz, że nadal gromadzą się nad Gettysburgiem?

- Tam, gdzie była ta wielka bitwa podczas wojny secesyjnej?

- Tak. W tej bitwie poległo pięć tysięcy żołnierzy. Ile koni zabito, tego nikt nie liczył. Podobno pole bitwy rzeczywiście spływało krwią.

Wszędzie trupy, ludzi i koni. Ludzi pogrzebano, konie pozostawiono. Zajął się nimi sępy. Zaczęły już następnego dnia po bitwie. Codziennie było ich więcej. Tamtej zimy nie odleciały, miały przecież zapasy pożywienia. Do dziś zresztą co roku sępy zlatują do Narodowego Parku Gettysburg. Czerwonogłowe i czarne sępniki. Potrafi przylecieć i tysiacy... No, zabieramy się do roboty.

Przygotowały budę dla nowych mieszkańców i wyłożyły w niej jedzenie. Bliźniacy zostali wypuszczeni na wybieg, bramka zamknięta. Wtedy Ella i Maggie rozsypały koło ogrodzenia resztki z wiadra.

- O, nie! - Ella zmarszczyła nos. - Nawet gdyby nie miały tak rozwiniętego zmysłu powonienia, jak mówisz, i tak by to poczuły!

- Jasne! Popatrz!

Wśród liści zatrzepotało. Nie zdążyły wyjść z polany, kiedy chmara sępów siadła już do stołu. A po kilku minutach dwa osierocone ptaki przysunęły się bliźniętom ogrodzenia, bliźniętom swoich dorosłych pobratymców.

Maggie i Ella uśmiechnęły się z satysfakcją.

- Natura zwyciężyła - powiedziała Maggie.

Harris już z samego rana odebrał ciekawy telefon.

- Dzień dobry, panie Henderson. Mówi Madeline Dreskin, pedagog szkolny w Szkole Średniej im. Lincolna. Dzwonię w sprawie jednego z uczniów, który na terenie szkoły wszczął bójkę. Chłopiec nazywa się Brady Simmons. Byłabym wdzięczna, gdyby pan znalazł chwilę czasu. Bardzo chciałabym z panem porozmawiać o tym chłopcu.

Harris zjawił się w szkole Lincolna jeszcze przed południem. Ulegając Elli, włożył krawat. Teraz, kiedy siedział na twardym plastikowym krześle i czekał, aż panna Dreskin dokończy rozmowę z kimś innym, ten krawat wpijał mu się w szyję jak pętla. Harris nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni był w jakiegokolwiek szkole. Czy chłopcy zawsze byli tacy wysocy i umięśnieni? A dziewczynki... Niektóre z nich wyglądały jak dorosłe kobiety i tak zresztą były ubrane. Wśród tych dzieciaków w T-shirtach, z tatuażami i piercingiem, Harris w swoim krawacie i świeżo wyprasowanej koszuli czuł się jak staruszek.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Gabinet opuścił jakiś chłopak z trądzikiem. W progu ukazała się panna Dreskin.

- Pan Henderson? Zapraszam.

Była ładna, bardzo drobna, pięknie opalona. Typ sportsmenki. Wyglądała na osobę niewiele starszą od uczniów. W pierwszej chwili, bo kiedy się uśmiechnęła, Harris dostrzegł pod opalenizną drobne zmarszczki. Ale i tak był pewien, że do takiej pani pedagog wzdycha niejeden uczeń.

Kiedy usiedli na standardowych w instytucjach rządowych krzesłach, panna Dreskin położyła dłoń na różowej teczce, która leżała na jej biurku i spojrzała na Harrisa bardzo poważnie.

- Szczerze mówiąc, to bardzo skomplikowany przypadek, panie Henderson. Początkowo Brady'ego Simmonsa oceniłam jako jeszcze jednego chłopca z ubogiej rodziny, twardego, wykazującego brak poszanowania autorytetów. Tacy chłopcy nie przejmują się swoją przyszłością. W szkole są, bo muszą. Takich uczniów mamy tutaj mnóstwo. Niestety niewiele mogę im pomóc. Początkowo więc, jak wspomniałam, zaliczałam do nich i Brady'ego. Potem przeczytałam raport policyjny o incydencie z orłem. Oczywiście, bardzo się tym zdenerwowałam. Jednak dowiedziałam się, że Brady pracuje społecznie u pana, w ośrodku. Dlatego koniecznie chciałam z panem porozmawiać. To jest... - otworzyła teczkę i przerzuciła kilka kartek - Coastal Carolina Center for Birds of Prey.

Harris założył nogę na nogę i skinął głową.

- Zgadza się.

- Od jak dawna Brady tam pracuje?

- Od połowy stycznia. Przejeżdżał dwa razy w tygodniu. Teraz trzy.

- Dlaczego?

- Przez dwa dni pracuje społecznie, z nakazu sądu. Trzeci dzień jako wolontariusz.

- O!

Panna Dreskin zamknęła teczkę.

- Czy to często się zdarza?

- Z takim przypadkiem jak Brady'ego mamy do czynienia po raz pierwszy.

- Jak pan ocenia jego pracę?

- Pracuje dobrze. Właściwie bardzo dobrze. Bardzo ciężko. Wykazuje się wielką odpowiedzialnością. Na początku, szczerze mówiąc, zagoniony został do czarnej roboty i z wiadomych powodów nie był darzony sympatią. Ale przeszedł długą drogę. Teraz jest członkiem naszego zespołu. Jestem z niego dumny.

Harris zmienił układ nóg i pochylił się do przodu.

- Przepraszam, a dlaczego pani o to pyta?

- Dlatego, że usiłuję dojść, o co właściwie chodzi. Brady wdał się w bójkę z kilkoma chłopcami, z którymi podobno był zaprzyjaźniony. Brady rozpoczął bójkę, właściwie powinien być za to usunięty ze szkoły. Jednak chłopcy, z którymi się bił, nie zgłaszają żadnych pretensji. Dlatego Brady został objęty nadzorem szkolnym. W ciągu ostatnich miesięcy bardzo poprawił się w nauce. Zaliczył semestr. Przystąpił do pierwszego testu SAT, nawet rozmawiał ze mną na temat dalszej nauki i stypendium. Czy pan o tym wiedział?

- Nie, ale wcale mnie to nie dziwi.

- A teraz, na tydzień przed egzaminami, wydaje się, że Brady'emu przestało na czymkolwiek zależeć. Opuszcza lekcje, nie odrabia prac domowych, no i ta bójka. Chciałabym się zorientować, o co tu chodzi. Zanim nie będzie za późno. Pan ma wielki wpływ na tego chłopca. Może pan spróbuje mi pomóc.

Harris spojrzał w dół, na swoje dłonie, jednocześnie w duchu wyciągając kilka wniosków. Teraz przynajmniej wiedział, dlaczego Brady zjawił się w ośrodku z podbitym okiem i rozciętą wargą. Poza tym Harris podejrzewał, z jakiego powodu Brady rozpoczął tę bójkę. Jeśli jego przypuszczenia są słuszne, nie będzie obarczał Brady'ego żadną winą. Bo i za co? Za to, że starał się jakimś durniom wbić trochę rozumu do głowy? Zbyt często zdarzały się przypadki postrzelenia ptaków. A Harris, niestety, nie wstępował na drogę sądową, żeby nie zburzyć tego względnego spokoju, jaki niby zapanował wśród rozżalonej miejscowej ludności, która ochronę środowiska rozumiała wyłącznie jako odbieranie jej ziemi i praw do polowania.

W każdym razie nie mógł podzielić się z panną Dreskin swoimi podejrzeniami co do przyczyny bójki, jednak mógł ją naprowadzić. Dlatego opowiedział jej o tym, jak wielki wpływ wywarli na dorastającym chłopcu Lijah i Clarice Gaillard. A zakończył informacją o odejściu Clarice z ośrodka. I o zastrzeleniu białego koguta.

- Nie wiem, która z tych strat wstrząsnęła nim bardziej. Która bardziej wpłynęła na jego psychikę. O ile się orientuję, ten chłopak nie może liczyć na rodziców.

- Matka próbuje mu pomóc, panie Henderson, ale ona pracuje zawodowo, poza tym, oprócz Brady'ego, ma jeszcze czworo dzieci. A ojciec jest nieuchwytny.

Harris wiedział coś nie coś na temat nieobecnych ojców i poczuł nagły przyływ sympatii do chłopaka.

- Nie jestem jego krewnym. Widuję go trzy razy w tygodniu, ale chyba mógłbym coś dla niego zrobić. Jak pani sądzi?

- Brady w przyszłym tygodniu ma egzaminy końcowe. Bardzo bym chciała, żeby mu się powiodło. Gdyby pan mógł w jakikolwiek sposób na niego wpłynąć...

- Postaram się. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Kiedy Brady następnego ranka przyjechał do ośrodka, Harris wręczył mu rękawicę sokolnika i kazał złapać PEFA 14, młodego sokoła wędrownego. Brady był wyraźnie zaskoczony, ale o nic nie pytał. Harris miał nadzieję, że podczas tej lekcji latania Brady nauczy się więcej niż ptak.

Wybrał PEFA 14, bo ten sokół był w jakiś sposób podobny do Brady'ego. Młody, zdolny, ale trochę narwany. Za szybki w przeskakiwaniu z żerdzi na pieść. Poza tym Harris nie był ślepy. Doskonale dostrzegał w Bradym zadatki na świetnego sokolnika.

Przeszli przez płaskie, szerokie pole do lotów. Harris na lewym ręku niósł sokoła, po prawej stronie Harrisa maszerował Brady. Wiatr hulał nad polem, ścieląc trawę i bawiąc się piórami sokoła.

Doszli na środek pola.

- Stajemy - powiedział Harris.

Chłopiec postawił płócienną torbę na ziemi, wysunął jedną nogę do przodu i stał, czekając na polecenia. Harris zręcznie zdjął karnal z głowy sokoła. Spojrzenie młodego ptaka natychmiast nabrało ostrości. PEFA 14 był pięknym sokołem, jego upierzenie nie miało jeszcze szarawo-niebieskiej barwy dorosłego osobnika, ale charakterystyczne czarne bokobrody po obu stronach głowy były już wyraźnie zaznaczone.

T-shirt z logo ośrodka opinał się na szerokich ramionach Brady'ego. Włosy rozwiewał mu wiatr. Oni obaj, pomyślał Harris, są tuż przed wzbiciem się w powietrze. Obaj też mają nogi związane rzemykami. Również szesnastolatek, który dopiero stoi u progu dorosłości.

- Chcesz trzymać ptaka? - spytał.

Brady, zaskoczony, wyprostował się jak struna.

- Tak! Tak, proszę pana!

- Podejdz tutaj. Ćwiczyłeś węzeł sokolnika?

- Tak. Już potrafię.

- Przekonamy się.

Harris wręczył mu koniec długiej smyczy. Brady przywiązał linę do swojej rękawicy, wykonując węzeł z zadziwiającą zręcznością. Potem podsunął swoją pięść w rękawicy blisko sokoła.

- Wejdz - powiedział.

PEFA bez wahania przestąpił na pięść Brady'ego.

- Jest teraz twój - powiedział Harris.

Brady trzymał ptaka prawidłowo. W odpowiedniej odległości i pod właściwym kątem. Sokół siedział na ręku chłopca wygodnie i stroszył pióra. Czyli wszystko jak trzeba.

Harris z aprobatą pokiwał głową i usunął się na bok.

- Latanie to w sumie coś zabawnego - powiedział, świadomy, że chłopiec chłonie teraz każde jego słowo. - Prawie wszystkie ptaki to potrafią. Ale drapieżca potrafi nie tylko fruwać. On szybuje, wykonuje też lot wiszący i ślizgowy. Poza tym drapieżcy są bardzo szybcy. Sokoły, takie jak ten, który siedzi na twojej dłoni, są najszybsze ze wszystkich. Na zdobycz pikuje z szybkością do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wypatrzy ją z nieprawdopodobnej wprost wysokości. Podkurcza szpony, kładzie pióra i jak kamień spada na swoją ofiarę, waląc w nią szponami. Uderza.

Spojrzał znacząco w czarne oczy Brady'ego. Dając mu do zrozumienia, że wie o bójce w szkole.

Brady lekko poczerwieniał.

Czyli, jeśli chodzi o wiadomy temat, nic już więcej mówić nie trzeba.

- Moim zdaniem w locie płaskim lecą jakieś sześćdziesiąt pięć do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Czyli nie można narzekać. Niewiele stworzeń może równać się z perfekcją sokoła wędrownego w powietrzu... Brady, uważaj na rękę!

Brady, zasłuchany, nie zauważył, że przekreślił trochę pięść i sokół stał niepewnie.



- Nigdy nie wolno ci zapominać, że trzymasz ptaka, który jest pod twoją opieką!

- Tak, proszę pana!

- Kiedyś Sokolnictwo było przywilejem lordów i królów. Posiadanie sokoła było oznaką wysokiej pozycji społecznej, ale też wiązało się z wielką odpowiedzialnością. Nie tylko za ptaka, ale i za siebie. Kiedy twój ptak lata, Brady, ty lecisz z nim. Czas i wysiłek, jaki obaj w to wkładacie, wytwarza między wami więź tak mocną, jakiej nigdy nie znałeś. Kiedy twojemu ptakowi coś się uda, chodzisz dumny jak paw. Kiedy czasami coś się nie uda, musisz to przełknąć. Nie okazywać swoich emocji. Pamiętaj, że z czasem sokół zacznie polegać na twojej sile i mądrości. Jeśli nie będziesz w stanie tak się zachować, jeśli czujesz, że nie będziesz umiał podejść do niepowodzeń z królewską godnością, lepiej oddaj mi ptaka. Ale jeśli czujesz, że dasz radę, wtedy ustalamy, że to ty jesteś odpowiedzialny za szkolenie tego sokoła.

Brady wyprostował się, wyprężył pierś.

To wystarczyło.

- Świetnie - powiedział Harris. - W takim razie zaczynamy.

*Lot ślizgowy. Kiedy drapieżca zwija skrzydła  
i spada w dół pod kontrolowanym kątem, wykonuje  
lot ślizgowy. Łącząc lot szybujący ze ślizgowym od  
jednego prądu wstępującego do drugiego, jest w stanie  
przelecieć bez wysiłku ogromne przestrzenie.  
Szybowanie niesie drapieżcę w górę, w kominie  
powietrznym. Ślizganie jest lotem w dół.*

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Ten poranek był bardzo zwyczajny. Ella obudziła się o szóstej, ubrała szybko i przygotowała śniadanie. Harris szedł tego dnia na pokaz lotów, miało go nie być cały dzień. Dlatego Ella i Marion zapakowały mu do podręcznej lodówki jedzenie i picie. Przy okazji bawiły się świetnie, wypisując mu na serwetkach różne miłe rzeczy. Będzie zadowolony, kiedy wyjmie taką serwetkę i przeczyta na przykład, że inni kochają go ogromnie. Marion poza tym przez cały czas kontynuowała swoją kampanię w sprawie szczeniaczka. Bardzo chciała mieć pieska i prawie już udało jej się przekonać Elle, żeby podczas pertraktacji z Harrisem trzymała jej stronę.

Nagle Ella usłyszała chrzęst żwiru.

Uśmiechnęła się, pewna, że to Maggie. Maggie ostatnio była bardzo zajęta, Ella jednak miała nadzieję, że tym razem przyjaciółka da się namówić na filiżankę kawy.

- Wchodź, wchodź! - zawołała z kuchni. - Otwarte!

Słyszała, jak skrzypnęły drzwi. Odwróciła się od zlewu i spojrzała na pokój.

To nie była Maggie. Ta kobieta była wysoka jak Maggie, ale prosta i szczupła jak trzcina. Włosy nie były rude, lecz blond i swobodnie opadały na ramiona. Nogi bardzo długie, widoczne w całej okazałości dzięki bardzo krótkiej spódniczce. Wyglądała jak ktoś, kto był kiedyś bardzo piękny, gdy cera była świeża, spojrzenie błyszczące i pewne siebie. Ta kobieta, choć nadal o uderzającej urodzie, wyglądała na osobę zmęczoną życiem.

Ella powoli cofnęła ręce, oparte o zlew, powoli wytarła je w ściereczkę. Wiedziała już, kim jest ta kobieta. Wiedziała to, jeszcze zanim Marion wyjrzała zza futryny, przebiegła przez pokój i rzuciła się tej kobiecie w objęcia.

- Mama!

- Marion? Czy to moja Marion?! - wykrzyknęła kobieta, z bardzo mocnym południowym akcentem. - Nie wierzę, że moje maleństwo tak urosło! Jesteś śliczna, skarbie. Ładniejszej dziewczynki nie ma na całym świecie!

Uściskała dziecko i wyprostowała się.

Palcami zakończonymi szkarłatnymi tipsami wygładziła swój T-shirt, jednocześnie ogarniając spojrzeniem całe wnętrze. Spojrzeniem właścicielki, to było ewidentne.

Ella stała z opuszczonymi rękami, czekając, aż spojrzenie spocznie na niej.

- A kto ty jesteś? - spytała kobieta wojowniczym tonem.

Ella wyprostowała się i wkroczyła do pokoju.

- To moja mama! - wykrzyknęła Marion.

- Tak - powiedziała kobieta, opierając rękę na biodrze. - Jestem Fannie Henderson i to jest mój dom. A ty kto jesteś?

- Jestem Ella Majors, opiekunka Marion.

Po twarzy Fannie przemknęło coś jak cień ulgi.

- Niańka? Powinnam się domyśleć. Jesteś nowa. Przedtem była tu inna opiekunka. - Wzruszyła lekceważąco ramionami i odwróciła się do Marion. - Co ty musisz przeżywać, bidulko, skoro nawet ja nie nadążam za zmianami.

- Prawdopodobnie bardzo wielu opiekunek w ogóle nie widziałas - odezwała się Ella oschłym tonem. - Jak długo cię tu nie było? Rok, dwa?

Fannie odwróciła się powoli. Z jej miny można było się zorientować, że topór wojenny został wykopany.

- To nie twoja sprawa, prawda?

- Wszystko, co dotyczy Marion, jest moją sprawą.

- Czyżby?

Ella spojrzała na Marion. Dziecko stało obok matki i przysłuchiwało się z wielką uwagą ich rozmowie. Dlatego Ella zmusiła się do nikłego uśmiechu.

- W pewnym sensie.

- No właśnie.

Po twarzy Fannie przemknął uśmiezek.

- Marion, skarbie, a gdzie jest tatuś? Chciałabym się z nim przywitać.

- Tatuś jest w klinice.

- Może pójdziemy razem i poszukamy go?

Marion skwapliwie pokiwała główką. Matka i córka, trzymając się za ręce, ruszyły do drzwi.

- Marion! - zawołała Ella. Dziecko zatrzymało się. Ella gorączkowo szukała w głowie jakiegoś powodu, który nie pozwoliłby małej iść teraz z Fannie.

To było idiotyczne, bo Marion chciała być ze swoją matką.

- Och, nic ważnego. Może poczekać.

Po twarzy Fannie znów przemknął uśmiezek. Wredny.

- Chodź, kochanie - powiedziała. - Przekonamy się, czy tatuś będzie bardzo zdziwiony moim widokiem.

Ella nie wiedziała, jak długo stała przed zlewem, mechanicznie zmywając naczynia, garnki, wszystko co wpadło jej w ręce. Musiała koniecznie czymś się zająć, bo inaczej pomaszerowałaby teraz prosto do kliniki, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

Zmywała, póki do domu nie wbiegł Harris. Stał w drzwiach do kuchni i ciężko dysząc, oparł rękę o futrynę.

- Jak z tobą? W porządku?

- Oczywiście - odpowiedziała Ella, nie odrywając oczu od zlewu.

- Nie spodziewałem się, że ona właśnie teraz tu się zjawi.

- Wiem. Ale jest. Podszedł bliżej i objął ją.

- Jakoś to będzie - powiedział cicho, prosto do jej ucha. - Jutro pojedziemy na ryby...

- Na ryby?! Jutro?! - spytała z niedowierzaniem, wysuwając się z jego objęć. - Może we trójkę? Jak ty to sobie wyobrażasz? Och! Spójrz prawdzie w oczy! Przyjechała twoja żona i wszystko się zmienia. Przede wszystkim dla Marion. Biedne dziecko jest nieprzytomne ze szczęścia. Ona nie odstępuje matki na krok. Och, Boże...

- Ella chwyciła za ściereczkę i otarła łzy. - Wiedziałam, że kiedyś to musi nastąpić. Ale nie spodziewałam się, że tak szybko. Chyba powinnam wyjechać.

- Nie.

- Ale...

Nie dokończyła, bo w tym momencie drzwi frontowe otwarły się i rozległ się głos Fannie, przesadnie radosny.

- Halo, halo! Jest tam kto?

- Porozmawiamy wieczorem - rzucił półgłosem Harris, łapiąc ją za rękę. - W cztery oczy. Obiecuj mi, że teraz nie podejmiesz żadnych kroków. Czekać na mnie.

- Dobrze.

- Cholera, muszę iść. Niestety, Maggie nie może mnie zastąpić.

- Harris!

Głos Fannie słychać było już w pokoju.

- Idź - powiedziała Ella. W jej oczach była rozpacz. - Proszę, postaraj się wrócić jak najprędzej.

Harris poszedł na pokaz lotów. Ella zdecydowała, że też musi wyjść. Nie wytrzyma, kiedy w całym domu słychać chichot Fannie i Marion, które oglądały telewizję i przy okazji malowały sobie paznokcie.

Poszła do kliniki. Przed kliniką, obok schodków, stała Maggie. A obok Maggie... dwa osierococone sępy. Przykucnięte, z opuszczonymi skrzydłami, czyli w pozie żebraka. Prosiły o jedzenie.

- Bliźniacy wrócili! - obwieściła Maggie. - Wyobrażasz to sobie? Całą drogę szły na piechotę. Szły!

- Ale jak to się stało, Maggie? Maggie jęknęła.

- A skąd ja mogę wiedzieć?! Następnego dnia poszłam sprawdzić, co się dzieje. Oba były przyklejone do ogrodzenia, jakby nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie dołączą do innych sępów, no to wypuściliśmy je. Przez kilka dni wydawało się, że wszystko jest w porządku. Do dziś! Bo one znowu są tutaj!

- Nie tylko one - mruknęła Ella ponuro. - Fannie też.

- Co?!

Maggie z wrażenia otworzyła usta i nie zamykała ich przez dobre kilka sekund.

- Kiedy?!

- Dziś rano.

- Harris wie? Widział się z nią, zanim poszedł na pokaz?

Ella skinęła głową i ukryła twarz w dłoniach.

- Biedactwo...

Maggie podeszła do niej szybko i położyła rękę na jej ramieniu.

- Och, Maggie! To są tortury. Wiadomo, że od razu poczułyśmy do siebie wielką antypatię. A jej usta się nie zamykają. Gada i gada jak najęta. Poza tym bez przerwy oglądają z Marion telewizję. Ja, oczywiście, nie mam prawa głosu. Jestem tylko niańką.

- To może ja z nią pogadam?

- Dzięki, Maggie, ale nie. Tym powinien zająć się Harris.

- Ale co teraz z tobą będzie, Ello?

- Co? Oczywiście zamierzałam wyjechać. Uciec stąd. Przynajmniej do chwili, kiedy ona stąd nie wyjedzie. Przemyślałam to. Nie mogę zostawić Marion. Kto się nią będzie opiekował? Przecież nadal kilka razy dziennie trzeba sprawdzać poziom cukru we krwi i robić zastrzyki z insuliny. Harris jest zapracowany, a Fannie, podejrzewam, nie ma pojęcia o opiece nad dzieckiem chorym na cukrzycę.

- Myślę, że Fannie nie zabawi tu długo. Znow gdzieś ją pogna.

- Daj Boże... Och, Maggie. Jakie to wszystko jest beznadziejne! Nienawidzę kobiet takich jak Fannie. Przez całe lata miałam z nimi do czynienia. One chcą, żeby każdy się nimi opiekował, ustępował im, naprawiał to, co one napsują. I ja to właśnie robiłam. W szpitalu. Rozumiesz?! Niestety, naprawiałam szkody, jakie wyrządzały własnym dzieciom. Chorym, okaleczonym, pobitym. Czy wiesz, że niektóre dzieci przez nie umierały? A ta Fannie... Ma Harrisa, ma Marion. Oni oboje ją uwielbiają. A ona pobawi się nimi i porzuca. Nie zasługuje na nich. Maggie, ja czuję, że ona znow ich skrzywdzi. Zobaczysz...

- Nie, kochanie. - Maggie wzięła ją za rękę i lekko uściśnęła. - Nic im nie zrobi, bo ty tu jesteś. A poza tym Harris kocha ciebie. Każdy to widzi. Ani się obejrzysz, a okaże się, że Fannie znikła.

Ella westchnęła i spojrzała na dwa sępy. Usiadły na dachu kliniki i dziobały zawzięcie gonty. Jeszcze chwila, a narobią porządnych szkód.

Nie tylko one...

Ella starała się do wieczora przebywać tylko w klinice, a jeśli w domu, to wyłącznie w kuchni. Żaden garnek, talerz, żaden sprzęt gospodarstwa domowego nie umknął jej rękóm, desperacko potrzebującym zajęcia. Wiedziała, co robi. Chowa głowę w piasek. Boi się zmierzyć z największą obecnie katastrofą, czyli własnym życiem.

Harris wrócił do domu wczesnym popołudniem i poszedł z Fannie na spacer. Marion przez cały czas czekała na nich na ganku. Jak porzucona w kącie lalka. Kiedy wrócili, pobiegła im na spotkanie. Ella stała w oknie i widziała, jak dziecko rzuciło się matce w objęcia. Harris stał obok, patrzył na żonę i dziecko. Piękny obrazek rodzinnego szczęścia na tle zielonych drzew i wiosennych kwiatów.

Ella odeszła od okna i zajęła się nakrywaniem do stołu. Rodzina Hendersonów weszła do domu. Harris niósł czarną podróżną torbę Fannie i jej torebkę. Postawił wszystko na podłodze. Twarz miał zdecydowanie niewesołą. Oczy Fannie miały czerwone obwódki, ale uśmiechała się. A mała Marion była w ekstazie.

Harris spojrzał na Ellę.

- Fannie zostaje na kilka dni. Zanim nie stanie na nogach.

Na moment zapadła niezręczna cisza, podczas której Ella gorączkowo przetykała swoją porażkę.

- Rozumiem - powiedziała bezbarwnym głosem. - W takim razie trzeba przygotować jakiś pokój.

- Jakiś? - Fannie zaśmiała się z niedowierzaniem. - Będę spała tam, gdzie zawsze. W moim pokoju.

Harris potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Teraz Ella śpi w naszej... w sypialni od frontu.

- Och... - Fannie nerwowo potarła ręce. - W porządku. A gdzie ty śpisz?

- W moim gabinecie.

- W gabinecie? Niech będzie. Zakwateruję się u ciebie.

- Nie. Tam jest miejsce tylko na jedną osobę. A poza tym to... niemożliwe.

Głos Harrisa brzmiał bardzo stanowczo.

Fannie przez moment przetrawiała ostatnią informację. Potem spojrzała na Ellę i uniosła znacząco brwi.

- A więc to tak...

Ella ani drgnęła. Spokojnie wytrzymała wzrok Fannie i czekała, jak zakończy się to żalosne przedstawienie.

- No cóż! - Fannie uśmiechnęła się promiennie.

- Nie widzę żadnego problemu. Zamieszkam w chacie. Będę miała swój własny domek.

- Niestety. Chata jest zajęta - poinformował ją Harris. - Mieszka tam ptasznik.

- Nie bądź śmieszny! Każ mu zwolnić chatę. Przecież ja też muszę gdzieś mieszkać!

- Wykluczone! Nie będę nikogo wyrzucał tylko dlatego, że tobie nagle zachciało się złożyć nam wizytę!

- Wizytę? - powtórzyła żalonym głosem Fannie. - Wizytę? Przyjechałam do domu!

Twarz Harrisa stężała.

- Ciekawe, kto tu jest śmieszny - mruknął. Wtedy do rozmowy włączyła się jeszcze jedna osoba.

- Mamusiu, mamusiu!

Marion podbiegła do matki i objęła ją mocno, jakby chciała jej bronić.

- Możesz spać w moim pokoju! Proszę!

- Dziękuję ci, skarbie - powiedziała Fannie. Pochyliła się i pocałowała dziecko w czoło. - Cieszę się, że ktoś jednak chce, żebym tutaj była.

- Ja chcę! Bardzo chcę! - krzyczała Marion, przytulając się do nóg Fannie.

Znów zapadła niezręczna cisza. Harris przestąpił z nogi na nogę. Potem powiedział:

- W porządku. Możesz zamieszkać w pokoju Marion.

Harris oparł się o ścianę skrzyni na wieży i przyciągnął Ellę do siebie. Oparł się brodą o jej głowę, rozkoszując się zapachem jej włosów. Nie potrafił już bez tego żyć, bez bliskości Elli, jej zapachu. Dlatego wieczorem, po pracowitym dniu, zaciągnął ją



na tę wieżę. Długą rozmowę o Fannie mieli już za sobą, tak samo długie wyjaśnienia odnośnie swoich uczuć. Każde z nich starało się okazać drugiej stronie zrozumienie, jednocześnie jednak nadal trwało na swoim stanowisku, dla tej drugiej strony nie do przyjęcia. Harris uważał, że skoro ożenił się z Fannie, ma obowiązek uszanować te więzy. Nie potrafi porzucić rodziny, tak jak to zrobił jego ojciec. Nie potrafi, nawet wobec perspektywy utraty jedynej kobiety, którą darzył prawdziwą miłością.

Teraz zapadła cisza. Przerwana drżącym głosem Elli, która wyraźnie powstrzymywała łzy.

- Już późno. Powinniśmy wracać do domu.

- Ello, posłuchaj. Fannie nie będzie tu długo. Kilka dni. Tydzień, może dwa. Damy sobie radę. Chcę być z tobą, Ello. Chcę, żeby nam się udało.

- Nigdy się nie uda. Dopóki będziesz żonaty.

- Wiedziałaś o tym.

- Tak. Wiedziałam, ale Fannie tu nie było. Teraz jej obecność zmienia wszystko. Nie mogę tu być, kiedy ona tu jest! Nie mogę tu być, kiedy ona odjedzie, bo ją widziałam, rozumiesz? Stała się realna. Nie będę mogła udawać, że ona nie istnieje.

Ona istnieje, czy jest tutaj, czy nie, i z tego powodu wszystko, co nas łączy, wydaje mi się złe. Brudne. Niemoralne. Och...

Spojrzała na niego z ogromną czułością i objęła jego twarz.

- Kocham cię, Harrisie. Zostanę tu jeszcze przez jakiś czas, ale nie z twojego powodu. Zostanę dla dobra Marion. Ona mnie potrzebuje. Ale cała reszta to twoja sprawa, Harrisie.

- Chcesz, żebym się z nią rozwiódł?

Ella zrobiła drżący wdech, jej oczy rozbłysły. Nie musiała nic mówić, Harris znał odpowiedź.

- Jest jeszcze jeden powód, dlaczego dotychczas nie rozwiódłem się z Fannie. Niezbyt szlachetny. Gdybym to zrobił, musiałbym oddać jej połowę majątku. Nie jestem w stanie jej spłacić. Musiałbym sprzedać posiadłość, a to oznaczałoby zamknięcie ośrodka.

- Zdobędziemy pieniądze, Harrisie. Zbudujesz drugi ośrodek.

Potrząsnął przecząco głową. Drugi ośrodek? Spojrzał na orły w skrzyni za nim, brata i siostrę. Urodzili się w jednym gnieździe. Jednak po upierzeniu każde z nich odleci w swoją stronę i prawdopodobnie nigdy więcej już się nie zobaczą. Każde z nich znajdzie sobie towarzysza czy towarzyszkę na resztę życia. Zbuduje gniazdo. I właśnie te więzy będą trwałe. Na całe życie.

- Pieniądze to nie wszystko. Nigdy nie zależało mi na dobrach materialnych. Najważniejsze, żebym był w stanie utrzymać swoje dziecko, swoją rodzinę. Zawsze bardzo szanowałem swój dom. Moja matka sprzedawała naszą ziemię po kawałku. Potem umarła i zostałem z niczym. Wszystko, co dla mnie ważne, jest tutaj. Związałem się z tym miejscem, a przez to z moją żoną.

Ella, w pelerynie swoich wspaniałych włosów, przysunęła się do niego bliżej. W ciemnościach prawie nie widział jej twarzy.

- Obejmij mnie. Boję się.

- Kocham cię.

Objął ją mocno i pocałował. Gorąco, bo ten pocałunek miał przekonać ją o jego miłości. Nagle gdzieś w ciemnościach rozległo się pohukiwanie sowy.

Zły znak...

***Bratobójstwo.** To rzadkie zjawisko występuje u kilku gatunków ptaków. W gnieździe, w którym wykluły się dwa lub więcej piskląt, najsilniejsze pisklę może zaatakować i zabić najsłabsze. Najsłabsze pisklę ma szansę na przeżycie tylko wówczas, gdy dostanie od rodziców większą ilość pożywienia.*

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Upały były wszelkie rekordy. Klimatyzacja była tylko w pokoju Elli i pokoju Marion, dlatego Fannie i Marion całe dni spędzały w pokoju małej. Ella słyszała nad głową głośnie kroki, a co pewien czas wybuchy śmiechu. Wieczorami, kiedy mdlała z upału w kuchni, gotując kolację, Fannie i Marion szły popływać w stawie. Ella słyszała z ganku, jak Marion piszczy zachwycona, Fannie woła „hopla”, a potem rozlega się plusk.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Fannie i Marion włączały wiatraczek, kładły się na sofie i oglądały telewizję. Ella krążyła między kuchnią a salonem, nakrywając do stołu. Czasami, dźwigając górę talerzy, przystawała, żeby popatrzeć na matkę i córkę.

Trudno było nie zauważyć wielkiego podobieństwa. Jasne włosy miały dokładnie ten sam odcień, obie były drobnokościste. Obie, z tymi kędzierzawymi włosami, różowymi policzkami i roziskrzonym wzrokiem, wyglądały jak jakieś wróżki.

Ta sama krew, myślała Ella, czując, że Marion oddala się od niej coraz bardziej. Dziecko nawet nie zauważało, czy Ella jest w pokoju, czy nie...

Odwiązała ścierkę, którą przewiązana była w pasie, otarła czoło z potu, a przy okazji łyzy.

Najgorsze były wspólne obiady. Przez cały dzień mogły krążyć wokół siebie jak planety w systemie słonecznym, każda po swojej orbicie. Ale podczas obiadu wszyscy zmuszeni byli zasiąść przy jednym stole. W ciągu kilku pierwszych dni po

przyjeździe Fannie Elli udało się unikać wspólnych posiłków. Pod pretekstem obowiązków w kuchni.

Dziś wieczorem jednak podstęp się nie udał. Harris stanowczo zażądał, żeby Ella zasiadła przy stole.

- Kto zmówi dziś modlitwę? - spytał Harris, gdy wszyscy zebrali się już przy stole.

- Mama! - zawołała Marion. Fannie uśmiechnęła się.

- Dlaczego nie? Chociaż muszę przyznać, że dawno tego nie robiłam.

Wszyscy wyciągnęli ręce. Ella aż cała skurczyła się w środku, na myśl o tym, że będzie musiała wziąć za rękę Fannie. Fannie natomiast uważała to chyba za zabawne, bo jej oczy skrzyły się.

Ella spojrzała w drugą stronę, na Marion. Jej bystry wzrok natychmiast wyłowił podejrzane ślady na rączce dziewczynki. Ślady po czekoladzie.

- Marion, co to jest? Na twojej rączce? Marion szybko schowała rękę pod stołem.

- Nic.

- To czekolada, prawda? Ella spojrzała na Harrisa.

- Pokaż rękę, Marion - powiedział Harris.

Marion otarła rączkę o spodnie i wyciągnęła ją do ojca. Ojciec powąchał dłoń.

- Skąd wzięłaś słodycze? - spytał. Ella zwróciła się od razu do Fannie.

- Mówiłam ci, że Marion nie wolno jeść nic słodkiego.

- Ale dziecko tutaj głoduje! A poza tym czy taki maciupenki kawałeczek może jej zaszkodzić? Ludzie, wyluzujcie trochę!

Ella była zbyt wściekła, żeby z nią dyskutować. Odwróciła się do Marion i powiedziała stanowczym głosem:

- Oddaj mi tę czekoladę. Wiesz dobrze, że nie powinnaś tego jeść.

Rozchorujesz się.

Marion poczerwieniała ze złości.

- Nie!

Ella zauważyła wystające z kieszeni Marion opakowanie Hershey's Kiss. Chciała złapać za sreberko, ale Marion okazała się szybsza i złapała pierwsza.

- Nie oddam! To moje!

- Marion, proszę mi to oddać.

- Nie muszę ci nic oddawać! Nie jesteś moją mamą!

- Marion! - odezwał się surowym głosem Harris. Ale dziecko nie zwracało na niego uwagi, całą złość wylewając na Elli.

- Nigdy nie pozwalasz mi na żadne przyjemności! Jesteś podła, jesteś brzydka! Nienawidzę cię! Masz! - Rzuciła w Ellę kawałkiem czekolady i zeskoczyła z krzesła. - Po co tu przyjechałaś?! Po co?

Zanosząc się od płaczu, wybiegła z pokoju. Ella opuściła głowę, żeby nikt nie dostrzegł, jak bardzo ją to zabolowało. Dwoma palcami podniosła z podłogi kawałek czekolady. Na białej bluzce, w miejscu, gdzie trafiła Marion, widniała ciemna plama.

- Fannie! - odezwał się surowym głosem Harris. - Zapamiętaj sobie raz na zawsze. Nie wolno dawać Marion żadnych słodyczy!

- Nie dam jej! Już jej nie dam! Jezu, ale afera!

- Mówię na serio, Fannie. Dla Marion to kwestia życia i śmierci, nie rozumiesz? Nie pozwolę, żeby przez ciebie cierpiała. Zapamiętaj sobie. Cokolwiek powie Ella, masz to robić, jasne?

Uśmiezek znikł z twarzy Fannie. Znikła cała pewność siebie.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że to takie ważne. Mówię szczerze. Nigdy więcej nie popełnię podobnego błędu. Przyrzekam.

- Trzymam cię za słowo. A teraz... pójdę do niej.

- Nie! - zaprotestowała Fannie, zrywając się z krzesła. - Ja pójdę. To ja zrobiłam źle. Powiem to Marion. Powiem, że Ella ma rację. Dobrze?

Uśmiechnęła się słodko i pobiegła na górę. Harris spojrzał na Ellę. Był wykończony. A Ella wbiła wzrok w swój talerz.

Tego wieczoru Marion po raz pierwszy od wielu miesięcy wpadła w histerię. Ella doskonale zdawała sobie sprawę, że wąła psychika dziecka nie wytrzymała tylu emocji. Wszystkie nagromadzone frustracje musiały znaleźć ujście. Kiedy nadeszła pora na zastrzyk, Ella przygotowała się psychicznie na niełatwe starcie z dzieckiem. Te przygotowania nie zdały się jednak na nic. Z wielką trudnością udało jej się wierzgającą i wrzeszczącą Marion sprowadzić na dół, do łazienki i posadzić na klapie

sedesu. Pomyślała sobie wtedy, czy to nie kara za to, że jest zbyt dumna. Nie chciała prosić Harrisa o pomoc, bo, niestety, wolała udowodnić Fannie, że jest nadzwyczaj kompetentna.

Skończyło się na tym, że Fannie stała w drzwiach i patrzyła na jej klęskę.

- Marion, kochanie, przestań mnie kopać - powiedziała Ella, ciężko dysząc. - Wiesz, że musimy to zrobić.

- Nie! - wrzasnęła Marion. - Wcale nie muszę robić, co mi każesz. Chcę do mamy!

- Co ty jej robisz? - krzyknęła Fannie i trzymając się za futrynę, zajrzała do łazienki. - Przestań. Przecież ją to boli.

Ella, trzymając Marion mocno za ramiona, odwróciła głowę i rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Wyjdź stąd! Wyjdź, bo tylko pogarszasz sytuację!

- Nie wychodź! Nie! - zaczęła krzyczeć rozpaczliwie Marion. - Ja chcę, żeby mama mi to zrobiła!

- Marion, zrozum, twoja mama nie umie robić zastrzyków. Uspokój się. Robiliśmy to już setki razy. Wiesz, że nie ma się czego bać. Kochanie, bądź grzeczna.

- Wcale nie chcę być grzeczna! Chcę do mamy!

Ella zrobiła głęboki wdech i odgarnęła włosy ze spoconego czoła. Nienawidziła samej myśli o tym, co teraz zrobi. Niestety nie miała wyjścia.

- Fannie, pomożesz mi?

- Ja? - Fannie wyprostowała się. - Och, Boże. A co ja mogę zrobić?

- Potrzyj ją. Uspokój ją - Ella ponownie zrobiła głęboki wdech. - Ona chce ciebie.

Fannie z ociąganiem puściła futrynę.

- Oczywiście, oczywiście...

Weszła do łazienki z przyklepionym do twarzy ni to uśmiechem, ni to grymasem. Rozpostarła ramiona i podeszła do córki. Objęła ją, usiadła i posadziła sobie dziecko na kolanach. Marion, ciężko dysząc, wtuliła się w nią. Fannie głaskała ją po głowie i przemawiała czule.

Ella musiała się odwrócić i zrobić głęboki' wdech. Pomogło. Wyprostowała się i podeszła do dziecka. Chłodna, opanowana i skuteczna pielęgniarka. Dziecko zeszywniało, ale w ramionach matki czuło się zdecydowanie bezpieczniej. Ella szybko zrobiła test. Poziom glukozy, jak można się było spodziewać, był wysoki. Mimo to Ella i tak westchnęła z ulgą, bo mogło być gorzej.

Zastrzyk z insuliny Marion zniosła nadzwyczaj spokojnie.

Skończywszy zabiegi medyczne, Ella odłożyła instrumenty i wyszła na korytarz. Oparła się o ścianę, zamknęła oczy i słuchała, jak matka i dziecko słodko przemawiają do siebie. A ona czuła się jak pies pod stołem, czekający na resztki...

- Okropnie, że masz tę cukrzycę - biadoliła Fannie. - Wolałabym sama ją mieć, byle byłabyś zdrowa. Wtedy to mnie robiliby te wstrętne zastrzyki.

- Nienawidzę zastrzyków, mamusiu.

- Ja też, skarbie. Ja też. Marion pociągnęła nosem.

- Mamusiu, czy ty wyjechałaś dlatego, że ja jestem tym... tykiem?

- Ależ skąd! Kochanie! Ja nawet nie wiedziałam, że masz cukrzycę!

- To dlaczego wyjechałaś? Dlaczego?

- Trudno powiedzieć, skarbie, ale to nie ma z tobą nic wspólnego. Tak mi przykro, że cię zostawiłam. Naprawdę...

- Już nigdy nie wyjeżdżaj, mamusiu. Proszę...

Ella zakryła dłonią usta i wybiegła z domu. Nie była w stanie dłużej tego słuchać. Marion była jak pisklę z niezaspokojoną potrzebą miłości. Tej miłości Ella miała w sobie nieograniczone pokłady. Niestety, musiała zmierzyć się z faktem, że Marion potrzebuje miłości nie Elli, tylko swojej matki.

Zbiegła z ganku po schodkach na podwórze. Nie wiedziała, dokąd bieć. Byle gdzie, byle dalej od tego domu, który nagle wydał jej się za mały. Zatrzymała się przed parkingiem. Tam, gdzie stał jej sedan, który przywiózł ją z północy na południe. Kiedy wiozła ze sobą tyle nadziei.

Odgarnęła włosy w tył i otarła czoło. Było bardzo duszno. Nadciągała burza.

Spojrzała na drewniany dom stojący wśród sosen. Zaledwie kilka dni temu wydawał się taki miły, przytulny. Gdy przybyła jeszcze jedna osoba, nagle ten dom zaczął przypominać przepelnione gniazdo pod koniec okresu lęgowego. W niektórych

gniazdach, jak opowiadał jej Harris, najsilniejsze pisklęta dziobią najsłabsze, które nie może z nimi rywalizować. Dziobią je bezlitośnie, spychając na brzeg. W końcu pisklę wypada z gniazda i zabija się. Elli wydawało się to okrutne, ale Harris nauczył ją też, że tylko ludzie zestawiają dobro ze złem. Dobro musi zawsze zwyciężyć. W naturze nie ma ani dobra, ani zła. Po prostu jest, jak jest. Kiedy brak pożywienia, szanse przeżycia dwóch piskląt są o wiele większe niż trzech. Silniejszymi pisklętami powoduje instynkt, wykształcony w ciągu miliardów lat. W biologii chodzi przede wszystkim o przetrwanie gatunku.

Poszła z powrotem w stronę domu. Wokół ganku rosły kwiaty, które sadyliły razem z Marion. Kiedy weszła po schodkach, zobaczyła swoje zabłocone buty, ustawione obok butów Harrisa i bucików Marion. Przysiadła na wygiętej poręczy bujanego fotela i przypomniała sobie, ile to wieczorów spędziła w tym fotelu, z Marion na kolanach. Opowiadały sobie bajki albo oglądały gwiazdy.

To był jej dom. Jej gniazdo! Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała swój ślad, dowód, że tutaj mieszka. Nie mogła też wyprzeć się swoich marzeń. A marzyła przecież, żeby tak było zawsze. Co noc spała z Harrisem, co noc słuchała melancholijnych śpiewów sów. Zawsze już zmywała naczynia i myła złociste loczki Marion w wielkim porcelanowym zlewie.

A to wszystko było chwilowe. Bo ona jest tu obca. Jest najsłabszym pisklęciem, które musi wypaść z gniazda.

Na ciemnym niebie pojawił się zygzak błyskawicy.

- Będzie burza - powiedziała Fannie, wychodząc na ganek.

Ella przestała się bujać w fotelu.

- Marion śpi. Mam nadzieję, że grzmoty jej nie obudzą. A ja tak się namordowałam, żeby ona w końcu zasnęła.

Ella znów rozbijała fotel.

- A ja wiem, co ty robisz - powiedziała cichym, bezbarwnym głosem.

- Ja? Niby co?

- Robisz ze mnie potwora.

- Och, daj spokój! Ja...



- Potwora, który odbiera dzieciom czekoladę, daje zastrzyki i nie pozwala oglądać telewizji.

- Przecież powiedziałam, że nie wolno jej jeść słodczy. Zrobiłam tak, jak kazaliście.

- Oczywiście! Ale wszystko przedstawiasz w taki sposób, jakbyś ty też była pokrzywdzona. Ty jesteś dobra, ale ja nie pozwalam ci dać jej cukierka. To ja każę ci pomagać, kiedy robię zastrzyk. Kiedy wychodziłam do kliniki, widziałam, jak obie skradałyście się do telewizora, żeby go włączyć. Wspólna zabawa, tak? Zachowujesz się jak drugie dziecko, a nie jak matka Marion.

Fannie położyła ręce na biodrach i stanęła przed Ellą. Obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Nad ich głowami przetaczał się grzmot.

- Obie dobrze wiemy, dlaczego tak naprawdę jesteś wkurzona! - Oczy Fanny, tak jak niebo, ciskały błyskawice. - Jesteś wściekła, bo ja u Marion zdecydowanie jestem na pierwszym miejscu. Jesteś wściekła, że wróciłam. Wtargnęłam do gniazdka, które zdążyłaś już tu uwić dla siebie! Ale przede wszystkim nie możesz znieść, że Marion woli mnie!

Ella zablokowała nogą bieguny fotela i wstała.

- Oczywiście! - wykrzyknęła, niezdolna dłużej dusić w sobie emocji. - Jestem zła. Jestem nieszczęśliwa! Bardzo pokochałam to dziecko i chcę dla niego jak najlepiej. A ty wszystko zburzyłaś, wszystko co udało mi się zbudować. Przedtem byliśmy bez przerwy razem, teraz w ogóle nie mam do niej dostępu. O tym, że jestem złą czarownicą, nie wspominając.

- Jestem jej matką.

Ella poczuła się, jakby dostała w twarz. Na moment zabrakło jej powietrza. Kiedy odezwała się, wiedziała, że w jej głosie słychać gorzycz porażki.

- Wiem.

Fannie podeszła krok bliżej.

- A Harris jest moim mężem.

Ella podniosła głowę. Wytrzymała wzrok Fannie.

- Wiem.

Błyskawica, rozdzierająca niebo, oświetliła korony drzew, uginające się w porywach wiatru.

Znów rozległ się grzmot, spadły pierwsze krople deszczu.

- Wiesz co, Ello? Ja też jestem wściekła. Na siebie. Wszystko zepsułam. Skrzywdziłam dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie. Krzywdzę też siebie. Robię okropne rzeczy, takie, z których człowiek absolutnie nie może być dumny. Ale ja chcę się zmienić. Dlatego wróciłam, rozumiesz? Nie biorę już od kilku miesięcy. Jestem czysta. Chcę wykorzystać tę szansę. Nie wiem, jak to będzie z Harrisem. On może mi nie przebaczyć. Ale Marion.... Marion okazuje mi tyle serca...

Niebo nad nimi otworzyło się. Strugi wody spływały z dachu, ciężkie krople łomotały o daszek ganku. Ella wstała z fotela i podeszła do drzwi, ale Fannie złapała ją za ramię i przytrzymała.

- Ello, ja chcę być dobrą matką - powiedziała głośno, żeby przekrzyczeć ulewę.

- W takim razie bądź.

- Ale sama nie dam rady! Muszę nauczyć się, jak opiekować się Marion.

Nauczyć się wszystkiego o tej cholernej cukrzycy, diecie i zastrzykach. Ello, ja wiem, że jestem ostatnią osobą na świecie, której chciałabyś pomóc, ale... Proszę, naucz mnie, jak opiekować się moim dzieckiem!

Ella leżała w wannie, od czasu do czasu mechanicznie przesuwając po ciele myjką. Po ciele, które zachowało wspomnienie o tym, jak było pieszczone. To nie było już to samo ciało kobiety, która kilka miesięcy temu przyjechała do tego dziwnego miejsca. Zmieniały się pory roku, zmieniała się pogoda, zmieniała się przyroda. Nagie gałęzie drzew pokryte były liśćmi. Zmieniła się też Ella.

Usiadła trochę głębiej, zamknęła oczy. Otworzyła. Woda opływała jej piersi i kolana. Cztery białe wysepki.... Zabawne.

Co robić? Ile to razy narzekała na matki, które uciekają przed chorobą swojego dziecka? Nie przychodzą na szkolenia dla rodziców, są głuche na wskazówki i rady, jakie Ella usiłuje im przekazać. Ella modliła się, żeby chociaż jedna z tych matek przyszła w końcu do niej i poprosiła:

- Proszę, naucz mnie, jak mam opiekować się moim dzieckiem.

W końcu jedna poprosiła. Niestety, właśnie ta.

Ella jest pielęgniarką. Jej obowiązkiem jest zrobić wszystko, żeby pomóc choremu dziecku.

Dlatego pomoże Fannie.

Zamknęła oczy. Niestety, ten logiczny argument rozwiewał jej ostatnią nadzieję. Odbierał wszystkie marzenia. Ella nauczy Fannie, jak zajmować się Marion. Przekáže jej wszystko, co wie. Otwierając w ten sposób przed sobą drzwi, przez które wyjdzie stąd na zawsze.

RS

*Komitet ds. oczyszczania. „Buzzard” - popularna w języku angielskim nazwa sępów jest nieprawidłowa. Zapożyczono ją z francuskiego „busard”, czyli błotniak z rodziny sokołów. Jednak tej nieprawidłowej nazwy używali już pierwsi osadnicy w Ameryce Północnej. Sępy świadczą usługi w zakresie naturalnego oczyszczania naszej planety.*

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Dwa młode sępy wydziobały dziurę w dachu na wylot i wydłubywały po kawałku izolację. Za wolontariuszami, którzy nosili jedzenie do woliery na dworze, chodziły jak cień. W końcu któryś z nich się zlitował i nakarmił parę żebraków. Teraz wiedziały, gdzie mogą dostać pokarm, dlatego praktycznie nie ruszały się spod wielkiego dębu koło zaplecza.

Niestety, ptaki wybrały sobie życie wśród ludzi, a nie innych sępów. Harris nie tracił jednak nadziei, dlatego zabrał niebieską psią budę z tak zwanej restauracji i ustawił ją w zacienionym miejscu niedaleko kliniki. Tu zamierzał ulokować dwóch krnąbrnych Bliźniaków. Mieć ich stale na oku, a kiedy jeszcze trochę podrosną, ponowić próbę wypuszczenia ich na wolność.

Buda ustawiona, teraz walczył z ogrodzeniem. Spojrzał na klinikę. W oknie pokoju zabiegowego mignęła twarz Elli. Przez ostatni tydzień Ella uczyła Fannie, jak opiekować się chorą na cukrzycę Marion. Była dobrą nauczycielką, bardzo cierpliwą. Fannie miała tysiące pytań i obaw. Ella zademonstrowała jej na misiu, gdzie są najlepsze miejsca na robienie zastrzyków. Na tym biednym misiu Fannie ćwiczyła. Ella, naturalnie, miała na początku opory, ale Fannie przysięgła na cały stos Biblii, że jest czysta.

Harris odwrócił głowę i spojrzał na swój dom. Niestety, już bez tego miłego uczucia, które towarzyszyło mu przez ostatnie miesiące. Teraz ten dom oznaczał stres. Ella była bardzo powściągliwa, prawie nie rozmawiali ze sobą. A jeśli już zamienili

kilka słów, to wyłącznie na temat pracy. Unikała go. Była blada, spięta. Kiedy udało mu się przechwycić jej spojrzenie, natychmiast odwracała głowę. Ale i tak zdążył dojrzeć w jej oczach ból.

Natomiast Fannie rozkwitała. Zdrowy tryb życia, czyli właściwe odżywianie i długie godziny razem z Marion na świeżym powietrzu, zrobiły swoje. Policzki Fannie wypełniły się i poróżwiały. Przestała się malować i coraz bardziej przypominała piękną dziewczynę, w której kiedyś się zakochał. Fannie zresztą nieraz dawała mu do zrozumienia, że z wielką chęcią spędziłaby z nim trochę czasu sam na sam. Kilka razy chciała go objąć, ale on zawsze robił unik. Bo tak właściwie to już prawie nic do niej nie czuł.

Teraz zbliżała się do niego. Szła przez łąkę, lekko, a jednocześnie bardzo pewnie, jakby stąpała po kawałku ziemi, którego nie zamierzała nigdy opuścić. Nadal ubierała się jak nastolatka, w obcisłe szorty i krótkie topy, eksponując wąską talię. Harris czasami zastanawiał się, czy Fanny kiedykolwiek wydorosłeje. Czy skończy jak ci żałośni dorośli, którzy nie potrafią zaakceptować swojego wieku. Jeszcze jeden Piotruś Pan, który czepia się swojej pseudomłodości, żeby uniknąć odpowiedzialności wieku dojrzałego.

- Fannie! Gdzie jest Marion? Fannie wskazała na ptaszarnię.

- Chciała przywitać się z wronami. Jest tam z Lijahem. Nie martw się. Potrafię zaopiekować się naszą córeczką.

Harris nie uśmiechnął się i zabrał się z powrotem za walkę z poplątanym drutem.

- Co robisz? - spytała Fannie.

- Szykuję nowe lokum dla dwóch sępów, które siedzą.

- Aha... - mruknęła Fannie, spoglądając przelotnie na ptaki. - Możesz przestać na minutę? Chciałabym z tobą pogadać.

- O czym znowu?

- Wiesz, o czym. O nas.

- O nas? Nas już nie ma.

- Wiem. I o tym właśnie chcę z tobą pogadać.

Harris spojrzał przez ramię na klinikę. Elli nie było widać.

- Chodźmy tam - powiedział i poprowadził Fannie w cień, pod koronę rozłożystego dębu, gdzie stał stolik ogrodowy. Poszła za nim i klaszcząc, przegnała spod dębu Bliźniaków.

- A sio! Uciekajcie stąd!

- Daj spokój, Fannie. One nikomu nie zrobią krzywdy.

- To przecież sępy. Nie lubię ich. Mama mówiła, że jak będę niegrzeczna, to sępy wydziobią mi oczy.

Harris nie odezwał się. Na temat matki Fanny wolał się w ogóle nie wypowiadać.

Fannie przysiadła na stoliku, Harris stanął obok stolika. Fannie potrząsnęła głową, przeczesła palcami swoje jasne włosy i zaczęła odgarniać je w tył. Niby bezwiednie, ale Harris odniósł wrażenie, że te efektowne gesty Fannie ćwiczyła nie raz.

- Czyli o czym chcesz pogadać? Gotowa jesteś do wyjazdu?

Fannie przestała bawić się włosami i położyła ręce na kolanach.

- Jak chcesz, potrafisz być bardzo okrutny.

- Nie jestem okrutny. Jestem tylko realistą. Powiedziałaś mi, że na jakiś czas potrzebujesz zacisznego miejsca, żeby dojść do siebie. Podejrzewam, że porządnie się wynudziłaś.

Fannie nagle skuliła się. Opuściła głowę, jasne włosy opadły na twarz.

- Chyba zasłużyłam na to - powiedziała cicho. - Och... - Poderwała głowę i spojrzała na niego błagalnie. - Harris, nigdy nie przestałam żałować, że wtedy od was odeszłam. Zostawiłam ciebie i Marion. Byłam nieźle pokrecona, myślę, że przez to dzieciństwo. Wiesz, jaka była moja matka, i ci wszyscy tak zwani tatusiowie, którzy przewinęli się przez nasz dom...

- Fannie, to było bardzo dawno temu. Nie jesteś już dzieckiem. Masz prawie trzydzieści lat i własne dziecko.

- Ale o pewnych sprawach trudno zapomnieć.

- Fakt.

- Żałuję, że sięgnęłam po narkotyki. Przysięgam. Podejrzewam, że była to ucieczka przed rzeczywistością. Gdybym mogła cofnąć czas...

Harris spojrział na nią, mrużąc oczy przed ostrym słońcem.

- Kiedy zostaliśmy małżeństwem, zaczęłaś znowu brać. Czy to była ucieczka przede mną?

- Ależ skąd! Nie miało to nic wspólnego ani z tobą, ani z Marion. Zawsze byłeś dla mnie taki dobry.

- W takim razie - dlaczego?

- To jest coś, co siedzi we mnie. Czasami robię się taka niespokojna. Czuję mrowienie w całym ciele... Bardzo trudno to wytłumaczyć, Harrisie.

Wiem, że popełniłam mnóstwo błędów. Robiłam rzeczy głupie, bardzo głupie. Ale wierz mi, zapłaciłam za to. Dostałam porządną nauzkę. Teraz jedynym moim pragnieniem jest zostać tutaj. Chcę być z moją córeczką. I z moim mężem, jeśli pozwoli mi znowu być jego żoną.

- Fannie...

- Proszę cię tylko o jeszcze jedną szansę. Przecież staram się.

- A jak długo będziesz się starać? Tydzień, miesiąc? Kiedy znowu poczujesz to mrowienie i zwiejesz?

- Nigdy więcej. Obiecałam Marion, że nigdy już stąd nie wyjadę.

- Dziecko uwierzy. Ale ja nie.

- To co chcesz, żebym zrobiła? - wykrzyknęła. - Jestem jej matką! Ona potrzebuje mnie, a nie Elli! Oczywiście, że jestem jej bardzo wdzięczna. Nauczyła mnie, jak opiekować się Marion. Ale w końcu ona jest pielęgniarką, miała obowiązek mnie nauczyć. Dłużej jej już nie potrzebujemy. Wiem, że ona nie jest ci obojętna, ale jej obecność tutaj może źle wpływać na dziecko. Kiedy Ella jest tutaj, nie zachowujemy się jak normalna rodzina. Przecież to ja powinnam zajmować się domem. A pewnego dnia, kiedy wszystko się ułoży, zacznę znów pomagać ci przy ptakach. Zawsze mówiłeś, że tworzymy zgrany zespół. Harrisie...

Nachyliła się, wzięła w dłonie jego dłoń i mocno ścisnęła.

- Kochanie... Nadal jestem twoją żoną. Nadal cię kocham. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Przecież moje miejsce jest tutaj, przy naszym dziecku. Tu jest mój dom...

Głos Fannie załamał się. Rozpląkała się. Harris teoretycznie powinien ją objąć i pocieszyć, ale jakoś nie mógł się do tego zmusić. Jedyne co zrobił, to nie cofnął swojej ręki. A Fannie wylewała morze łez. W końcu przełamał się. Usiadł koło niej na stoliku i podał jej chustkę. Otarła sobie twarz, potem objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego brzuch. Gest bardzo intymny, bardzo dla niego krępujący. Ale Fannie trzymała się go kurczowo, ciągle jeszcze popłakując.

Rozejrzał się dookoła. Na szczęście, żadnych świadków. Tylko Bliźniaki stały nieopodal i przyglądały im się, ale raczej obojętnie.

- Przepraszam - powiedziała po chwili Fannie, odzyskując panowanie nad sobą.  
- Tak długo dusiłam to w sobie. A teraz... jakby jakaś tama we mnie pękła.

Otarła oczy, wysiękała nos.

- Chustkę oddam ci, oczywiście, po upraniu.

- Mamo! Mamo!

Głos Marion. Szukała Fannie. Harris spojrzał na Fannie.

- Daję ci ostatnią szansę. Ze względu na dobro Marion.

Uświadomił sobie, że powtórzył słowa Elli. Fannie podskoczyła i objęła go, zachwycona.

- Ale jeśli choć jeden raz zapomnisz o teście, albo o zastrzyku, albo...

- Absolutnie! Nigdy!

Zza węgła wyszła Marion. Widząc rodziców przytulonych do siebie, przystanąła, przypatrywała im się przez sekundę, a potem z rozpromienioną buzią rzuciła się do nich galopem.

Harris złapał ją, podniósł i przytulił do piersi. Marion wyciągnęła rękę i objęła matkę za szyję. Byli teraz połączeni prawdziwie rodzinnym uściskiem.

Żadne z nich nie zauważyło Maggie, stojącej koło drzwi do magazynku. Ani Elli, stojącej obok Maggie. Elli, która odwróciła się i pobiegła jak strzała w przeciwnym kierunku, za kępę kwitnących oleandrów.

Maggie znalazła Ellę opartą plecami o chiński bez. Ella miała opuszczone ręce, martwy wzrok. Wyglądała jak posąg wykuty z kamienia.

- Popłacz sobie, Ello. To dobrze ci zrobi.



- Nie, Maggie. Nie będę płakać. Bo nikogo nie mogę winić. Nikogo, oprócz siebie. Nigdy nie powinnam była pokochać Marion. Ani jego. Wiedziałam, że jest żonaty, a chciałam go mieć dla siebie. Jego i Marion. Ukradłam ogień, teraz otrzymuję zasłużoną karę. Jak Prometeusz, którego bogowie ukarali tak okrutnie. Słyszałaś przecież. Przykuto go łańcuchami do skały, a sęp zjada mu wątrobę. Te męczarnie nigdy się nie skończą, bo wątroba stale odrasta. Podobnie jest z miłością, prawda? Prawdziwa miłość nigdy nie wygaśnie.

- Przestań. Nie masz racji. Harris tak naprawdę nie jest żonaty. Jest tylko spętany tym małżeństwem, a jednocześnie za głupi, żeby rozwiązać ten węzeł.

- A co to za różnica? Jest związany ze swoją żoną.

Odepchnęła się od drzewa, zdjęła liść, który przyczepił się jej do warkocza i wolnym krokiem podeszła do Maggie.

- Przemyslałam sobie wszystko na chłodno. Kiedy przyjechałam tutaj, uważałam, że każdemu jestem w stanie pomóc. Skuteczna, profesjonalna, niezawodna Ella Majors, znów w najlepszej formie. Niestety, zakochałam się. Uwierzyłam, że Harris i ja to coś realnego. A to był tylko sen. Dziecinna mrzonka. Dlatego jestem wściekła, że dałam się złapać w tę pułapkę.

- Masz zamiar wyjechać, tak?

Ella rzuciła liść, potem spojrzała na swoje puste ręce.

- Muszę. Nie jestem już tu potrzebna. Fannie daje Marion zastrzyki i pilnuje jej diety.

- Ale Harris...

- Proszę, tylko mu o tym nie mów. Nie utrudniaj mu jeszcze bardziej czegoś, co dla niego i tak jest już bardzo trudne.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Nie - powiedziała Ella i zaśmiała się gorzko.

- Ale muszę. A ty będziesz miała na wszystko oko. Obiecujesz?

- Zawsze to robię, Ello.

Objęły się serdecznie. Pożegnania nigdy nie są łatwe. Ella zawsze uważała, że po prostu trzeba pomachać, uśmiechnąć się. Zrobiła to. I odeszła, jak najszybciej.

Brady siedział razem z ojcem w łódce na rzece Wando. Poranek minął. Słońce było wysoko, upał niemiłosierny. Czyli łowienie dobiegło końca. Roy wyciągał z wody rybę, ostatnią tego dnia.

- Popatrz no na nią - gderał niezadowolony.

- Wystarczy na przekąskę.

- Jest bardzo mała. Wrzuć ją z powrotem.

- A kto by sobie tym zawracał głowę - burknął Roy i otworzył pokrywę wiadra, stojącego na dnie łodzi.

Brady nabrał głęboko powietrza.

- Ja, na przykład.

Roy znieruchomiał, z wijącą się rybą w ręku.

- Czy ty, synu, mówisz mi, co mam zrobić z tą głupią rybą?

- Tak.

Ojciec potrząsnął głową i zaśmiał się.

- Niepojęte. Ci cholerni ekolodzy rzeczywiście namieszali ci w głowie. -

Podniósł rybę i przyjrzał jej się dokładnie. - To może mi wyjaśnisz, co taka mała ryba może zmienić w tak dużej rzece?

Najłatwiej było oczywiście zrobić to, co zwykle. Zrezygnować z jakiegokolwiek dyskusji. Wzruszyć ramionami i spokój. Niech sobie wrzuca tę rybę do wiadra. Ale tym razem Brady'ego coś podkusiło. Nie ustąpić, chociaż chodziło tylko o głupią, małą rybę, a konsekwencje mogą być bardzo poważne.

- Oczywiście, że jedna ryba to niewielka różnica - powiedział. - Tak samo jeden strumień. Ale człowiek przynajmniej robi to co należy...

Był zaskoczony. Bo twarz ojca jakby złagodniała. Jakby faktycznie słuchał, co do niego mówi syn.

- Jeśli nikt, kto wyłowi niewyrośniętą rybę, nie wrzuci jej z powrotem do wody, to w lecie w tym strumieniu zabraknie tysięcy ryb, które mogłyby się rozmnażać. Z czasem w ogóle wyginą. A jeśli rybkę wrzuci się z powrotem do wody, jeśli zrobię to ja i jeszcze ktoś inny, wtedy wszyscy będziemy mogli tu wrócić i łowić ryby. Czyli nawet taka mała ryba jest bardzo ważna. Takie jest moje zdanie.

Ojciec potrząsnął głową. Po jego twarzy przemknął uśmiech. I po raz drugi zaskoczył Brady'ego. Wstał, wychylił się z łodzi i wrzucił rybkę z powrotem do wody.

- Zadowolony?

Brady wyprężył pierś i spojrzał ojcu prosto w oczy.

- Tak. Dziękuję.

Roy spojrzał na syna bardzo uważnie. Jak na kogoś obcego, kto stanął mu na drodze, a Roy tego obcego już gdzieś kiedyś widział.

- Lubisz ten swój ośrodek z ptakami?

- Tak - powiedział Brady, trochę zaniepokojony. Nie wiedział przecież, ku czemu ojciec zmierza.

- Mama mówiła, że masz zamiar przez całe lato pracować tam jako wolontariusz. Mimo że te prace społeczne już się skończyły, czy tak?

- Będę tam pracował - powiedział z dumą Brady. - Harris dał mi pracę ptasznika. Przydzielił mi nawet sokoła, którego będę samodzielnie szkolił. Nadałem mu już imię. Nazywa się Totem.

Roy skrzywił się.

- Totem? A co to za imię?

- Mnie się podoba. I ja naprawdę lubię pracować z ptakami. Tato, nareszcie znalazłem coś, w czym jestem dobry!

- Naprawdę? Hm... - Roy potarł w zamyśleniu brodę. - Czy ja tobie kiedyś opowiadałem, że twój pradziadek był sokolnikiem? Polował z sokołami. I hodował je. Brady'ego aż przytknęło.

- Na...naprawdę?!

Na twarzy Roya pojawił się szeroki uśmiech.

- Nie żartuję, synu. Opowiem ci o nim, jak będziemy wracać do domu. Bardzo mi go przypominasz. Był tak samo uparty.

Roy nachylił się nad wiadrem i sprawdził jego zawartość.

- No, nie jest tego zbyt wiele, ale zawsze coś tam matce przyniesiemy.

Wracamy, synu?

Brady skinął głową i zaczął wyciągać kotwicę z mulistego dna.

Kiedy Ella po raz ostatni szła do pokoju Harrisa, był dopiero świt. W korytarzu było ciemno, panował tu przyjemny chłód. Cały wczorajszy dzień padało i wreszcie ochłodziło się. W całym domu na noc zostawiono otwarte okna. Ella słyszała teraz postukiwanie drewnianych okiennic, poruszanych przez wiatr.

Nie zapukała do drzwi z obawy, że obudzi Fannie albo Marion. Uchyliła je, krzywiąc się, kiedy zawiasy zapiszczały i weszła do pokoju. W którym nigdy nie panował idealny porządek. Wszędzie leżały porozrzucane ubrania, na podłodze i na biurku stopy papierów i książek.

Omijając wszystkie przeszkody, podeszła do dużego dwuosobowego łóżka i spojrzała na śpiącego Harrisa. Pochrapywał cichutko. Nie chciała go budzić. Nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość siły, żeby się z nim pożegnać. W ciągu minionych kilku godzin, zanim nadszedł świt, napisała kilkanaście listów. Wszystko podarła. Przecież nie odejdzie stąd bez słowa, zostawiając mu kartkę na stole kuchennym.

Ostrożnie dotknęła nagiego ramienia. Drgnęło. Wtedy potrząsnęła nim. Najpierw ostrożnie, potem stanowczo.

Harris obudził się nagle. Poderwał głowę z poduszki i spojrzał na Elle półprzytomnym wzrokiem.

- Harris, to ja... Ella.

Otarł twarz ręką. Niebieskie oczy jaśniały w półmroku. W pierwszej chwili widać w nich było zaskoczenie, zaraz potem pojawił się uśmiech.

- Ella...

Przesunął się na bok i zachęcająco podniósł kołdrę. Ale jego ręka zawisła w powietrzu, kiedy zauważył, że Ella jest kompletnie ubrana. W spodnie koloru khaki i T-shirt.

- Która godzina?

- Piąta.

Usiadł i odgarnął włosy z czoła.

- Dokąd się wybierasz?

- Sama jeszcze nie wiem.

- Nie rób tego, Ello.

Złapał ją za rękę. Szarpnęła się, ale Harris nie puszczał.

- Proszę, puść mnie, Harrisie.

Był silniejszy, oczywiście. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Zmusił, by położyła się na wygrzanym prześcieradle i przykrył ją swoim ciałem.

- Nie możesz odejść.

W oczach Elli zakręciły się łzy. Ale nie poddała się. Zebrała się w sobie i próbowała go odepchnąć.

- Muszę. I chcę.

- Chcesz mnie tak zostawić? Zostawić Marion?

- Nie bądź niesprawiedliwy. Oboje dobrze wiemy, że to ty podjąłeś decyzję.

Miałam nadzieję, że będzie inna. Cóż, jest, jak jest, a ja muszę to zaakceptować.

Obiecaj mi tylko jedno. Nie spuszczaaj oka z Marion. Pilnuj, żeby regularnie dostawała lekarstwo i przestrzegała diety. Zdaj się na swój instynkt. Jeśli zaczniesz podejrzewać, że coś jest nie w porządku, działaj natychmiast. Przysięgnij mi!

Czuła, jak jego mięśnie rozluźniają się. Harris wycofał się z walki. Spojrzeli na siebie, każde z nich zobaczyło w oczach drugiego największy smutek. Wiedzieli, że to już koniec.

- Przysięgam - powiedział cicho zachrypniętym głosem.

Uśmiechnęła się, słodko i smutno. Podniosła rękę, odgarnęła mu włosy z czoła. Harris zacisnął powieki.

- A więc... żegnaj, Harrisie. Dla mnie każdy dzień, spędzony tutaj, razem z tobą i Marion, był cudownym darem losu. Dziękuję. Życzę wam dużo szczęścia.

- Szczęścia? Przecież wyjeżdżasz. To jak przekleństwo. Będę nieszczęśliwy.

- Żegnaj... - szepnęła jeszcze raz.

Pocałowała go, nie zamykając oczu, pragnąc zachować w pamięci każdy szczegół. Zsunęła się z łóżka.

Tym razem nie próbował jej zatrzymać.

***Terytorium.** Teren, gdzie ptak znajduje miejsce na założenie gniazda, rewir łowiecki i wodę, określamy jako jego terytorium. Utrata terytorium z powodu prowadzenia prac budowlanych, osuszania mokradeł, wycinki lasu oraz używania w rolnictwie środków chemicznych odbija się bardzo negatywnie na populacji drapieżców. Na całym świecie powyższe czynniki są największym zagrożeniem dla dzikiej przyrody.*

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Czerwiec rozpoczął się falą nieznośnych upałów, które utrzymywały się do chwili zrównania dnia z nocą. Miejscowi zapamiętali rozprawiali na temat globalnego ocieplenia, a mieszkańcy północnej części stanu załamywali ręce nad wysychającymi rzekami i jeziorami. Wszyscy modlili się o deszcz. Trawa wyschnięta była na wiórek, leśnicy zabronili rozpalania ognisk w lesie. Tylko turyści na plażach byli zadowoleni.

Harris, mamrocząc coś pod nosem, ciągnął po wyschniętej trawie wózek załadowany drewnem budulcowym. Słońce paliło niemiłosiernie, ale on konsekwentnie bawił się w zwierzę pociągowe. W końcu udało mu się zebrać odpowiednie środki i mógł zacząć budowę wymarzonych wielkich woliery. Od wielu miesięcy rozmawiał z Ellą o swoich planach. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie je realizować. A kiedy wreszcie zaczął, ona niestety wyjechała.

Zrzucił ostatni ładunek drewna na ziemię.

- Usiądź sobie i napij się - powiedział Lijah, podając mu puszkę z zimnym napojem. - Pracujesz za trzech.

To prawda. Harris usiadł ciężko na stosie drewna i przytknął puszkę do ust. Pracował na okrągło, albo w klinice, albo trenował ptaki, albo budował woliery. Tylko kiedy pracował, odzyskiwał jaki taki spokój. Oczywiście, dawało się to we znaki.

Plecy bolały, ręce były jak z gumy, kiszki z głodu marsza grały. Oczy przekrwione. Od tygodnia, czyli od wyjazdu Elli, prawie nie sypiał. Nie miał apetytu.

Tęsknił nawet za kuchnią Elli!

- Ejże, synu, czy to, co widzę na twojej twarzy, to przypadkiem nie uśmiech? - spytał Lijah. - Czegoś takiego dawno nie widziałem. Odkąd Ella wyjechała.

Harris podniósł głowę, sam zaskoczony, że tak się zamyślił.

- Ach, trochę się zadumałem...

- Nie dziwię się. Mnie też jej brak. Ta Fannie to całkiem inny gatunek człowieka. Nie potrafię zaufać komuś, kto nie umie zaparzyć przyzwoitej kawy. Ze mną nie gada, oczywiście, ale widziałem, jak skakała koło Brady'ego. Przyniosła mu coś do picia. A wdzięczyła się do niego...

- Wszystkim nam przynosi picie - mruknął Harris. Niestety, tych dwoje nie znosiło się. Fannie co wieczór suszyła Harrisowi na ten temat głowę. Lijah wypowiadał się za dnia.

- Chmury nadciągają - powiedział Lijah, spoglądając w niebo. - Pogoda się zmieni.

- Miejmy nadzieję. Deszcz jest bardzo potrzebny. Chociaż wolałbym, żeby nie padało, zanim nie skończymy tej woliery. Już widać, że będzie niezła, co?

- Jasne. I pierwsza moja Santee rozprostuje w niej skrzydła. Zgoda?

- Oczywiście. Już czas. Płuca wyleczone. Trochę treningu i dziewczyna może sobie lecieć. Chociaż nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeszcze trochę u nas pobyła. Razem z tobą...

- Nie mogę - powiedział Lijah, w jego głosie był cień żalu. - Ale dziękuję za dobre słowo. Najwyższy czas, żeby moja Santee wróciła do Pee Dee. Tak samo jak ja do mojej Marthy. Ona czeka aa mnie. Mam przecucie, że niedługo się z nią spotkam.

- Źle się czujesz? W takim razie trzeba się zbadać. Znam jednego bardzo dobrego lekarza z Mount Pleasant.

- A co to da? Do szpitala na pewno nie pójde. Poza tym ja sam wiem, co mi jest. Po prostu boli mnie, tu i tam, jak każdego starego człowieka. Kiedy człowiek tak długo przebywa w swoim ciele, sam czuje, że jego łódź zaczyna dobijać do brzegu.

Harris wstał, położył rękę na ramieniu Lijaha i poprowadził go w cień, pod koronę rozłożystego dębu.

- Teraz ty usiądź i odpocznij. Jesteś cieślą, a ja tylko niewykwalifikowanym robotnikiem. Skończę robotę z Bradym.

- Może i odpocznę. Chwilkę. Ale chcę, żeby to moje ręce zbudowały wolierę. Chcę zostawić coś po sobie, zanim stąd odejdę. Jakiś ślad.

- Ślad po tobie zostanie w każdym z nas. Nigdy o tobie nie zapomnimy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, obaj głęboko poruszeni. Potem Lijah powoli skinął głową.

- Dziękuję. To najpiękniejsze, co człowiek może po sobie zostawić.

- Mamusiu, ja nie czuję się dobrze.

- Och, nieprawda... - Oczy Fannie nie odrywały się od ekranu telewizora. - Chodź tutaj obejrzysz ze mną film.

Fannie leżała na sofie, owiewana dwoma wiatraczkami.

- Nie chcę już oglądać telewizji - zajęczała Marion i rozdrażniona tupnęła nogą. - Cały dzień tu leżymy.

- I będziemy tu leżeć całą noc.

- Ella chodziła ze mną na spacer. Nie możemy iść na spacer? Odwiedzimy wrony.

- Oszalałaś? Na spacer? W taki upał?!

- To może zagramy w jakąś grę?

- Skarbie! - W głosie Fannie pojawiły się ostrzegawcze nutki. - Nie widzisz, że mama ogląda film?

- Ale ja tęsknię za Ellą...

Fannie, zła i spocona, odwróciła głowę.

- Mam dość tego jęczenia! Ella i Ella. Święta Ella! Ella robiła to, Ella robiła tamto. Ona wyjechała, jasne? Ja jestem twoją mamą i teraz ja tu rządę.

Marion westchnęła, otarła spocone czoło i podeszła do sofy. Stała tam trochę, bez większego zainteresowania popatrzyła w ekran.

- Ale głowa mnie boli, mam. Niedobrze mi.



- Niedawno robiliśmy test, skarbie. Wszystko było w porządku. To ten upał tak wykańcza... Wiesz co? Weź sobie kartonik z sokiem pomarańczowym. Na pewno poczujesz się lepiej.

Fannie słyszała, jak Maggie otwiera lodówkę. Potem zaskrzypiały schody. Marion poszła do swojego pokoju.

Chwała Bogu, pomyślała, wydając z siebie głębokie westchnienie pełne ulgi. Ten dzieciak powoli zaczynał działać jej na nerwy.

Tego wieczoru Harris wrócił do domu ledwo żywy, ale zadowolony. Lijah okazał się nadzwyczajnym cieślą. Jego sękaty palec tak długo obrabiał kawałek drewna, póki nie był gładki jak jedwab. Silne plecy Brady'ego też się przydały. Przy takim tempie i z takimi pracownikami w końcu tygodnia woliera będzie gotowa.

Wszedł do domu, gdzie wcale nie było chłodniej niż na dworze. Głośny szelest wiatraków i głosy z telewizora wydały mu się ogłuszające. Fannie leżała na sofie, brudne stopy oparte o poręcz. Oba wiatraki skierowane były na szczupłe ciało, ubrane tylko w króciutkie szorty i biustonosz.

Spojrzenie Harrisa przemknęło po pokoju i powróciło do Fannie. Spojrzenie pełne wyrzutu. Wszędzie porozrzucone były zabawki, w kącie stał kosz z upraną bielizną, czekającą na poskładanie. Na stole stały brudne naczynia. Kiedy Harris zobaczył na stoliczku do kawy dwie puste butelki po piwie, zalała go fala wściekłości.

Trzasnął drzwiami. Fannie natychmiast odwróciła głowę.

- O, Harris! Chwała Bogu, że już jesteś w domu. Co nowego?

- Gdzie jest Marion?

Fannie, słysząc jego lodowaty głos, natychmiast usiadła na sofie.

- Siedzi u siebie, na górze. Tam jest znacznie chłodniej.

Harris podszedł do telewizora i wyłączył go.

- Ile razy powtarzałem, że nie wolno cały dzień siedzieć z Marion przed telewizorem!

- A co mamy robić? Na dworze upał jak cholera. Powinieneś coś zrobić, zanim upieczemy się żywcem. Postaraj się o klimatyzację.

- Mówiłem już, nie teraz. Wszystkie pieniądze wydałem na nową wolierę.

- A niech ją szlag! Twoją woliere i te twoje ptaki! Przez te wszystkie lata nic tu się nie zmieniło! Nic!

- Klimatyzacja jest w dwóch pokojach! Możesz tam iść!

- Nie przeniosę tam telewizora!

- Nie musisz wiecznie oglądać telewizji!

- A co ma robić na tym zadupiu?

- Dobrze wiedziałaś, jak tu jest! Błagałaś, żebym pozwolił ci zostać. I to nieprawda, że nie ma tu nic do roboty. Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Aha! Pranie, na przykład? Uwielbiam. Kopanie w ogródku? Gotowanie?

Pasjonujące!

- Skończyłaś?

- Nie! Dopiero zaczęłam.

Teraz cały czas walczyli z sobą. Fannie była niezadowolona ze wszystkich i ze wszystkiego.

- Podejrzewam, że obiadu dziś nie ugotowałaś?

Fannie zaczęła drapać się po ramionach, jakby nagle dostała wysypki.

- Za gorąco na gotowanie. Myślałam, że zamówimy pizzę.

- Zamawialiśmy wczoraj.

- No to dziś też zamówimy! - wrzasnęła. Przeczesała palcami włosy, chwyciła spinkę ze stołu i wsunęła we włosy. Harris zauważył, że jej ręce drżą.

- Z tobą wszystko w porządku, Fannie?

- Harris...

Odwróciła się. Po zmęczonej twarzy płynęły łzy.

- Staram się, naprawdę się staram, ale to jest takie trudne. Ja już tego nie wytrzymuję. To dziecko ciągle czegoś ode mnie chce. Jestem tym znudzona i wyczerpana. Może potrzebna mi przerwa. Trochę czasu tylko dla siebie. Trochę zabawy.

Harris westchnął ciężko. Miał uczucie, jakby jego serce pod wpływem upału i zmęczenia znalazło się nagle gdzieś na poziomie jego butów.

Fannie, wyczuwając zmianę w jego nastroju, podeszła i objęła go za szyję.

- Nie chcę się już z tobą kłócić - powiedziała, zniżając głos. - Przecież nie po to wróciłam do domu. Tęsknię za tobą. Nie przychodzisz do mnie w nocy. Jak myślisz, jak ja się z tym czuję? Może gdybyśmy byli ze sobą... bliżej, czułabym się tu lepiej, bardziej jak w domu.

Otarła się o niego kusząco biodrami. Położył na nich ręce i nagle złość przeszła, przeradzając się w namiętność. Pochylił głowę, odszukał ustami jej usta. Jego palce na biodrze Fannie natrafiły na ostry rozek plastiku wystający z kieszeni szortów. Odruchowo pociągnął. Małe plastikowe opakowanie. Chciał je rzucić na stół, ale coś go tknęło. Oderwał usta od ust Fannie i spojrzał w dół.

Fannie zaczęła całować go w szyję, po chwili zorientowała się, że on wcale nie reaguje. Stoi nieruchomo jak posąg. Spojrzała mu w oczy, potem tam, gdzie wlepiony był jego wzrok. Na dłoń Harrisa, na której leżało małe opakowanie z tabletkami.

- Ile tego wzięłaś? Tymi tabletkami można uśpić słonia!

- Żadnej! Nie wzięłam żadnej!

- Nie kłam, Fannie!

Rozerwał plastik i znalazł jedną tabletkę, przeciętą na pół. Był bliski furii. Ścisnął tabletki z całej siły, żeby powstrzymać rękę. Bo inaczej chyba zbiłby Fannie do krwi. Te tabletki zostały skradzione z kliniki, na pewno. Przypomniawszy sobie, że całkiem niedawno natknął się tam na Fannie. Kiedy spytał ją, co tu robi, zaczęła śmiać się nerwowo i powiedziała, że po prostu przyszła sobie popatrzeć. I jemu to wystarczyło.

Idiota.

Fannie skuliła się.

- No dobrze, dobrze, może wzięłam, ale naprawdę tylko kawałeczek. Harris, ja tu się zanudzę na śmierć! Nie rozumiesz? A nikomu przecież nie zrobiłam żadnej krzywdy!

Nikommu.

Harris zaklął i wsunął szybko tabletki do kieszeni.

- Marion!

Pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Marion leżała spokojnie na łóżku i przeglądała książkę.

- Cześć, tatusiu!

- Cześć, skarbie.

Odczekał chwilę, by się uspokoić, i przysiadł na brzegu łóżka.

- Co to za książka, skarbie?

- „Dobranoc, Księżycu!”. Ella zawsze wieczorem czytała mi tę bajkę. Tatusiu, ja tęsknię za Ellą.

Serce Harrisa ścisnęło się boleśnie.

- Tak powiadasz? Bo ja też.

- Czy ona wróci?

- Nie sądzę.

- A może jest na dole? Możesz powiedzieć, żeby przysłała do mnie i przeczytała mi tę książeczkę?

- Przecież wiesz, kotku, że Ella wyjechała.

- Ale ja i tak jej poszukam - powiedziała Marion. Zsunęła się z łóżka i zaczęła iść do drzwi. - Ona też bardzo lubi tę książeczkę.

Dziecko było kompletnie zdezorientowane. Harris zerwał się z łóżka, chwycił dziecko za ramionka, spojrzał w twarz. Policzki były zarumienione, w oddechu wyczuł zapach owoców.

- Boli cię głowa?

- Tak, tatusiu. I chce mi się pić.

Zaniósł ją z powrotem na łóżko.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zostań tutaj, tatuś pójdzie po test. Zaraz wracam.

Kątem oka zauważył pusty kartonik po soku. Zbiegł szybko po wąskich schodach, przebiegł przez pokój.

- Co się stało? - zawołała Fannie, idąc za nim do łazienki.

- Kiedy po raz ostatni sprawdzałaś poziom cukru? - spytał, wyjmując z apteczki glukometr.

Fannie przyłożyła drżącą rękę do czoła.

- Czekaaj, niech pomyślę. Na pewno niedawno. Ale dokładnie nie pamiętam. Nie zapisałam tego?

- Nie! - warknął. Odsunął ją na bok i pobiegł na górę. Według zapisu w karcie, Marion nie dostała ostatniego zastrzyku insuliny. Może nawet dwóch.

Dlatego przeklinał. Siebie, że zaufał Fannie. Uwierzył, że można ją uratować, uratować ich małżeństwo, uratować ich rodzinę. Swoją naiwnością naraził dziecko na największe niebezpieczeństwo. Nigdy więcej już do tego nie dopuści.

Zanim wszedł na schody, odwrócił się i wymachując Fannie palcem przed nosem, ryknął:

- Pakuj się! Jutro wyjeżdżasz!

Marion była oszołomiona, ale starała się współpracować z ojcem. Bez żadnego oporu podała mu paluszek. Potem, kiedy robił zastrzyk, nawet nie pisnęła. Kiedy skończył, objął małą i kołysał ją. Wiedział, że będzie musiał wezwać lekarza. Ale jeszcze nie teraz, trzeba odczekać, aż insulina zadziała. I utulić dziecko.

- Nie martw się, kotku. Tatusz jest przy tobie - powtarzał jej do uszka, w duchu składając sobie jedną przysięgę za drugą, co on zrobi, co on zmieni. Wszystko, byleby jego córka była bezpieczna.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Zobaczysz.

**Gatunki wskaźnikowe.** Ptaki drapieżne są gatunkami wskaźnikowymi, czyli bioindykatorami. Jako drapieżcy znajdują się na szczycie łańcucha pokarmowego. Zanim drapieżca zachoruje lub umrze od trujących chemikaliów, toksyna zdąży przebyć długą drogę przez trzy kolejne ogniwa łańcucha pokarmowego: rośliny, zwierzęta roślinożerne, mięsożercy. Może być milion razy bardziej skoncentrowana niż w chwili, kiedy przedostała się do środowiska. Jeden na osiem gatunków ptaków zagrożony jest wyginięciem w ciągu najbliższego stulecia.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Poranne słońce zastało Harrisa przy stole. Kompletnie ubranego, z kubkiem gorącej kawy w rękach. Prawie całą noc spędził przy Marion. Bał się zostawić ją nawet na chwilę, chociaż lekarz zapewniał, że kryzys minął. Ale Harris nigdy nie zapomniał koszmaru tamtego wieczoru w Wall-Marcie, kiedy stał bezradny i patrzył, jak jego córeczką wstrząsają drgawki.

Spojrzał na zegarek. Parę minut po szóstej. O dziewiątej ma odbyć się pokaz lotów dla grupy dyrektorów z pewnej korporacji, skłonnej sponsorować ośrodek. Termin ustalono wiele miesięcy temu, nie można niczego odwołać. Jedyna nadzieja w Maggie. Wziął słuchawkę i mimo wczesnej pory wystukał znajomy numer. Maggie zgłosiła się już po drugim sygnale, od razu przechodząc do meritum.

- Nie martw się. Na pewno przyjadę. Będę o wpół do ósmej.
- Nie chcę zostawiać Marion z Fannie.

Odłożył słuchawkę, świadomy, że w drzwiach stoi Fannie, z torbą w ręku. Oczywiście wszystko słyszała.

- Przepraszam - odezwała się pełnym skruchy głosem. - Nigdy bym nie zrobiła czegoś celowo, żeby skrzywdzić Marion. Kocham ją. Bardzo się starałam.

- Wiem - powiedział zmęczonym głosem. Nie czuł już żadnego gniewu. Jeśli cokolwiek jeszcze czuł do Fannie, to tylko litość. - Siadaj. Chcesz kawy?

- Dzięki. Nie wstawaj, sama sobie zrobię. Postawiła torbę na podłodze i poszła do kuchni.

Wróciła po kilku minutach, z kubkiem kawy. Wyglądała bardzo mizernie. Opuchnięte powieki, cienie pod oczami. Nie wyglądała już tak kwitnąco, jak na początku swego pobytu. A to że wyglądała wtedy tak pięknie, było po prostu zasługą Elli. Harris uświadomił to sobie dopiero teraz.

- Jesteś pewien, że nie chcesz dać mi jeszcze jednej szansy?

Odchylił się w swoim krześle, nie wierząc własnym uszom, że Fannie ma jeszcze czelność prosić o coś takiego. Przez moment mierzyli się wzrokiem.

- Nie. Chcę się z tobą rozwieść, Fannie. Chyba najwyższy czas, prawda?

- Nie! Ja wcale tak nie myślę!

- Ciszej. Marion śpi.

- Nie chcę rozwodu - zaszeptła gorączkowo, nachylając się do niego ponad stołem.

- Ale ja chcę.

- Ale ja ci go nie dam.

- Prawo jest po mojej stronie, Fannie. Mam niepodważalne argumenty.

Porzucenie, narażenie na niebezpieczeństwo, zaniedbanie. Wystąpię o wyłączne prawo do opieki nad Marion.

Fannie zbladła. Czyli docierało do niej, że tym razem Harris mówi na serio.

- To wszystko z powodu Elli, tak?

- Nie. Z twojego powodu. Także mojego i Marion. Dla dobra nas wszystkich.

- Czyżby? Myślisz, że jesteś taki sprytny? A ja jestem bardzo ciekawa, co powie sędzia, kiedy się dowie, że zadawałeś się z tą pielęgniarką!

- Nie szkodzi. I tak dostanę rozwód.

- Tak? W takim razie nie zapominaj, że połowa majątku należy się mnie.

Połowa! Rozwiedź się ze mną, a ja puszczę cię z torbami. Wykończę.

Harris wzruszył ramionami.

- Co będzie, to będzie. Zrozum, Fannie, ja nie chcę cię krzywdzić. Chcę po prostu czegoś jeszcze od życia. Poza tym zupełnie nie rozumiem, dlaczego ty tak uczepiłaś się tego małżeństwa.

- Dlaczego? Bo kocham cię. Ciebie i Marion.

- Oboje wiemy, że to tylko puste słowa. Marion i ja jesteśmy już zmęczeni rolą poduszki do miękkiego lądowania. Jeśli się kogoś naprawdę kocha, wtedy jego potrzeby są dla nas ważniejsze niż nasze własne. A ty kochasz tylko swój nałóg. Zawsze był ważniejszy ode mnie, od Marion, nawet od twojego własnego dobra. Dlaczego, Fannie? Dlaczego?

W jej oczach pojawił się lęk, ale odpowiedziała uczciwie.

- Nie wiem.

- Fannie, pozwól sobie pomóc. W Charlestonie jest bardzo dobry ośrodek dla uzależnionych...

- Nie! - Fannie odchyliła się w swoim krześle i energicznie potrząsnęła głową. - Nie ma mowy.

- Potrzebujesz pomocy, Fannie. Nie chodzi tylko o narkotyki. Musisz dojść do ładu ze swoją przeszłością, swoim dzieciństwem...

- Nie! - Wzburzona machnęła ręką, jakby odganiając od siebie jego słowa. - Zapomnij o tym. Nigdzie nie dam się zawieźć.

- Powiniennem był zrobić to wiele lat temu.

- Czy ty jesteś ślepy? - krzyknęła histerycznie. - Przecież ty już tyle razy próbowałeś mi pomóc! Spójrz lepiej prawdzie w oczy. Nie uratujesz mnie. Bo ja, ja sama tego nie chcę!

O wpół do ósmej Harris przemierzał ganek niespokojnym krokiem, co chwilę spoglądając na zegarek. Dał już Marion zastrzyk. Teraz matka i córka siedziały przed telewizorem, na podłodze i grały w karty.

Za dwadzieścia ósma. Harris znów wystukał numer Maggie. Bob, jej mąż, zapewnił go, że Maggie wyjechała z domu jakiś czas temu. Lada chwila będzie w ośrodku.



- Harris, na litość boską! - odezwała się Fannie z podłogi. - Przecież opiekowałam się Marion przez tyle tygodni. Mogę chyba przypilnować jej jeszcze przez pięć minut. Siedzimy przed telewizorem i gramy w karty. Co może się stać?

Harris zastanowił się przez moment. Jak długo go tu nie będzie? Pięć minut na dojsście. Tam i z powrotem dziesięć. Sam pokaz trwać będzie pół godziny. Czyli za niecałą godzinę będzie już w domu.

Maggie ma zjawić się tu lada chwila.

- W porządku - powiedział, wcale nie zachwycony swoją decyzją. Podeszedł do Marion i pocałował ją w czoło. - Pa, skarbie. Niedługo wracam.

- Pa, tatusiu! - powiedziała, nie odrywając oczu do kart.

- Fannie - powiedział, stając przed żoną i patrząc jej prosto w oczy. - Zastanów się jeszcze nad tym, co ci powiedziałem. Chodzi o ten ośrodek.

Fannie nie odpowiedziała. Pomachała mu tylko ręką, przebierając palcami. Tak jak to robią dzieci.

Minął kwadrans. Maggie nadal się nie pojawiała, a Fannie od kwadransa przekopywała się przez szuflady Harrisa, próbując znaleźć w nich coś, co miałyby jakąś wartość.

- Adios, amigos - mamrotała, sprawdzając kieszenie spodni. - Znikam stąd. Do żadnego ośrodka nie pojedę. Nie ma siły. A ty występuj sobie o ten rozwód, bardzo proszę. Wyślę ci pocztówkę z adresem, pod który masz przysyłać pieniądze.

Wróciła do pokoju i spojrzała na otwartą dłoń.

- No nie... Dwa dolary trzydzieści dwa centy. Nie ma nawet porządnego zegarka, który można by zastawić. Marion, czy wiesz, że twój tata jest biedny jak mysz kościelna?

- Nieprawda! - Marion oderwała oczy od ekranu telewizora i energicznie potrząsnęła kędzierzawą główką. - Tatusz często mi mówi, że jest najbogatszym człowiekiem na świecie!

Fannie zaśmiała się, krótko i nieprzyjemnie, ale widząc zdezorientowaną twarz dziecka, dodała szybko:

- Skoro tatuś tak mówi, coś w tym musi być!

Schowała pieniądze do kieszeni i wyciągnęła rękę.

- Chodź, skarbie. Przejdziemy się. Zawsze chciałaś pójść ze mną na spacer.

- O, tak!

Marion, zachwycona, poderwała się z podłogi.

- Będziemy się bawić w szpiegów, dobrze? Mamy do wypełnienia tajną misję. Musimy coś znaleźć, ale tak, żeby nikt nas nie zauważył, rozumiesz? Teraz cicho, sza. Pamiętaj, jesteśmy szpiegami.

Trzymając się za ręce, przemknęły przez podwórze i przykucnęły koło ptaszarni. Jedną z woliery, tam, gdzie przebywała Santee, sprzątał stary Lijah. Nie zauważył, kiedy chichocząc i zasłaniając usta, przebiegły na palcach. Klinika zamknięta była na cztery spusty. Pierwszą zmianę miała mieć Maggie. Brady i inni wolontariusze zjawiają się około dziewiątej. Tylko dwa sępy popatrywały zza siatki, jak Fannie podnosi Marion i sadza ją na jednej z dolnych gałęzi wysokiej, dumnej sosny długoigielnej, która rosła na tyłach kliniki.

- Hej! Hej! - zawołała do matki rozradowana Marion, zachwycona, że jest na drzewie.

- Ci... Zapomniałaś, że jesteśmy szpiegami? Widzisz to okno? Górne skrzydło jest otwarte. Dasz radę wejść do środka?

- Ale tam jest siatka!

- Kopniesz ją i polecisz.

- Tatuś będzie zły.

- Powiem, że to ja ci kazałam. No, idź już, idź!

Marion przeszła po gałęzi do okna, usiadła i kopnęła siatkę.

- A widzisz? Mówiłam ci, że wystarczy kopnąć. Teraz wsuń się do środka. Pod oknem stoi biurko, łatwo ci będzie na nie zeskoczyć.

Marion zrobiła dokładnie, co kazała matka. Stała teraz na biurku, po drugiej stronie okna i patrzyła na matkę pytająco.

- Teraz, skarbie, biegnij i otwórz szybko drzwi.

Fannie, kiedy weszła do kliniki, poszła od razu do pokoju na zapleczu, gdzie w małej szafce przechowywano lekarstwa. Szarpnęła za klamkę, niestety, szafka była zamknięta na klucz. A było już po ósmej!

- Czego szukasz, mamusiu?

- Czegoś do zabawy. Chodź ze mną.

Zaprowadziła dziecko z powrotem do pierwszego gabinetu, usadziła na krześle i podała puszkę z preclami.

- Posiedź tu sobie. Teraz mi nie przeszkadzaj.

- Ale ja myślę, że nam nie wolno tu być!

- Cicho! I nie ruszaj się stąd!

Poszła do pokoju zabiegowego. Otworzyła szafkę, w której przechowywano leki do codziennego użytku i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, zaczęła przesuwać na bok tubki i opakowania. Było tego mnóstwo. W końcu jednak znalazła.

Eter! Zaśmiała się i wyjęła eter z szafki. Nigdy tego nie próbowała, ale słyszała, że po eterze też można mieć niezły odlot. Odkręciła zakrętkę i wylała kilka kropel na płócienną ściereczkę. Kiedy poczuła silny odurzający zapach, zawahała się na moment.

- A co tam! - mruknęła po chwili i podsunęła sobie ściereczkę pod nos. Pociągnęła ostrożnie nosem i odczekała chwilę. Nic. Skropiła jeszcze raz ściereczkę i tym razem wciągnęła zapach bardzo mocno.

- Mamusiu, co ty robisz?

- Ach, po prostu się bawię, skarbie. Wrzuciła ściereczkę do wiadra na śmieci.

W głowie jej się kręciło, jakby była lekko wstawiona. Poruszyła palcami u rąk i u nóg. Trochę zdrtwiała. Spróbowała podejść do Marion. Nic z tego. Nogi miała jak z waty.

- O, nie - jęknęła, przytrzymując się blatu. - Faktycznie, ale odlot. Marion, idź, kochanie, do drugiego pokoju. Nie chcę, żebyś wachała to świństwo.

Osunęła się na podłogę. Usiadła, nogi wyprostowała przed sobą, tak jak to robią dzieci. Zaczęła śmiać się do swoich stóp, bo wydały się jej nagle bardzo zabawne. Która to może być godzina? Niestety, nawet mrużąc oczy, nie udawało jej się zobaczyć cyfr. Wszystko było zamazane. Ale w sumie, czy to ważne? Najważniejsze, że zadziało.

Genialnie. Wszystko dookoła spowite było w mgłę, a ona w tej mgłę czuła się bezpiecznie. Och, jak bardzo tego potrzebowała! Harris powiedział, że ona najbardziej

na świecie kocha swój nałóg. Bardziej niż jego, bardziej niż Marion. I to była prawda. Dla niej również bardzo bolesna.

Trudno... A skoro o nałogach mowa, może by tak papieroska? Zaczęła grzebać w torebce, w końcu znalazła papierosy w kieszeni. Wyciągnęła je zdrętwiałymi palcami. Po kilku nieudanych próbach udało jej się włożyć papierosa do ust. Dziwne, pomyślała, jej wargi też są właściwie bez czucia. Zachichotała. Zapaliła zapałkę, przytknęła do papierosa. Zapalił się. Machnęła zapałką, żeby ją zgasić i wrzuciła do śmieci.

Ten szum, syk. Co to? Ach nic, to tylko te ptaki. Złotopióre, czerwonopióre... Wyfruwały z wiadra z śmieciami, siadają na papierach, na zasłonach, na ściereczkach. Pożerają je i fruną dalej.

Ptaki, ptaki ogniste...

- Mamo!

Przez skorupę odrętwienia przebił się rozpaczliwy krzyk. Marion. Jej dziecko! Instynkt macierzyński kazał zrobić nadludzki wysiłek. Poruszyć się. Stanąc na czworakach i posuwać się do przodu. Dotrzeć do małego gabinetu pod drugiej stronie korytarza, gdzie pod biurkiem siedziała skulona, przerażona Marion.

Lijah słyszał, jak ptaki krzyczą. Biją na alarm. Wybiegł z woliery i wtedy zobaczył. Pomarańczowe płomienie i czarne pióropusze dymu, unoszące się nad kliniką.

- Boże, zmiłuj się nad nami!

Podbiegł do drzwi pokoju zabiegowego. Kiedy je otworzył, ze środka buchnęły płomienie. W tym samym momencie wysadziło szybę z okna na lewo od drzwi. W ostatniej chwili pochylił głowę i zakrył twarz, osłaniając się przed kawałkami szkła. Kaszłąc, wycofał się na bezpieczną odległość, zastanawiając się gorączkowo, czy jest jakaś możliwość wejścia do środka.

Znów huk. Wysadziło szybę w oknie sali zabiegowej. Czyli los ptaków na intensywnej terapii jest już, niestety, przesądzony.

Odwrócił się i zaczął biec. Do woliery rehabilitacyjnych.

Brady spóźnił się. Jadąc do ośrodka, zauważył przy drodze Maggie. Stała nad otwartą maską. Wezwali pomoc drogową. Brady poczekał razem z Maggie, aż

przyjadą i wezmą jej samochód na hol. Zabrał ją do swego samochodu. Kiedy wjeżdżał na parking, zobaczyli nad koronami drzew smugę dymu.

Brady pognał w stronę kliniki, Maggie do domu Harrisa.

- Zobaczę, co z Marion - krzyknęła przez ramię. - Zadzwonię po straż pożarną!

Brady, biegnąc przez podwórze, zauważył Lijaha wychodzącego z woliery rehabilitacyjnych. Lijah niósł Santee, coś do niej mówił. Wielkie oczy orlicy były bardziej żółte, bardziej żarzące się niż ogień. Biła skrzydłami, niespokojna, pragnąc już odlecieć.

Maggie, prawie bez tchu, podbiegła do Brady'ego.

- Co on robi? Chce pozwolić jej odlecieć?

- Lijah wie, co robi.

Wiatr rozwiewał białe włosy starego człowieka. Podniósł ręce, otworzył dłonie.

Orlica rozprostowała potężne skrzydła, kilkakrotnie siekła nimi powietrze.

Dumna, biała głowa wysunęła się w przód.

Brady wstrzymał oddech. Czuł, jak palce Maggie zaciskają się na jego ramieniu. Przecież orlica nie miała jeszcze możliwości wypróbowania swoich skrzydeł.

A Santee przebijała się przez powietrze, wyżej i wyżej, z największą determinacją. W końcu złapała wiatr i poszybowała. Przechyliła się raz, zmieniła kierunek. I poszybowała dalej. Swoją drogą przez przestworza.

- Lijah!

Poprzez ryk ognia przebił się krzyk. Brady pędził co sił, za nim gnała Maggie.

- Gdzie Marion? Gdzie?! - wołała Maggie, jej oczy były nieprzytomne ze zdenerwowania. - W domu jej nie ma!

- Nie wiem - odparł Lijah. - Ale jest na pewno pod opieką swojej matki.

Spojrzał na klinikę. Pokój zabiegowy stał już w ogniu.

- Ptaków w klinice nie uratujemy. Drewno wyschnięte jest na wiór. Wiatr wieje prosto na woliery rehabilitacyjne. Pospieszmy się. Przynajmniej uratujemy tamte ptaki.

Kątem oka zauważył dwa sępy w wolieryze kilkanaście metrów od kliniki. Oba, przerażone, przycupnęły w najdalszym kącie. Szybko podszedł do woliery i otworzył bramkę.

- Uciekajcie, chłopaki. Nie jesteście już dziećmi. Znajdźcie sobie jakieś bezpieczne miejsce.

Machając rękoma i pokrzykując, wypłoszył Bliźniaków z woliery. Nie było czasu sprawdzić, w którą stronę polecą. Ogień to bestia nienasycona. Lijah pogroził jej pięścią i szybko ruszył do woliery rehabilitacyjnych, zdecydowany nie oddać bestii już ani jednego ptaka.

Harris stał na środku pola. Na jego pięści siedziała zrelaksowana, piękna i dumna Cinnamon. Osiemnaście osób, kobiet i mężczyzn, wszyscy z najwyższych stołków w korporacji i wszyscy absolutnie zainteresowani rezerwatem, stali dookoła i chłonęli każde jego słowo. Czyli ludzie, do których chce się mówić. Kiedy raz im się pokaże, że mogą zmienić coś w świecie, jaki pozostawia po sobie dla potomnych, angażują się z pełnym poświęceniem.

Kiedy mówił, nagle Cinnamon rozpostarła skrzydła. Nastroszyła pióra i zasyczała.

Po polu przesuwiał się wielki czarny cień. Harris spojrzał w niebo. Tuż nad ich głowami frunął orzeł. Harris słyszał dookoła pełne zachwyty „och” i „ach”. Wtedy pomyślał, że ten piękny orzeł nie mógł pojawić się w bardziej odpowiedniej chwili...

Orzeł przechylił się i po raz drugi zrobił okrążenie. Co zdarzało się raczej rzadko. Potem wydał z siebie przeraźliwy krzyk. Oczy wszystkich zwrócone były ku niemu, ku jego długim potężnym skrzydłom. Te skrzydła naprowadziły spojrzenia wszystkich na szarą plamę na lazurowym niebie. Plamę szarego dymu.

Santee.

Harris zbladł. Podał jastrzębia pomocnikowi.

- Odnieś ją - krzyknął i złapał za ramię Adama Pearlmama, który zorganizował prezentację. - Możesz zawieźć mnie do ośrodka? Jak najszybciej!

- Marion, kochanie, posłuchaj. Musisz się stąd wydostać.

- Nie! Mamo, nie!

Dziecko, całe rozdygotane, wczepiło się w matkę. Obie siedziały pod biurkiem. Płomienie za drzwiami blokowały wyjście na korytarz. Żar był nie do wytrzymania, pod drzwiami widać było smugi gęstego, gryzącego dymu, przedostającego się do pokoju.

- Marion! - krzyknęła Fannie, mocno potrząsając dzieckiem. - Dasz radę. Jesteś przecież taką dzielną dziewczynką. Musisz tylko wyjść przez okno, to samo, którym tutaj weszłaś.

Dziecko jęknęło i potrząsnęło przecząco głową.

- Marion, pamiętasz, że jesteśmy szpiegami?

- Ale ty chodź ze mną!

- Oczywiście, że tak. Chodź. Pospieszmy się.

Fannie z trudem stanęła na odrętwiałych nogach. Wyciągnęła córeczkę spod biurka. Marion kaszłała i pluła, ale Fanie kazała jej wejść na biurko. Zaczęła walić we framugę, żeby okno się otwarło i mogły obie wyjść. Ale stare, wypaczone drewno nie chciało ustąpić. Fannie czuła, że zaczyna tracić siły, ale jej mózg krzyczał. To moje dziecko. Muszę uratować moje dziecko!

- Wspinaj się, Marion! Górne skrzydło jest przecież otwarte. Szybko!

Podłożyła ręce pod pośladki Marion, pomagając jej wspiąć się na górną połowę okna. Twarz Fannie zalewał pot. Marion wiła się przez chwilę, potem nagle uniosła się, wychyliła przez otwarte u góry okno i złapała za koniec gałęzi.

- Wejdz na drzewo! - krzyknęła Fannie, połykając dym. - Uciekaj stąd i sprowadź pomoc!

Marion jak małpka zaczęła wspinać się po drzewie. Fannie krztusząc się i plując, wydała z siebie okrzyk ulgi i zmówiła krótką modlitwę. Nie wiedziała, czy Bóg wysłucha grzesznej kobiety, ale mimo to pomodliła się. Potem chwyciła się krawędzi biurka i starając się uruchomić swojej zdętwiałe nogi, próbowała wejść na biurko. Bezskutecznie. Czarny dym wirował po pokoju, połykając drogocenny tlen. Znów zaczęła się krztusić. Czuła, że słabnie. Osunęła się na podłogę. Tu, na dole, dymu było mniej. Rozpłaszczyła się na podłodze, żeby do płuc dostało się choć trochę powietrza. Z tyłu, za sobą, słyszała syk ognia, skwierczenie.

Spojrzała przez ramię. Przez czarną mgłę dymu widziała, jak pokój zmienia się w ogromnego złotopiórego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Ptak syczał. Bo to była bestia, mściwa bestia o czarnych, złych oczach.

Te oczy patrzyły prosto na nią.

Adam gnał samochodem po wysypanej żwirem drodze. Z tyłu, gdzieś z daleka słychać było syreny wozów strażackich. A Harris, trzymając za klamkę, mamrotał:

- Szybciej, błagam, szybciej.

Kiedy tylko samochód wyhamował, wyskoczył. Potem przez chwilę patrzył. Na płomienie, wydobywające się z okien kliniki. Na trzy twarze, czarne od sadzy, złane potem. Lijaha, który lał wodę z węża w okna. Maggie koło wolierek rehabilitacyjnych, napełniająca wiadra wodą z drugiego węża. Brady'ego, który przebiegał przez podwórze jak jakiś oszalały główny rozgrywający podczas meczu futbolowego. Chwytał za te wiadra i lał wodę w okna z rozpaczliwą nadzieją, że uda mu się wygrać z coraz większym ogniem.

- Maggie!

- Harris!

Zaczął biec do niej, ona do niego. Spotkali się w połowie drogi.

- Gdzie Marion?! Mów, gdzie!

- Nie wiem! - krzyknęła z rozpaczą. - Musi być z Fannie, ale nie widziałam ich.

Harris zbladł. Spojrzał na płonącą klinikę, czując, jak ogarnia go paniczny strach.

- Nie!

Czuł to. Ona tam była. Jego dziecko w środku tego piekła. Myślał, że nie spotka go już nic gorszego, jak tamten wieczór na izbie przyjęć z Marion. Ale los ma bogatą ofertę. A on popełnił straszliwy, niewybaczalny błąd, zostawiając dziecko pod opieką Fannie.

Znów biegł. Do kliniki. Brady próbował go zatrzymać, ale go odepchnął. W ogóle nie czuł, jak jego stopy uderzają o ziemię. Nie czuł żaru, kiedy okrążał budynek, rozpaczliwie szukając jakiejś możliwości wejścia do środka. Ledwo docierał do niego szum wozów strażackich zajeżdżających przed dom.



Jeden tylko dźwięk zwrócił jego uwagę. Cienki głosik. Jak u ptaka, dobiegający z góry, spośród gałęzi.

- Mamo! Mamo!

Na jednej z wyższych gałęzi długoigielnej sosny dojrzał małą, skuloną figurkę. Marion jedną ręką trzymała się drzewa, drugą wyciągnęła w stronę okna, z którego wydobywały się kłęby dymu.

Harris w minutę był przy niej. Ostrożnie, cały czas przemawiając łagodnym głosem, odczepił paluszki zaciśnięte na gałęzi i objął zapłakane, rozdygotane dziecko.

- Gdzie jest Fannie, Marion? Gdzie mama?

- Tam! - krzyknęło dziecko, wskazując na otwarte okno.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie.

Pod drzewem jakimś cudem pojawił się Lijah.

- Lijahu! Zaopiekuj się nią! - krzyknął Harris.

Podał mu dziecko. Zza węgła wybiegli strażacy, wołając, żeby natychmiast zszedł z drzewa. Nie słuchał. Podsunął się po gałęzi do okna i wskoczył do płonącego budynku.

Fannie leżała na podłodze, tuż koło okna. Walczyła o każdy oddech. Podczołgał się do niej i objął ją ramieniem. Powieki Fannie drgnęły. Uniosła je na moment. Harris wiedział, że go rozpoznała. Z jej ust wydobył się zdławiony jęk.

- Nie bój się, Fannie. Jestem przy tobie. Poruszyła spierzchniętymi wargami. Harris nachylił się, przysunął ucho do jej ust.

- Ma... Marion...

- Z Marion wszystko w porządku, Fannie. Jest bezpieczna.

W oczach Fannie pojawiła się ulga, powieki opadły.

Wybuch w sąsiednim pokoju wstrząsnął całym domem. Bestia powstała i ryczała z wściekłości. Siła jej ognistego oddechu wstrząsała krokwiemi, kruszyła sufit i szkło. Kawałki sufitu i belki spadały na podłogę. Ogień pełzał po ścianach. Harris czuł, jak żar zamyka się wokół niego. Wysysa powietrze z płuc i opala włosy.

Chwycił Fannie na ręce. Nie pamiętał, jak udało mu się przenieść ją przez ścianę czarnego dymu i dotrzeć do okna. Za oknem widział strażaków w czarno-

żółtych płaszczach, krążących jak pszczoły robotnice. Wyciągali z okna kawałki szkła, drewna.

Spojrzał w dół, na Fannie. Powieki drgnęły. Odsłoniły oczy, w których zobaczył wielki strach i smutek, ten sam co w oczach jedenastoletniej dziewczynki, która wiele lat temu przyszła do jego domu, szukając bezpiecznej przystani.

Dom znów się zatrzęsł i zajęczał.

A potem już tylko ciemność.

RS

***Przetrwanie.** Ponieważ ptaki drapieżne występują licznie, wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że toczą one nieustanną walkę o przetrwanie. Mają wielu naturalnych wrogów. Działania obronne drapieżców są zróżnicowane. Niektóre, spłoszone, uciekają, inne mężnie bronią swojego gniazda. Piękne upierzenie drapieżców służy do maskowania. Jednak choroby, brak pożywienia, zagrożenie ze strony człowieka, a przede wszystkim kurczące się rewiry sprawiają, że każdego dnia drapieżca walczy o życie.*

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Ella siedziała w pokoju pielęgniarek i spoglądała w okno, na jeszcze jeden gorący, parny dzień. Cały lipiec był jednym pasmem takich właśnie dni i Ella, jak i cały Charleston, z utęsknieniem wypatrywała na niebie chmur.

Po jej twarzy przemknął melancholijny uśmiech. W sumie nie powinna na nic narzekać. Przecież przyjechała na południe właśnie w poszukiwaniu ciepła...

Och, nie. Tylko nie to! Wyprostowała się w krześle, zmieniając pozycję i świadomie zmieniając też bieg swoich myśli. Bo te, dotyczące niedawnej przeszłości, nadal sprawiały dotkliwy ból. Chociaż na pewno już okrzepla wewnętrznie. Przede wszystkim zajęła się pracą.

Znów była pielęgniarzką. W końcu to jej zawód. Prosto z Awendaw pojechała do Charlestonu i zatrudniła się w Klinice Akademii Medycznej. Na początku była w stanie tylko zwlec się co rano z łóżka, ubrać się i pójść do pracy. Nigdy jeszcze tak bardzo nie bolało ją serce, nigdy dotąd tak nie cierpiała. Ale czas robił swoje. Z każdym dniem udawało jej się myśleć o Harrisie trochę mniej, każdego wieczoru przed zaśnięciem powtarzała sobie, że jutro będzie nowy, lepszy dzień. W końcu nadszedł taki dzień, kiedy poczuła, że znów może się uśmiechać.

I naprawdę może żyć dalej bez Harrisa. Chociaż gdzieś tam w głębi serca ból pozostał. Oczywiście nadal go kochała. Prawdopodobnie będzie kochać go zawsze, chociaż nie powinna, przecież należał do innej kobiety. Ale nie wstydziła się swojej miłości, niczego nie żałowała. Dzięki tej miłości przeżyła najpiękniejsze chwile w swoim życiu. Chwile bezcenne.

Poza tym, pracując z ptakami drapieżnymi, zdobyła tyle nowej wiedzy. Od Harrisa nauczyła się mówić do pacjentów przyciszonym głosem, z wielką życzliwością, żeby złagodzić ich stres. Zawsze odnosić się do nich z szacunkiem, nawet jeśli krzyczą i awanturują się. Lijah nauczył ją otwierać swój umysł i serce, wsłuchiwać się w pacjenta, żeby wiedzieć, co naprawdę chce przekazać.

- Ello! - W otwartych drzwiach pojawiła się jedna z pielęgniarek. - Wiozą dwie ofiary pożaru!

- Już idę!

Zerwała się z krzesła. Ofiary pożaru należały do najtrudniejszych przypadków. Tu liczyła się każda sekunda.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz.

- Podobno paliło się w Awendaw, w tym ośrodku dla ptaków drapieżnych - poinformowała ją Liz, pielęgniarka dyżurująca w recepcji. - Dwie osoby doznały ciężkich obrażeń...

Mówiła coś jeszcze, ale Ella nie słyszała. Skamieniała. W uszach szum, w głowie tłukło się tych kilka wyrazów. Pożar... ośrodek dla ptaków... dwie ofiary...

Boże przenajświętszy... Kto?!

- Ello? Dobrze się czujesz? - usłyszała pełen niepokoju głos Liz.

- Liz, kto? Kogo przywieźli? Mów!

Liz, zaskoczona jej gwałtowną reakcją, szybko spojrzała w papiery.

- Nazwisk nie podali. Wiem tylko, że to mężczyzna i kobieta.

- A dziecko? Jesteś pewna, że nie ma tam dziecka?!

- Nie ma.

Ella odwróciła się i ruszyła przed siebie korytarzem. Prawie biegiem. Wołając po drodze, żeby natychmiast wezwano specjalistę od oparzeń. Szybko skompletowała

sprzęt, niezbędny do udzielenia pierwszej pomocy w takich przypadkach. Cały czas mamrocząc pod nosem.

- Nie, to nie może być Marion. Na pewno nie. Przecież nie przysłaliby jej do tego szpitala!

Jej umysł stanowczo odmawiał rozważań na temat, co to może być za mężczyzna.

Długie lata pracy nauczyły Ellę, że na ostrym dyżurze nie ma sensu modlić się, żeby los okazał się łaskawy. Nie. Tego rodzaju modlitwa w takim właśnie miejscu to najlepsza metoda, żeby stracić wiarę. Poprosiła więc Pana Boga tylko o to, żeby dał jej wystarczająco dużo siły na następne kilka godzin. I pomógł dalej żyć, niezależnie od tego, kogo teraz wwiozą tymi drzwiami.

Nie czekała długo. Po dwudziestu minutach drzwi otwarły się i wjechały pierwsze nosze. Ella podbiegła do nich, kazała stanąć i spojrzała na nieruchomą postać.

Było jej wstyd, że poczuła ulgę. Zobaczyła Fannie. A nie Marion.

Twarz Fannie, czarną od sadzy. Oczy zamknięte, całe ciało zwiotczałe. Od razu zorientowała się, że Fannie nie żyje.

Przez drzwi wjeżdżały drugie nosze. Ella stała nieruchomo i czekała. Chwilę, która dla niej trwała nieskończenie długo. Kiedy nosze znalazły się już po tej stronie drzwi, wzrok Elli przemknął po nieruchomym ciele mężczyzny. Serce na moment przestało bić.

Spod koca wystawały zakurzone buty. Buty, które zakładał do pracy. Nogawki spodni nadpalone, porwane. Dłonie o pięknych, długich palcach leżały nieruchomo. Brudne, podrapane, paznokcie z czarnymi obwódkami.

Twarz. Okropna krwista szrama na policzku. Na oczach bandaże.

Ratownicy medyczni pchali nosze do zabiegowego. Chwyciła się noszy i szła razem z nimi.

- Wiecie, co się stało? - spytała jednego z nich.

- Podobno ten facet to prawdziwy bohater. Wyniósł z ognia swoją córkę.

- I... z dzieckiem wszystko w porządku?

- Tak. Wiozą je tutaj, ale tylko na badanie. Poza tym dziecko jest w szoku, wiadomo. Była w tym domu razem z matką, kiedy wybuchł pożar. Ojciec znalazł dziecko, wyniósł je w bezpieczne miejsce, potem wszedł do płonącego domu, żeby ratować matkę. Strażacy próbowali go powstrzymać, ale on wskoczył oknem. Znalazł tę kobietę. Kiedy wynosił ją przez okno, zawalił się dach. Na szczęście strażacy byli w pobliżu i szybko go wyciągnęli. Ją też. Niestety okazało się, że narażał się niepotrzebnie. Wyniósł ją martwą.

Ella z trudem powstrzymywała łzy.

- On taki jest - szepnęła. - Nie mógł inaczej postąpić.

Wjechali do zabiegowego, gdzie czekał już lekarz, specjalista od oparzeń. Wszyscy szybko i sprawnie zajęli się chorym. Zdjęto z niego ubranie, podłączono kroplówkę, opatrzone oparzenia. Na ramieniu i policzku. Przystojna twarz będzie zeszpecona, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Najważniejsze, żeby był zdrowy.

Ellę najbardziej martwił bandaż na oczach. Kiedy go zdjęto, powieki Harrisa poruszyły się. Otworzył oczy i spojrzał pustym wzrokiem. Nie zareagował na ostre światło.

Ella spojrzała na lekarza, lekarz smutno pokiwał głową.

Harris podniósł rękę, machnął nią. Tak bezradnie.

- Harris!

Mocno ścisnęła jego dłoń. Rozchylił spierzchnięte wargi.

- Ella? - wyszeptał z wysiłkiem.

- Tak, to ja.

- Proszę. Nie zostawiaj mnie.

Trzymała go za rękę, mocno, zdecydowanie. A w środku cierpiała. Czowała się, jakby była jastrzębiem, który z rozpostartymi skrzydłami szybuje wysoko, nad izbą przyjęć. Zatacza koła i wydaje z siebie przenikliwy, żalorny krzyk. Przed oczami przesuwały się obrazy z niedalekiej przeszłości. Mały Bobby, jego chudziutka rączka w jej dłoni. Biały kogut. Spogląda w dół, z gałęzi długoigielnej sosny. Brady i Clarice, śmieją się, spoglądając na siebie roziskrzonym wzrokiem. Kędzierzawa główka Marion, wtulona w jej pierś. Lijah przed chatą, stoi i pali swoją fajeczkę. Ręka

Harrisa, wyciągająca się po Elle przez mrok w ich maleńkim namiocie. Ręka Harrisa przygarniająca ją do siebie. Do serca.

Teraz ona trzymała jego rękę. Jak jastrząb chwyta przynętę, której nie ma zamiaru puścić. Trzymała, a jej serce szybowało. Wyżej niż mogła to sobie wymarzyć.

***Migracja.** Jesienią, kiedy pogoda się zmienia,  
u przez to zmniejszają możliwości zdobycia  
pożywienia, drapieżcy migrują. Opuszczają swoje  
terytorium i szybując na prądach wstępujących,  
pokonują ogromne odległości. Zgromadzenie się setek,  
czasami tysięcy ptaków, wirujących i przecinających  
niebo, nazywa się kotłem. Nie ma człowieka, który  
oglądając ten jedyny w swoim rodzaju spektakl,  
nie byłby nim zafascynowany i pełen nadziei.*

## **EPILOG**

Harris stał samotnie na środku pola, wdychając z lubością powietrze jeszcze łagodne, ale już zapowiadające nadejście chłodniejszych nocy. Zieleń trawy pod jego stopami przechodziła w brąz, korony drzew przetkane już były złotem i czerwienią. A dalej, mokradła były w trakcie przebierania się w inny kostium. Wiatr był porywisty, niósł ze sobą gorączkowe pokrzykiwania.

Ptaki śpiewające przelatywały nad Lowcountry już od tygodni. Przysiadają gromadnie na drzewach albo na liniach wysokiego napięcia, robiąc straszny harmider. Przyciągały też jastrzębiowate, one jednak frunęły na takich wysokościach, że najczęściej umykały ludzkim oczom. Były wśród nich pustułki, rybołowy i sokoły, szybujące wzdłuż wybrzeża, na południe. Część z nich przeżyje długą podróż i wróci tu z nastaniem wiosny. Część jednak nie przeżyje. Takie są prawa przyrody. Nie można uratować ich wszystkich.

Harris oparł ręce na biodrach i jeszcze raz rozejrzył się dookoła. Jego nogi mocno stały na ziemi. Jak wrośnięte, pomyślał, czując, że rozpiera go radość. Bo tak jest. Nie będzie musiał przenosić się w inne miejsce. Tu jest jego dom.

Lato było bardzo długie, bardzo dużo się działo. Był zmęczony, zadowolony, że dni będą teraz coraz krótsze, wieczory coraz dłuższe. Wieczory spędzane w gronie najbliższych. Najukochańszych. Jesień to pora zmian. Zima czas retrospekcji. A on miał nad czym rozmyślać. Miał za co być losowi wdzięczny.

Odwrócił się, żeby spojrzeć tam, gdzie zebrało się co najmniej pięćdziesiąt osób. Jak za dawnych dobrych lat, kiedy zabierano się do wspólnego budowania szopy. Kiedy w telewizji podano wiadomość o pożarze, który zniszczył ośrodek, zewsząd zaczęły napływać dotacje. Ludzie udowodnili, że im zależy. Nazbierano wystarczającą ilość pieniędzy nie tylko na zbudowanie nowej kliniki, lecz i nowych wolier. Klinika była teraz lepiej wyposażona, a liczba wolontariuszy stale rosła. Harris odzyskał nadzieję.

Zmrużył oczy i z tłumy, kłębiącego się koło kliniki, wyłowił wzrokiem Ellę. Roześmianą.

Długi warkocz wił się po plecach, kiedy podawała gościom talerze z pieczonym mięsem. Serce Harrisa na widok żony zabiło szybciej. Ella była duszą tego miejsca. Wiedział to, nie czując ani odrobiny zazdrości. Ella, wspaniały człowiek. Umiała dawać i dawać. Bez końca. Coraz więcej.

Harris aż bał się pomyśleć, jak wyglądałoby jego życie, gdyby Ella nie zgodziła się tu wrócić i wyjść za niego. Prawdopodobnie zostałby przedwcześnie zestarzałym, zgorzkniałym dziwakiem inwalidą. A Marion do końca życia miałaby koszmary. Razem stanowiliby żalostną parę. Gdyby nie Ella, bo to ona, łagodnie, ale bardzo stanowczo, skłoniła ich do powrotu do zdrowia. Wiadomo, że on i Marion będą mieli bliźny do końca życia - fizyczne, a Marion psychiczne. Na to nie ma rady, ale dzięki Elli łatwiej będzie sobie z tym poradzić. To Ella była oczami Harrisa, kiedy nie widział. Teraz, kiedy zdjęto bandaże i znów widział, Ella była jego sercem.

Ileż on jej zawdzięczał. Niewielu ludzi dostaje taką szansę.

O, jest Marion. Razem z Annie, córeczką Maggie, pędzą przez pole w pogoni za szczeniakiem. Tego szczeniaka, Springera spaniela, Harris przywiózł do domu,



kiedy wypisano go ze szpitala. Jego oczy po urazie były bardzo wrażliwe na światło, ale to nie światło było powodem, że napełniły się łzami, kiedy po raz pierwszy po pożarze zobaczył na twarzy córeczki uśmiech. Na widok pieska.

Było to w sierpniu. Kilka tygodni później Marion poszła do szkoły. Do tego czasu nawiązała mnóstwo przyjaźni. Po twarzy Harrisa przemknął melancholijny uśmiech. Jego córeczka zaczęła opuszczać już rodzinne gniazdo. Jak pisklę, które zaczyna wychodzić na pobliskie gałęzie. Za każdym razem oddala się od gniazda coraz bardziej...

Melancholijny uśmiech przeszedł jednak szybko w pogodny, kiedy pomyślał o niezwyklej gromadce, która codziennie rano odprowadza Marion do szkolnego autobusu. Harris ze szczeniakiem przy nodze, Cinnamon przemykająca wśród koron drzew. A na końcu Bliźniacy. Dwa zwariowane sępy, człapiące za nimi drogą. Nawet pożar ich nie przekonał, że lepiej by im było na wolności. Kiedy tylko ostygły zgliszcza, Bliźniacy wrócili i zaczęli wysiadywać na gałęzi na drzewie na tyłach domu Harrisa. Harris przyznawał w duchu, że Bliźniacy to był jego błąd. Ale nie ukrywał, że lubi te ptaszyska. Bliźniacy oficjalnie zostali zaliczeni do ptaków rezydentów i objęci programem edukacyjnym.

Ktoś go zawołał. To Brady. Harris poderwał głowę i zobaczył kilka osób podążających do niego przez pole. Pierwszy szedł Brady, w grubych rękawicach. Niósł orła bielika w karnalu. Lijah miał rację, pomyślał Harris, patrząc z podziwem na sprężystą, pewną siebie sylwetkę chłopaka.

Brady był urodzonym sokolnikiem. Kiedy Harris dochodził do siebie w szpitalu, Brady odwiedził go i opowiedział, co dokładnie zdarzyło się tamtej fatalnej Wigilii, kiedy została postrzelona Santee. Harris nie był zbyt zdziwiony. Wiedział przecież, że w grę wchodziły dwie strzelby, dubeltówka i sztucer. Poza tym Roy Simmons uchodził za znakomitego strzelca. Szczere wyznanie Brady'ego naprawdę wzruszyło Harrisa. Uczeń i mistrz jeszcze bardziej się zbliżyli.

Harris, idąc za przykładem Lijaha, postanowił być dla Brady'ego mądrym i oddanym nauczycielem. Dzięki temu może uda mu się wpłynąć pozytywnie na przyszłość chłopca.

Lijah... Jakże było go brak! Zniknął zaraz po pożarze, zostawiając na poduszce w chacie pióro orła. Symbol siły, dlatego wszyscy lubili myśleć, że Lijah pozostawił część siebie. Zawsze mówił, że odejdzie razem z Santee. Niemniej jednak jego nagłe zniknięcie wszystkich przybiło. Pióro przywłaszczyła sobie Marion. Wytworna Lulu poszła w ką, teraz pióro było największym skarbem dziewczynki. Przyczepiła je do rzemyka i nosiła na szyi.

Najbardziej za Lijahem tęskniła Ella. Nie mogła się z tym pogodzić. Jeszcze przez kilka miesięcy po pożarze nie traciła nadziei, że znów go spotka. Oglądała się za każdym szczupłym, czarnoskórym mężczyzną o białych jak mleko włosach, ale to nigdy nie był Lijah.

Z czasem nadzieja zgasła, jednak za każdym razem kiedy Ella i Harris zobaczyli orła szybującego w przestworzach, spoglądali na siebie z uśmiechem. Każde z nich bowiem w tym momencie myślało o Strażniku, który przybył kiedyś na odludzie, żeby uleczyć ludzkie dusze.

Brady był coraz bliżej. Harris wyczuwał, że chłopak jest spięty, niosąc tak potężnego ptaka. Nauczyciel i uczeń spojrzeli sobie w oczy. Harris skinął głową na znak, że jest gotowy i chwycił mocno w dłoń potężne nogi ptaka. Orzeł szarpnął się, wysunął szpony, zabił lśniącymi skrzydłami. Harris łagodnymi słowami uspokoił ptaka, czekając jednocześnie, aż ludzie ustawią się wkoło.

Zapadła cisza. Harris dał znak Brady'emu. Chłopiec podszedł i zdjął karnal, odsłaniając wspaniałą białą głowę. Nad potężnym żółtym dziobem jarzyły się żółte ślepia, jak dwie latarnie. Tego ptaka przywieziono do kliniki w stanie prawie agonalnym. Ofiara zatrucia barbituranami. Całe jego ciało pokryte było larwami. Zabieg trwał wiele godzin i zakończył się sukcesem. Teraz, kiedy Harris patrzył na orła, jego oczy też błyszczały. Czarne pióra, pokrywające mocne ciało, lśniły. Był to piękny okaz, silny ciałem i duchem. Ptak, który rwał się do latania i do walki. Do życia.

Spoglądając na niego, Harris znów poczuł znajome, przemożne pragnienie, żeby w tych ostatnich chwilach, zanim ptak odleci, połączyć się z nim duchowo. Bardzo długo uważał, że ten dar posiadają tylko jacyś szamani. Dopiero Lijah mu wszystko wyjaśnił. Nie była to nadzwyczajna tajemnica, choć nie każdy ją znał.

Wszystkie żywe stworzenia są ze sobą powiązane. Porozumienie to coś, do czego nie dochodzi się przez postrzeganie, lecz dzięki intuicji. Nie rozumem, lecz sercem. Ogrody Edenu są tu, na ziemi. Zobaczysz je. Musisz tylko otworzyć oczy.

Harris marzył o porozumieniu z ptakami. Lijah nauczył go, że nie powinien oddzielać jednego stworzenia od drugiego. Nie można oddzielać komunikowania się z ptakami od komunikowania się z innymi zwierzętami, z roślinami, a przede wszystkim z ludźmi. Wszystko to stanowi jedność.

Może właśnie pod wpływem tych nauk starego człowieka potrafił się w końcu otworzyć na miłość, współczucie, pokorę, zrozumienie i przebaczenie.

Zerwał się wiatr. Przygiął do ziemi źdźbła wysokich traw, zaszeleściły liście. Ella postawiła kołnierz. Brady przygładził rozwiane włosy łaskoczące go w twarz. Marion złapała za swoje ukochane pióro, żeby przypadkiem wiatr go nie porwał.

Orzeł unióśł śnieżnobiałą głowę, wylapując w porywie wiatru zapach wolności.

Harris nabrał głęboko powietrza. Też poczuł zapach wolności.

I bliskość z tym orłem. Zrozumienie.

Czas, bracie, żebyś leciał do domu.

Stanął twarzą do wiatru. Czuł, jak orzeł spina się w jego ramionach.

- Powodzenia, przyjacielu!

Podniósł ręce.

Biała głowa orła na łuku potężnej szyi wysunęła się do przodu. Rozpostarł długie, potężne skrzydła i siekł powietrze z siłą i precyzją mistrza szabli. Wyżej, coraz wyżej, przesuwał się po powietrznej ścieżce ku wolności. W końcu natrafił na prąd wstępujący i wyciągnął swoje czarne skrzydła. Teraz tworzyły linię idealnie prostą. Idealnie nieruchome, nie opadały, nie trzepotały. Ptak zdawał się zaprzeczać wszelkim prawom grawitacji.

Harris czuł, jak uniesienie rozsadza mu pierś.

Jego dusza ulatywała z potężnym ptakiem. Szybowali razem.

Cofnął się, żeby włączyć się do kręgu ludzi. Jedną ręką objął żonę, drugą córeczkę i mocno przytulając je do siebie, unióśł twarz.

Jak zawsze. Ku niebu.